

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/349

1976



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

G. HERLING-GRUDZIŃSKI: **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

J. ETKIND: **NOTATKI NIESPIKOWCA - DYGRESJA
O EMIGRACJI**

Zb. BRZEZIŃSKI: **AMERYKA WE WROGIM ŚWIECIE**

B. SULIK: **ROBOTNICY**

K. A. JELEŃSKI;

ANTONI SŁONIMSKI I JEGO OJCZYZNA

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	3
Jefim Etkind:	Notatki niespiskowca	23
" "	Dygresja o emigracji	29
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Brzeziński:	<i>Ameryka we wrogim świecie</i>	37
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	61
K R A J		
Bolesław Sulik:	<i>Robotnicy</i>	65
Bronisław Kotowicz:	<i>Po Gomulce Gierek...</i>	77
DOKUMENTY		
Jacek Bierezin:	<i>List Otwarty do Międzynarodowego</i>	
Jean-Marie Domenach, Pierre	<i>Biennale Poezji</i>	85
Emmanuel, Heinrich Böll,	<i>W odpowiedzi na Apel trzynastu</i>	86
Günter Grass:	<i>Depesza do Podgornego</i>	88
—	<i>Wyrok w sprawie St. Kruszyńskiego i</i>	
—	<i>odwołanie adw. S. Siły-Nowickiego</i>	88
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	93
Wiktor Sukiennicki:	<i>W białoruskim Londynie</i>	99
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Jankowski:	<i>Polityzacja Polonii francuskiej</i>	102
Jacek Jędruch:	<i>O polskich zjazdach naukowych</i>	112
Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i>	114
—	<i>Apel POSK'u</i>	122
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
K. A. Jeleński:	<i>Antoni Słonimski i jego ojczyzna</i>	123
KRONIKA KULTURALNA		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>O literaturze zwanej emigracyjną (6)</i>	129
POLEMIKI		
Edward Możejko:	<i>Uniwersalizm, zaściankowość i Wirpsza</i>	137
Witold Wirpsza:	<i>Partykularyzm czubka kielka</i>	141
KSIĄŻKI		
B. H.:	<i>Reprezentacyjna publikacja</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	147
♦		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	154
♦		
Wł. Brylewski, T. Katelbach,		
St. Korboński, G. Herling-		
Grudziński, A. Szendryk,		
W. Zahorski:	<i>Listy do Redakcji</i>	156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1976

INSTITUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Hugo Bauer, Los Angeles, Cal. (USA)	F. 245,00
Dr S. Borton, Point Piper, N.S.W. (Australia) — po raz drugi	F. 600,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (NRF) — zamiast kwiatów na grób śp. Juliusza Mieroszewskiego	F. 60,00
Czytelniczka z Warszawy	F. 10,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA) — po raz dziewiąty, dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 147,00
Edward Możejko, Edmonton, Alta (Kanada)	F. 38,00
St. Scholer, Wesseling-Urfeld (NRF)	F. 75,00
Irena i Jerzy Szwede, Palo Alto, Cal. (USA), w pierwszą rocznicę śmierci śp. Stefana Mroczewskiego	F. 98,00
Stefania Tomczyk, New Britain, Conn. (USA)	F. 34,50
Anonimowo z Kraju	F. 50,00
Anonimowo z USA dla uczczenia czerwcowych wystąpień robotniczych w Polsce	F. 608,00
Bezimiennie z Australii, po raz siódmy, dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 120,00
Bezimiennie z Finlandii — po raz drugi	F. 50,00
Bezimiennie z New Yorku — po raz dziesiąty	F. 108,00
Bezimiennie z Paryża — po raz dwunasty	F. 40,00

DZIĘKUJEMY!

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY” I „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

W związku ze stałym wzrostem cen zmuszeni jesteśmy do nieznacznej podwyżki prenumerat na rok 1977.

Roczna prenumerata *Kultury* wynosić będzie: zagranicą — F. 140,00; we Francji — F. 130,00.

Półroczna prenumerata *Kultury*: zagranicą — F. 75,00; we Francji — F. 70,00.

Cena pojedynczego numeru *Kultury*: F. 13,00; podwójnego — F. 20,00.

Prenumerata *Zeszytów Historycznych* dla prenumeratorków *Kultury* wynosić będzie rocznie F. 100,00 lub równowartość.

REDAKCJA

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 8 czerwca 1976

W *Dwudziestym Wieku* braci Miedwiediew (który ma być „konkurencją” dla *Kontynentu*) szczególnie ciekawy jest pamiętnik *Pół życia* inżyniera Dymitra Witkowskiego, „wiecznego więźnia” w stylu Iwanowa-Razumnika.

Drzewo czyli Bóg. Po aresztowaniu Witkowskiej, oszołomiony i sam w celi, uchwycił się kurczowo jedynej podpory w rozpartowane okienko. Ilu z nas, nawet mniej „wiecznych więźniów” *tiuremnoj cywilizacji*, pamięta takie podpory: skrawek nieba wyhaftowany gałązką, upatrzony przez ptaki załom w murze, liszaj dzikiej zieleni na kamieniu! „Codziennie śledziłem zmiany w stanie drzewa. Śledziłem jak kawki i wrony naskakiwały na siebie zimą w jego gołych gałęziach; jak wiosną pojawiała się na nim zieleń, przezroczyta niby dym ogniska o świcie; jak latem wznosiło się ku niebu ciemną i gęstą piramidą. Zdawało się że gapiąc się godzinami przez moją szczylinę, rozumiałem w przyrodzie coś, czego dotąd nie rozumiałem; rozumiałem że jestem częścią przyrody, a nie samodzielną i wyizolowaną drobiną, jak sądziłem dawniej. I od tej pory drzewo stało się dla mnie prawie żywą istotą, pojmującym wszystko i współczującym sojusznikiem”. Nieoczekiwany i zagadkowy sojusznik nie zawiódł Witkowskiego, agnastyka o formacji racjonalistycznej, w momencie najcięższej próby. Przesłuchiwany drugą dobę przez kolejnych sędziów śledczych „na stojąco”, bez prawa oparcia się choćby na minutę o ścianę, tarmoszony pogroźkami „I tak podpiszesz, gadzie!”, zobaczył naraz widoczne i stać drzewo. Ogarnął go spokój. Tajemnicze Drzewo wzięło pod swoją opiekę Gada. Musnęło go uczuciem człowieczeństwa? Czy raczej boskości?

Problem rosnącej religijności w Rosji, często nie „konfesjonalnej” i nie związanej z żadnym określonym wyznaniem, tu znajduje swoje wytłumaczenie. Zdawał sobie z tego sprawę Platonow, syn robotnika i za młodu komunista, jeden z najmądrzejszych współczesnych pisarzy rosyjskich. Bohater jego powieści, proletariusz z dziada pradziada, medytuje drapiąc się w głowę: „Komuniści nie byłiby wcale tacy źli, gdyby z pianą na ustach nie szarpali wciąż Boga... Nie, nie to że był człowiekiem pobożnym; faktem jest, że w religii ludzie przywykli lokować swoje serce, podczas gdy w rewolucji zabrakło dla niego miejsca... A gdzie powstaje pustka, naród zwyczajnie się gubi; może narobić straszno galimatiasu, jeśli serce nie ma się czym rozgrzać”.

11 czerwca

U pallotynów Kazimierz Brandys czytał fragmenty swojej nowej, niewydanej jeszcze powieści. Na sali było cicho jak makiem zasiał, obserwowałem przejęte twarze słuchaczy. Po lekturze jakaś pani wzięła na odwagę i zapytała konwencjonalnie „kiedy będziemy mieli przyjemność czytać tę powieść w druku”. Brandys odpowiedział bez chwili namysłu: „Normalny cykl produkcyjny książki trwa w kraju rok lub najwyżej dwa lata, ale w wypadku mojej powieści poinformowano mnie w wydawnictwie, że na jej podpisanie do druku trzeba będzie poczekać dwadzieścia do trzydziestu lat”. Przypomniał mi się urywek szkicu zmarłego niedawno Jampolskiego o zmarłym również Grossmanie (w tymże *Dwudziestym Wieku* braci Miedwiediew). Kiedy Wasilij Grossman złożył w wydawnictwie sowieckim powieść swojego życia, dostał z KC partii następującą odpowiedź: „Nie możemy teraz wdawać się w dyskusję czy Rewolucja Październikowa była konieczna czy nie, powieść zatem nie ma szans ukazania się przed upływem dwustu lub trzystu lat”.

Wynikałoby z tego — jeśli prawidłowo funkcjonują „ideologiczne” liczydła „bloku”, — że powieść Brandysa jest dziesięć razy mniej trefna od powieści Grossmana. Proporcja, zresztą, bliska prawdy przy zestawianiu zbuntowanych pisarzy polskich i rosyjskich; o przyczynach „można by nieskończenie”, ale jedno (mnie osobiście) wydaje się pewne: nie najważniejsza jest ta, chętnie wymieniana w kraju, która większą gwałtowność rosyjskiego buntu intelektualnego przypisuje dłuższemu trwaniu tam ustroju komunistycznego.

Tak czy owak, niewiele jeszcze mogę zapisać w dzienniku o nowej powieści Brandysa po wysłuchaniu jej kilku zaledwie

fragmentów, wyrwanych w dodatku na chybił trafił z kontekstu. Niektóre bardzo mi się podobały: takiego Brandysa, drapieżnego i stwardniałego, dotychczas nie znałem. W innych uderzyła mnie główna słabość jego pisarstwa: pociąg do prozy wylizanej, gładkiej, bez wyraźnego punktu oparcia (i oporu); w jego nowej powieści ta dobrze naoliwiona gładzina intelektualna ma swoją parantele, *Zniewolony umysł* Miłosza: czyli książkę świetnie napisaną, lecz błędną, „wydumaną” za biurkiem.

Najcelniejszy jest pomysł niecenzuralnej (w ciągu nadchodzących dwudziestu-trzydziestu lat) *Nierzeczywistości* Brandysa: krajowy reżyser teatralny, na gościnnych występach za granicą, spędza wolne chwile przy magnetofonie, nagrywając swoje odpowiedzi na pytania ankiety podrzuconej mu do hotelu przez socjologa amerykańskiego pochodzenia polskiego. Pomysł jednak nie oryginalny, chociaż Brandys zapewne o tym nie wie. W roku 1951 *best-seller*em było w NRF tomisko Ernsta von Salomona *Fragebogen*. Von Salomon, arystokrata i nacjonalista niemiecki, został w roku 1922 skazany na pięć lat więzienia za udział w zabójstwie Rathenaua. W 1945 odsiedział rok w amerykańskim obozie „denazifikacyjnym”, gdzie dano mu do wypełnienia złożoną ze stu trzydziestu pytań ankietę *Allied Military Government* (po niemiecku nazywało się to właśnie *Fragebogen*). Zastanawiające w tomisku von Salomona, w sytuacji na pozór jednoznacznej moralnie i politycznie, było poczucie bezsensowności i jałowości wszelkich ankiet, wysmażonych przez „ludzi z zewnątrz”, przyzwoitych i układnych wychowanków liberalizmu niezdolnych (mimo najlepszej woli i chwalebnych intencji) do wniesienia w swoisty „surrealizm” rządów totalitarnych. *Fragebogen* von Salomona, przy mniejszym od Brandysa talencie i przy całkowicie odmiennej „optyce” politycznej, czytało się jak niemiecką *Nierzeczywistość*.

16 czerwca

Ktoś podsunął mi w *Odrze* (niezłym, nawiasem mówiąc, miesięczniku) przeoczony przeze mnie w swoim czasie „kawałek” Różewicza o Rudolffie Hessie, ostatnim więźniu Spandau, nad którym „czuwają” dniem i nocą w pełnym ordynku wojskowym, i za grube pieniądze z kieszeni podatników, oddziały wartownicze czterech zwycięskich mocarstw. Polski poeta, zaniepokojony propozycjami zachodnich uczestników tej żalosnej tragikomedii położenia jej wreszcie kresu (po amnestionowaniu Speera), wpada w święty gniew narodowy: za nic w świecie, półobłąkany wrak Hess musi w Spandau gnić do śmierci, więcej — należy

go odżywiać nędznymi ochłapami, pozbawić spacerów więziennych, książek i gazet. Jest w tej zaciekłości naszego *poety laureatusa* coś obrzydliwego. I głupiego.

Wiadomo naturalnie jaka sprężyna działa w sowieckim, nieustępliwym żądaniu zakopania żywcem Hessa: ze wszystkich hitlerowskich zbrodniarzy wojennych ten był w oczach Kremla wyjątkowo groźny, bo w chorym mózgu majaczył mu się sojusz z Anglią przeciw ZSSR. Gdyby ostatnim więźniem Spandau był Ribbentrop, nie tylko rząd sowiecki zabiegałby o jego przedterminowe zwolnienie, ale sprowadziłby go z honorami do Moskwy, aby zaoszczędzić staremu Mołotowowi codziennego jeżdżenia do archiwów w trakcie emerytalnej pracy nad pamiętnikami. Mołotowa przecież, wsiadającego rano do czarnej limuzyny przed domem, wskazuje często Sołżenicyn jako symbol bezkarności czółowych rzeźmieszków sowieckich.

Italianista rosyjski Jurij Malcew (to on pierwszy zrzekł się obywatelstwa sowieckiego w liście do Kosygina, za co wyeksydiowano go natychmiast do *psychuszki*; dopiął swego w roku 1974, przyjechał do Włoch, wykłada teraz literaturę rosyjską na uniwersytetach w Parmie i w Perugii) jest autorem pożytecznej książki *La letteratura del samizdat da Pasternak a Sołżenicyn*. Podaje w niej przy okazji parę interesujących informacji, które może dostarczą materiału do zadumy poecie Różewiczowi. W Gruzji pławi się po dziś dzień w zbytku niejaki Nadaraja, który za dawnych dobrych czasów był dostawcą dziewczynek dla Stalina i Berii; prawie zawsze zabijano je *post factum*, żeby im broń Boże nie przyszła pokusa rozpaplania szczegółów upojnych nocy z wodzami. W luksusowej willi pod Leningradem mieszka w stanie zastężonego i wysoko opłacanego spoczynku pułkownik KGB nazwiskiem Monachow; był komendantem obozu na Sołówkach, gustował w osobistym zabijaniu więźniów prętem zakończonym ołowianą gałką. W willi pod Moskwą mieszka, zajmując stanowisko wicedyrektora Muzeum Lenina, Aleksander Sugak; był organizatorem „spisku lekarzy” z roku 1952, słynnych „morderców w białych kitlach”. Znany donosiciel i oszczerca Astrow, odpowiedzialny za śmierć wielu niewinnych osób, jest cenionym współpracownikiem wydawnictwa *Sowietskij Pisatel*. Andriej Swierdłow, syn sławetnego bolszewika, był odpowiednikiem polskiego Różańskiego czy węgierskiego Farkasa; lubił osobiście torturować przesłuchiwanym, teraz po trudach działalności rewolucyjnej w pierwszej linii frontu podejmuje gości szlachetnymi trunkami (i pikantnymi dykteryjkami) w wielopokojowym apartamencie na ulicy Serafimowicza. „Sędzia-potwór” Stołbunskij (tak go nazywa w swoich wspomnieniach generał Gorbатов) otrzymuje astronomiczną, jak

na stosunki sowieckie, emeryturę i urozmaica sobie nudną starość przechadzkami po stolicy.

A w Polsce? Włos z głowy nie spadł ani Radkiewiczowi, ani „doktorowi Faulowi” *alias* „towarzyszowi Jakubowi”. Pomniejsi ubecy z lat terroru wygrzewają się na ławeczkach prowincjonalnych miasteczek, więksi na plażach w Rumunii i w Bułgarii. Jeden taki, w stopniu generała lotnictwa, asystował niegdyś w Krakowie przy wyłamywaniu palców młodym chłopcom z AK; spotkany przez mojego znajomego na bułgarskim urlopie zdrowotnym, wyznał mu w koleżeńskie pogawędce że dla dobra rewolucji gotów byłby w każdej chwili powtórzyć swoją dawną robotę, uprawianą w myśl zasady „gdzie las rąbią, tam drzazgi lecą” (oczywiście drzazgi wbijane za paznokcie „kontrewolucjonistom”). Sędziowie doraźnych sądów wojskowych, które na początku lat pięćdziesiątych przeprowadzały rozprawy w celach więziennych (dlatego określało się je jako „kibłówki”) przeciw niepoprawnym akowcom — rozprawy bez dowodów, bez świadków, bez jakiegokolwiek przewodu, przypieczętowywane zazwyczaj wyrokiem śmierci, — po roku 1956 albo przeszli do wydziału karnego Sądu Najwyższego, albo na pożądaną obficie emeryturę.

Nasz *poeta laureatus* woli o tych sprawach nie myśleć (jeżeli w ogóle zadał sobie trud, żeby się o nich od kogokolwiek dowiedzieć). Jego czułem, wrażliwemu, „broczącemu krwią” sumieniu poetyckiemu wystarczy pilnowany przez żołnierzy Wielkiej Czwórki zewłok Hessa w Spandau.

19 czerwca

Na wystawie *Le Symbolisme en Europe* w *Grand Palais* wisi, w jednej z sal, zdanie De Quincey'a: „Rzeczy naturalne ledwie istnieją, rzeczywistość można odnaleźć tylko we śnie”. Pomijając okropne przegięcie w stronę Secesji, taki był istotnie sens europejskiego symbolizmu malarskiego (z Polaków pokazano płótna pięknego Wojtkiewicza, Jacka Malczewskiego i Mehoffera). Zafascynowali mnie dwaj malarze: James Ensor, którego dotąd znałem wyłącznie z reprodukcji, i Alfred Kubin. Ale ile w tym urzeczeniu malarzem Kubinem asocjacji czysto literackich, resztek dawnego olśnienia jego jedyną i przedziwną książką *Die andere Seite?* Kubin żył „tamtą stroną” (czy „tamtym brzegiem”) snów, królestwa umarłych, malował, rysował i opisywał swoje wizje i halucynacje. Takie suchwałe i szalone monomanie nie owocują „na zimno”. Sztuczny, naciągany jest na wystawie

symbolistów obraz Böcklina *Wyspa umarłych* (nie udał się też Lebensteinowi obraz o tej samej nazwie, na wystawie w Odeonie poświęconej pamięci Strindberga).

Jedno z płócien Kubina przedstawia zwykły niby dom, lecz o tajemniczo rozjarzonych oknach. Podobno M. powiedział kiedyś w rozmowie z naszą wspólną znajomą: „Oglądając wieczorem w Pradze stare kamienice, w których mętnie płoną białe szyby, można częściowo przynajmniej zrozumieć skąd się wziął Kafka”.

24 czerwca

„Rzecz dzieje się w Polsce czyli nigdzie”. To objaśnienie z *Ubu Roi* pasowałoby doskonale, jako *motto*, do *Suite polonaise* Jean Plummyè'a, notatek z krótkiej podróży do Polski ogłoszonych w sympatycznym kwartalniku *Contrepoint*. Nie chodzi o ścisłość i nawet pewną bystrość tych notatek, tutaj Plummyè w roli pośpiesznego turysty zdaje dość dobrze egzamin. Chodzi o ton ogólny, dla mnie nieznośny: kulturalny i inteligentny *Francuzik iz Bordo* ogarnia orlim wzrokiem, z niebosięźnych wyżyn swego racjonalizmu i realizmu, Kraj Położony Nigdzie. Dwukrotnie mówi o tym bez ogródek. *Je ne suis pas tout à fait sûr de n'avoir pas rêvé. Peut-être la Pologne n'existe-t-elle pas vraiment. Peut-être n'est-elle plus. Peut-être n'a-t-elle jamais été.* I pod koniec, przy wyjeździe z Polski: *Nous avons la sensation de n'être nulle part.* Zabawne jest, że powołuje się przy sposobności na *Nienasylenie* Witkacego, na zdanie „atmosfera absurdu i paraliżu opanowała wtedy cały kraj”, łącząc *hic et nunc* „niezaprzeczalnie profetyczne dzieło” polskiego pisarza z Polską w roku 1932. Jak gdyby *Nienasylenie* dotyczyło jedynie Polski! Jak gdyby prorocza fantasmagoria Witkacego była dla zrównoważonych i rozumnych Europejczyków z Zachodu genialnym produktem wschodnio-europejskiej egzotyki, godnym obcmokiwania na bezpieczny dystans w paryskich salonikach *high-brow!* Ciekawym czy Plummyè, młodziutki chłopiec podczas ostatniej wojny, widział w którymś z maleńkich kin paryskich (nie dopuszczono go na duże ekrany ani do telewizji) czterogodzinny film Maxa Ophülsa *Le chagrin et la pitié*. Ophüls opowiedział językiem filmowym życie codzienne w Clermont-Ferrand, po klęsce Francji w roku 1940. Takiej orgii nikczemności i podłości (i to w znacznym stopniu *gratuit*, ochotniczej) *Francuzików iz Bordo*, podbitych stosunkowo łagodnie przez „atmosferę paraliżu i absurdu” okupanta totalitarnego, nie wolno było rozpowszechniać w „wiecznej i wiecznie wolnej” Francji przy użyciu wielkich

mass-media. Pokaziki były kameralne, choć przed kinkami ustawały się kilometrowe ogonki.

Plummyè, jak widać z jego *Suite polonaise*, czytał jednak znakomity *Court traité de soviétologie à l'usage des autorités civiles, militaires et religieuses* Alain Besançon; cytuje nawet z niego zwięzłą i trafną diagnozę sytuacji w Polsce. Ale nie nauczył się niestety od Besançon podstawowej mądrości: że „ideokratyczny surrealizm” sowietyzmu podkopuje, i stara się doszczętnie wypalić, tradycje wszystkich narodów ze swojej „naturalnej strefy wpływów”. Europa zachodnia, wkraczająca ufnie w epokę „eurokomunizmu”, postąpiłaby rozsądnie nie krzycząc „hop” przed przeskoczeniem rowu, w który Piotr Wierchowien-ski zamierzał zepchnąć sto milionów uciętych głów. Aby w niezbyt odległej przyszłości nie rozległo się również w Paryżu ponure: *Nous avons la sensation de n'être nulle part.*

[Dopisek z 8 sierpnia. Z innej zupełnie parafii, jakkolwiek przenikliwe oko dostrzeże w tym nawiązaniu podskórne koligacje. W dzisiejszym *Corriere* soliterowy reportaż z Moskwy piora Moravii, klasycznego okazu zachodniej „wściekłej lewicy” (ukulem niegdyś tę definicję na cześć Mary McCarthy, po jej eseju o twórczości Orwella). Otóż Moravia, odpoczywając w Moskwie po udziale w szóstym zjeździe pisarzy sowieckich (ocenzurowano mu w *Literaturce* przemówienie na tym zjeździe, o czym nie pisał ani słówka w prasie włoskiej), zrywa się rano z łóżka i nieogolony pędzi do hotelowego ogonka po śniadanie. Stoi grzecznie w tym ogonku pół godziny i skraca sobie oczekiwanie przepastnie głębokimi refleksjami. Przede wszystkim, natchniony widokiem pozostałych kornych mieszkańców hotelu w kolejce, rozmyśla o „antycznej rosyjskiej cierpliwości” (we wschodniej Europie, czyli na obszarze Wielkiego Nigdzie, byle co jest w oczach zachodniego Europejczyka „antyczne” bądź „odwieczne”: „antyczna” jest rosyjska cierpliwość — Kutuzow u Tołstoja!, — „antyczny” jest polski romantyzm, „antyczna” jest węgierska zapalczliwość i ognistość — w takt czardasza!, — „antyczna” jest czeska trzeźwość wykarmiona knedlami i podłana piwem). Potem dziwi się swemu zadowoleniu, zamiast normalnej w takich razach irytacji, i zamyka reportaż refleksją najgłębszą, która zasługuje na przytoczenie: „Jeżeli czuję się zadowolony, to dlatego że uważam system antykonsumistyczny, niechęć do przemysłu lekkiego i do dostatku w ZSSR i w ogóle w krajach socjalistycznych, za coś pozytywnego i definitywnego, osiągniętego dzięki skali wartości humanistycznych i antykapitalistycznych, którą ustanowiła rewolucja. Znaczy to także, że poddaje się torturze czekania w ogonku jako próbie poczucia obywatelskiego, gardzącego wygodami i dobrobytem; nie zapominając na chwilę, jako o ideale

bezsprzeczny, o ostatecznym celu socjalizmu uniwersalnego. Znaczący to wreszcie, że według mnie nawet najbardziej zaawansowana technologia nie jest w stanie uwolnić ludzkości od przekleństwa biblijnego, i że wobec tego powinienem uważać każdy produkt zdobyty po długim i bolesnym czekaniu w jednej z tylu kolejek sowieckich nie za rzecz prawnie mi należną, lecz za zwycięstwo które potwierdza i podkreśla moje dobrowolne i świadome włączenie się do systemu socjalistycznego”.

Co do mnie, uważam tę pochwałę Ogonka — im dłuższego, tym lepiej — za konieczne i wzorowe przygotowanie ideologiczne i psychologiczne do ery „eurokomunizmu”].

27 czerwca

Jak się to zaczęło („to” czyli „autonomiczna włoska droga do komunizmu”)? Autowywiadem Togliattiego w *Nuovi Argomenti*, redagowanych przez Moravię na obraz i podobieństwo *Temps Modernes* Sartre'a, z ambicją „przerzucenia pomostu między kulturą *tout court* i marksizmem oraz partią komunistyczną”. Kiedy? Dokładnie dwadzieścia lat temu, w numerze czerwcowym pisma. Skromny jubileusz ma swoją wymowę po wyniku wyborów do parlamentu, w których komuniści znowu skoczyli do przodu i galopują niemal łeb w łeb z chadekami, parząc ich gorącym oddechem „kompromisu historycznego”.

Pouczające są preliminaria autowywiadu Togliattiego. Włoski *genssek* zapoznaje się z „tajnym raportem” sowieckiego *gensseka* 17 lutego 1956 roku w Moskwie; przestrzega tajności raportu do tego stopnia, że nie wtajemnicza w jego wybuchową zawartość pozostałych trzech członków włoskiej delegacji partyjnej. Wraca do Rzymu, z przykrym zdumieniem odkrywa że odpryski raportu przeniknęły do gazet „burżuazyjnych” i, co gorsza, do wnętrza PCI; gra jednak na zwłokę, bagatelizuje „perfidną pogon wroga klasowego za sensacją”, kłopotliwe pytania zaalarmowanych towarzyszy zbywa dowcipami. 13 marca odbywa się posiedzenie KC partii. Togliatti krytykuje „niektóre mylne tezy towarzysza Stalina”, porusza przelotnie temat „kultu jednostki”, lecz raportu nie tylko bodaj małym paluszkiem wytrawnej kominternowskiej ręki. Tylko Terracini, którego w swoim czasie usunięto z partii za protest publiczny przeciw paktowi Ribbentrop-Mołotow, domaga się gwałtownie wyjaśnień, peroruje długo o zamordowaniu Beli Kuna, o wybicciu w pień KPP, o innych „niecnych uczynkach” Stalina; milczenie Historii pokrywa jego atak hysterii. 3 kwietnia zbiera się konferencja ogólnonarodowa PCI. W powietrzu podniecenie i zdenerwowanie, do stołu pre-

zydialnego napływają z audytorium kartki „Chcemy wiedzieć wszystko o Stalinie”, „Kiedy nareszcie zdecydujecie się powiedzieć nam całą prawdę?”; Togliatti wierci się niespokojnie i jakby urażony mruży do przyzujących wokół niego tuzów partyjnych: „Ugryzł ich giez? Czego, u diabła, chcą?”. Amendola i Pajetta nachylają się do niego z obu stron i szepczą mu na ucho: „Postanowiliśmy chwycić byka za rogi”. Togliatti wzrusza ramionami: „Dobrze, chwytajcie, jeśli macie odwagę i ochotę”. Pozwala im się wygadać, sam w przemówieniu końcowym przerywa ostrożnie milczenie Historii. Do prasy „burżuazyjnej” docierają coraz obszerniejsze wyciągi z raportu Chruszczowa, pisze się otwarcie o współodpowiedzialności włoskiego *gensseka*. Togliatti posyła list do niezależnego tygodnika lewicowego: „Wszystkie te wiadomości są stale, systematycznie fałszowane, stanowią wytwór chorej, może obsesyjnej wyobraźni”. 4 czerwca *New York Times* ogłasza prawie kompletny tekst raportu. Togliatti kapituluje: „Wyjawszy drobne nieścisłości, tekst odpowiada wierne temu co mi pokazano w lutym w Moskwie”. *Unità* z 10 czerwca rejestruje, bez komentarzy, słowa najwyższej wyroczni. Togliatti, w swojej willi na Montesacro, zasiada do pisania autowywiadu dla *Nuovi Argomenti*.

Jest to arcydzieło jezuityzmu politycznego (w zgodzie z temperamentem i umysłowością włoskiego *gensseka*: od Silonego wiem, że po objęciu redakcji *Rinascita* Togliatti kazał swoim podkomendnym studiować, jako nieprześcigniony model, miesięcznik jezuitów włoskich *Civiltà Cattolica*). Dominuje w nim „biurokratyzacja” jako jedyny realny defekt urody systemu sowieckiego, odsunawszy na dalszy plan niedostatecznie marksistowski koncept „kultu jednostki”. Zbrodnie Stalina występują to w gromkiej roli „aktów kryminalnych i moralnie odrażających”, to w stuszowanej roli „błędów”, „pomyłek”, lub wręcz „zakłóceń w rozwoju”. Szczytem operacji jezuickiej jest jednak w autowywiadzie główny zabieg asekuracyjno-emancypacyjny: założeniem nietykalnym staje się w nim to, co według wszelkich reguł poprawnego rozumowania powinno być dopiero dowiedzione. A mianowicie że w ZSSR, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, zatriumfował prawdziwy socjalizm „ulegitymizowany” wystarczająco rewolucją (zwycięską). Skoro zaś socjalizm to i jego nieodłączna towarzysząca demokracja, więcej — demokracja doskonalsza i autentyczniejsza niż we Włoszech. Chodzi tylko o „policentryczną” poprawkę kosmetyczną: trzeba, zważywszy lokalne warunki historyczne, wypracować „własną drogę”. Czy dzisiaj, w dwadzieścia lat później, wolno „własną drogę” z autowywiadu Togliattiego uznać za kamień węgielny autonomii „eurokomunizmu”? Wolno a może i należy: z takimi czy innymi niuan-

sami jezuicka dwuznaczność trwa. Dopóki Berlinguer nie powie głośno, że sowietyzm i jego pochodne w Europie wschodniej nie mają nic wspólnego z socjalizmem, brak podstaw do podzyrowania dobrej wiary „eurokomunizmu”.

W dwudziestą rocznicę „bomby” w *Nuovi Argomenti* wspomniano o jednym epizodzie. Mikojan, zapytany w Moskwie przez dziennikarza zagranicznego co sądzi o autowywiadzie włoskiego *genseka*, odpowiedział z uśmiechem: „Towarzysz Togliatti jest mądrym człowiekiem, wie świetnie co robi i mówi”. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo *chitrij Ormiaszka* zapragnął sam ustawić się w nowym kierownictwie nieco bardziej „policentrycznie” od Chruszczowa, albo zrobił aluzję do ordynarnego porzekadła rosyjskiego: *Dietaj bratok czto ugodno, wsio taki wyże ch... nie prygniosz*”.

Po 25 lipca 1943 roku, po posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej w Pałacu Weneckim i strąceniu Mussoliniego z piedestału *Duce*, sycylijska *Accademia del Parnaso* (do której należeli, między innymi, Pirandello i naczelny filozof faszyzmu włoskiego Giovanni Gentile) wprowadziła do swego statutu rozsądną propozycję, by odtąd w pomnikach głowy przytwierdzone były na śrubkach do odkręcania. Jedyne, co da się chwilowo orzec z dbałością o fakty i słowa na temat Togliattiego i jego „eurokomunistycznych” spadkobierców, to że przyswoili sobie skrupulatnie zalecenie sycylijskich parnasistów.

Dragonea, 12 lipca

Ale jaki w końcu jest ten Berlinguer? Jak naszkicować portret inspiratora i stratega „eurokomunizmu”, jeśli tak bardzo różni się od swoich rodaków, z usposobienia gadatliwych i ekspansywnych, uwikłanych co prawda zawsze w rozmaite bizantyjskie *combinazioni*, lecz w gruncie rzeczy łatwych do przejrzania i mocno na wyrost szczyjących się dziedzictwem *segretario fiorentino*, nieśmiertelnego autora *Księcia*? Co da się od biedy zafiksować w profilu człowieka, którego bliskie otoczenie polityczne przeżywa *sardomuto* (gra słów: *sordomuto* znaczy „głuchoniemy”, *sardomuto* to tyle co „sardyński niemowa”, a towarzysz markiz Berlinguer — pieśczośliwie w partii określanym mianem *compagno marchesino*, „towarzysz markizik” — pochodzi ze szlacheckiej rodziny hiszpańskiej osiedlonej przed wiekami na Sardynii)? Sprawa nie jest mi obojętna z osobistych także względów, bo nie wykluczone że w przypadku dojścia towarzysza markiza do władzy musiałbym gdzie indziej szukać azylu politycznego. Więc na wakacje przywoziłem sobie dwie książki,

które się teraz we Włoszech kupuje w księgarniach i kioskach gazetowych niczym „dreszczowce”, gdyż obu autorom powiodła się impreza na pozór beznadziejna: skłonić do względnej rozmowności grubą sardyńską rybę. Pierwszą, *Italia, Italia*, napisał Peter Nichols, rzymski korespondent londyńskiego *Times'a*. Drugą, zatytułowaną po prostu *Berlinguer*, publicysta turyńskiej *La Stampa* Vittorio Gorresio, dziennikarz obrotny i otrząskany, ale powierzchowny i z ciągotami do oportunistów.

Najpierw elementarne dane biograficzne. Don Enrico (należy mu się prawie ten tytuł) urodził się w Sassari 25 maja 1922 roku, w bardzo zamożnej rodzinie ziemiańskiej, jako syn wybitnego adwokata i antyfaszysty, po wojnie senatora z listy socjalistycznej. Pocerwienił już za młodu, wyłowiwszy w bibliotece stryja pisma anarchistów rosyjskich: od łyczka do rzemyczka, od Bakunina do Marksa. Wstąpił do PCI w wieku lat dwudziestu (jego złośliwy i dość dowcipny towarzysz partyjny Pajetta opowiada: „Pewnego dnia zjawił się w centrali partii na *Botteghe Oscure* w Rzymie przystojny młodzieniec i zapytał, czy mógłby się zapisać do KC”). Odnacza się, prócz nie włoskiej lakoniczności, ogromną pracowitością, solidnym wykształceniem, wyborną pamięcią, rzadką u Włochów zimną krwią i darem sprowadzania najbardziej skomplikowanych problemów do najprostszycych i esencjalnych terminów. Zrobił karierę błyskawiczną: przywódca włoskiej a później i międzynarodowej Młodzieżowej Federacji Komunistycznej, sekretarz i pupil Togliattiego, wicesekretarz partii za panowania ciężko chorego Longo, wreszcie *gensek*. Ma żonę wierzącą i praktykującą katolicyzkę, oraz czworo dzieci. Lubi długie spacery i muzykę Wagnera. Z upodobaniem oddaje się, w wolnych od działalności politycznej chwilach, lekturze klasyków greckich w oryginale. „Widzi katolicyzm (jak informuje Gorresio) po croceańsku, jako fundamentalny składnik kultury i historii naszego kraju. Jest zatem wyznawcą Crocego, Gramsciego i Togliattiego”. Ten miły eklektyzm zdaje się być wspólnym ideałem burżuazji i klasy robotniczej we Włoszech: ostatni sondaż opinii publicznej przyniósł Berlinguerowi palmę pierwszeństwa w konkursie popularności włoskich polityków. Zdradza pewną słabość do obrazu „wodza charyzmatycznego”, nie znosi opozycji wewnątrz-partyjnej, jedyny to fenomen ułomnej ludzkiej natury zdolny do wyprowadzenia go z niedoścignionej skądinąd równowagi duchowej i politycznej. Nie pije, gardzi innymi też cielesnymi rozkoszami życia, uchodzi w partii za „ascetycznego mnicha”.

Obchodzi mnie, ma się rozumieć, stosunek towarzysza markiza do dwóch gardłowych zagadnień „eurokomunizmu”: do „pluralizmu” i do „ojczyzny proletariatu światowego”. Ceni plu-

ralizm, uważa go za *conditio sine qua non* normalnego rozwoju każdego społeczeństwa. Nie wstydzi się tej pozytywnej oceny nawet w Moskwie, w przemówieniu na XXV-tym Zjeździe nie zawahał się zaszokować słuchaczy pochwałą „systemu pluralistycznego”. Gospodarze mieli pewne trudności z przełożeniem tego na rosyjski: odpowiednikiem ścisłym byłby *mnogopartiynij*, wybrali jednak *mnogoobraznyj*. Berlinguer machnął ręką, mało widocznie wrażliwy na subtelności lingwistyczne ojczystego języka rewolucji (którego zresztą nie zna). Gorzej, a raczej zawiłej, ze stosunkiem do ZSSR. Zasadniczo ten stosunek nosi oficjalną nazwę „krytycznej sympatii”, co jest niewątpliwym postępem na tle kadeelowskiej braterskiej i wieczystej miłości. Ale na pytanie Gorresio, przyciskające sardyńską rybę do ziemi, Berlinguer wysliznął się enigmatycznie: „Chce pan wiedzieć z kim jesteśmy. No cóż, ze wszystkimi i z nikim. Chce pan wiedzieć co to ma znaczyć. No cóż, jesteśmy internacjonalistami lecz nie kosmopolitami”. Jest dość prawdopodobne (z uwagi na „dziwne” brzmienie nazwiska Berlinguera), że było to zduszenie w zarodku ewentualnych sowieckich badań archiwalnych, zmierzających do przyszcicia mu dalekiego pochodzenia „syjonistycznego” z rodu hiszpańskich *maranos*.

Motywnym przewodnim portretu pędzla Nicholasa jest opinia wysoko postawionego i anonimowego polityka włoskiego, nie komunisty. „W interesie nas wszystkich leży dać Berlinguerowi czas nieodzowny na zrealizowanie w praktyce autonomii: najlepszym sposobem jest nie dopuścić chwilowo jego partii do rządu. Według owego polityka trzeba poczekać jeszcze pięć lat. Po upływie tego okresu sytuacja na scenie międzynarodowej powinna się wyjaśnić. Na przykład, co się stanie w Jugosławii po śmierci Tity? Posiada podstawy teza, że Rosjanie (wobec wzrostu ich potężnej floty na Morzu Śródziemnym) paradoksalnie zbliżają się do Włoch, gdy komuniści włoscy usiłują się od nich (Rosjan) oddalić?”

Prochu ten zacytowany przez Nicholasa polityk włoski nie wymyślił, ale przynajmniej widać że zna się jako tako na swoim fachu.

[Dopiski z 18 sierpnia. W mojej polemice, naturalnie jednostronnej, z K. S. Karolem jeden zero na moją korzyść. Karol obiecywał sobie sporo po „eurokomunizmie”, jeśli chodzi o jego wpływ na „walkę o prawdziwy socjalizm” w kadeelach, zwłaszcza w Polsce, ja twierdziłem, że warunkiem sowieckiej licencji na „eurokomunizm” jest jego nie wtrącanie się do wewnętrznych spraw „bloku”. Teraz, po polskich „zaburzeniach czerwcowych”, Karol biada w *Nouvel Observateur*: „Zjawiskiem osobliwym jest bagatelizacja w wielkiej prasie zachodniej, włączając w to

organy „autonomicznych” (cudzysłów Karola) partii komunistycznych, wagi wydarzeń polskich. Ileż razy komuniści zachodnioeuropejscy zapowiadali swoją wolę krytykowania krajów Europy wschodniej, zanim dojdzie do czegoś gorszego, jak podczas wybuchu w roku 1970? Lecz kiedy mają po temu okazję, jak obecnie, kiedy mogą chłodno dać wyraz swoim poglądom na sytuację w Polsce, ograniczają się do przedruku depesz urzędowych agencji prasowych”. Dodam, na użytek czytelników Karola, że list Kuronia do Berlinguera pokwitowany został wykrętym i mętym oświadczeniem PCI, które robiło wrażenie ni to supliki ni apelu do Gierka by wykrzesać ze swego „robociarskiego” serca iskrę łaski i wielkoduszności w obliczu sądzonych robotników polskich; i że o mur dyplomatycznej obojętności odbiły się wezwania do włoskiej centrali związków zawodowych CGIL, zdominowanej przez komunistów, aby ostro i jednoznacznie wystąpiła w obronie „podlegaczy do zaburzeń czerwcowych”. Rzadko widuję *Manifesto*, ale słyszę że tam zawiedziony Karol miennie napiętnował Berlinguera za przemilczenie „polskiego czerwca” w trakcie berlińskiej konferencji europejskich partii komunistycznych. Oj, Karolu, Karolu...

W dzisiejszym *Giornale* wywiad z Amalrikiem w Zürichu. Warto posłuchać głosu doświadczenia, inteligencji i trzeźwości. Pytanie dziennikarza: „W książce *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* powiada pan, że minimum konsumizmu oraz dozwolone minispódniczki potrafią może stworzyć socjalizm o odśloniętych kolanach, lecz nie o ludzkim obliczu. Stosuje się to również do Włoch?”. Odpowiedź Amalrika: „Chociaż nie zdążyłem się jeszcze zapoznać dokładnie z waszą sytuacją, sądzę że tak. W komunizmie, prócz składnika marksistowskiego, istnieje zawsze składnik tradycji narodowej i to ona pociąga za sobą drobne warianty. Wiecie o tym sami z własnej historii: wasz faszyzm był bezsprzecznie bardziej rozwodniony od niemieckiego hitleryzmu. W podobny sposób wasz komunizm mógłby się różnić od sowieckiego. Co powiedziawszy, nie wolno się absolutnie ludzi że tego rodzaju różnica oznaczałaby autonomię wobec Moskwy. Pewnie, mamy precedens Chin, które przy zachowaniu ustroju komunistycznego uwolniły się od poddaństwa sowieckiego. Ale jest to nie do pomyślenia we Włoszech, o tyle słabszych od Chin. Włochy nie mogą nigdy liczyć na żadną autonomię”. Pytanie dziennikarza: „A przecież oświadczył pan przy jakiejś sposobności, że niemiecka partia komunistyczna w NRF jest, *odmiennie* niż w wypadku włoskiej, zwykłym narzędziem ZSSR”. Odpowiedź Amalrika: „Tak, lecz nie chciałbym być źle zrozumiany. Podkreśliłem różnicę między narzędziem i zależnością. Stosunki z Moskwą są bardziej wiążące dla małych

zachodnich partii komunistycznych, niż dla dużych. Zależność nie przeobraża się jednak nigdy w przyznanie autonomii”].

17 lipca

Popołudnie w Paestum. Popołudnie dojrzałe, ociekające gęstym słońcem, więc chyba dlatego oglądałem wszystko w innych niż zawsze kolorach. Żółtawy (a nie różowy) świątyń, trupio biały kamieni i gruzów. Po raz pierwszy również zobaczyłem Paestum jak gdyby było wykopaliskiem resztek skamieniałego, tropikalnego lasu. Z cienistego kąta świątyni Cerery podwójny pejzaż: na prawo słabnąca stopniowo zieleń, aż do błękitnej szarości pinety (za nią morze); na lewo fioletowe i czyste zarysy Cilento, zapaćkane po drodze różnobarwnymi krzakami oleandrów. Paestum nigdy nie zginie, nie da mu rady żaden kataklizm. Ocaleje choćby ta samotna kolumna obok wyjścia, ostatni odłamek Wielkiej Historii.

Ale każdy z nas przechowuje głęboko, na dnie pamięci, własną małą historię; tym żywszą, im dalej cofa się w dzieciństwo. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy ujściu rzeki Sele. Zielonkawa woda z odcieniem zamulenia, wikliny, chaszczce nadbrzeżne. Dla pełni obrazu brak chłopca siedzącego w gąszczu z wędką, wgąpionego godzinami w nieruchomy spławik, podnieconego widokiem wyskakujących co jakiś czas młodych szczupaków, fali pęczniającej niekiedy od przepływu ławicy okoni. Suchy i kanciasty gruzełek w krtani...

24 lipca

Pisarze-instytucje. Po śmierci Dąbrowskiej berło przeszło w ręce Słonimskiego. Dąbrowska była pisarką odważną, dumną, zakochaną w swej wielkopańskiej godności. Kiedy przed laty, w okresie długiej letniej podróży po Europie, zamieszkała u mnie na dwa tygodnie w Neapolu (z Anną Kowalską i jej córką), nazajutrz po przyjeździe zatelefonowała do konsulatu PRL w Rzymie, żeby „na wszelki wypadek” podać swoje „miejsce postoju”.

Zachowałem kilka jej listów, pisanych i wysyłanych pocztą z Warszawy z absolutną pogardą dla cenzury. Lecz była w niej niepojęta skaza, którą polecam uwadze przyszłych hagiografów. Pamiętam jeden neapolitański wieczór, wyjątkowo przykry. Tego dnia dostałem od J. G. z Paryża wiadomość, że Gombrowiczowi przyznano zaszczytne amerykańsko-niemieckie stypendium w Berlinie. Sądziłem że ta wiadomość, podana przy kolacji, sprawi

Dąbrowskiej przyjemność. Twarz jej stężała, w głosie zadźwięczała nuta rozdrażnienia: „Nie powinien być przyjąć stypendium od Niemców, w kraju będzie mu to słusznie brane za złe”. „Ależ pani Mario, czytałem pani ciekawy opis podróży do NRD na zaproszenie wschodnio-niemieckiego związku literatów”. Irytacja w jej głosie podskoczyła o parę kresek: „To co innego. Wy tutaj (z gniewnym naciskiem) nie potraficie tego zrozumieć”.

Słonimski, w latach londyńskiej *Nowej Polski* i natychmiast po powrocie do kraju, napisał i zrobił niemało głupstw, gdy jednak otworzył nieco szerzej oczy i ułożył sobie w głowie wszystko jak trzeba, nie uciekał się już do ciosów poniżej pasa z gatunku „wy tutaj”. Wprost przeciwne. Na krótko przed śmiercią przysłał mi pocztą *Alfabet wspomnień* z dedykacją: „Panu G.H.G. to skromne A.B.C. *tutejszych* możliwości bardzo serdecznie”. Miewał w *Tygodniku Powszechnym* felietony gorsze i lepsze (taki już jest los regularnego felietonisty), ale w alfabecie „tutejszych możliwości” wyszedł daleko poza A.B.C. Toteż napelnia ogromną radością informacją, że do niesienia jego trumny nie pchali się rozmaici Żukrowscy, i że w jego pogrzebie brało udział dziesięć tysięcy osób.

Nie mogę się tu oprzeć smutnemu porównaniu. Opowiadał mi Jerzy Giedroyc, po powrocie z pogrzebu Juliusza Mieroszewskiego w Londynie, że najwybitniejszego publicystę emigracyjnego odprowadzało do grobu sześć osób (wliczając w to rodzinę). A teraz przeróżne pisma i radiostacje emigracyjne zwracają się do *Kultury* z prośbą, żeby ktoś z nas napisał dla nich o Mieroszewskim, bo we własnym zakresie nie mogą znaleźć śmiałka gotowego uczyć pośmiertnie postać równie kontrowersyjną i winną najwyższej zbrodni „oddania Lwowa i Wilna”. Polscy prawomyślni emigranci polityczni, zabawiający się w tworzenie legalnych rządów i wydawanie orędzi do narodu w niewoli, mają zwyczaj prawić krajowi kazania na temat wolności, niezależności, niezłomności i odwagi. Chciałoby się powtórzyć słynne zdanie Gogola o lustrze z *Rewizora*.

1 sierpnia

Z wzruszeniem przeczytałem zbiorek pięciu esejów Jana Józefa Szczepańskiego (jednego z nielicznych w kraju pisarzy na serio) *Przed nieznanym trybunałem*, szczególnie pierwszy: *W służbie Wielkiego Armatora* i ostatni: *List do Juliana Strykowski* (klasyka współczesnej prozy polskiej dzięki cudownej *Austerii*; reszta jego twórczości nie dorasta niestety do kostek *Austerii*).

To wzruszenie ma w znacznej mierze charakter osobisty. Tuż

po wojnie wydałem w Rzymie tomik *Żywi i umarli*, w którym znalazł się między innymi dialog o *Tajfunie* Conrada. Dialog (jak i cały tomik) był młodzieńczo nieudolny, ale powstał z trafnej intuicji. Wyczuwałem mianowicie, że Conrad (w *Tajfunie* z szaleńcym trzymaniem się „raz obranego kursu”) był czymś w rodzaju poetyckiego i moralnego filozofa młodzieży akowskiej. Podobał się bardzo ten dialog Juliuszowi Poniatowskiemu (który w Powstaniu Warszawskim stracił jedyną córkę), pobłażliwemu dla jego niezdarności, złaknionemu za to jakiegoś głębszego sensu tego co się w Polsce podczas wojny działo i z heroicznym tragizmem dopełniło. Po latach zmienił zdanie, postanowił wrócić do kraju i pożegnał się z nami wszystkim artykułem *Krwia czy myślą?*, ogłoszonym w *Kulturze*. Artykuł był dedykowany mnie, co zrozumiiałem jako delikatną aluzję do własnej, bez wątpienia uczciwie przemyślanej, zmiany „raz obranego kursu”. Posuwam się jednak za daleko, inna to już historia...

Nie było więc rzeczą przypadku, że atak z „pozycji marksistowskich” na „akowską filozofię ślepej wierności” przybrał maskę próby „zdemaskowania” Conrada. Podjął się tego ataku Jan Kott, z typową dla niego podówczas mieszaniną intelektualnej ekwilibrystyki i moralnego kretynizmu. W kategoriach „analizy marksistowskiej” Conrad był pisarskim najmitą chciwych i żarłocznych armatorów kapitalistycznych, który dorobił im tyleż solenną co obłudną filozofię służby morskiej, wcale przydatną w dorabianiu się wciąż opuchlejszej kiesy złotych suwerenów. Prawdziwy adresat szkicu Kotta był oczywisty. Zareplikowałem artykułem *Lord Jim i towarzysz Jan*, w miesięczniku *Światło* redagowanym przez Zygmunta Zarembę. Artykuł był znowu dość nieudolnie napisany, zbyt rozgorączkowany i rozbiegany. Dygnitarski wtedy towarzysz Jan, w przerwach między oficjalnymi celebracjami pierwszej powojennej wizyty w Rzymie, pokwitował moją replikę olimpijsko-ironicznym uśmiechem.

W trzydzieści lat później Szczepański, nieporównanie lepiej i dojrzałej ode mnie, rozplątuje spleśniałe węzły starego sporu. W *Liście do Juliana Strykowski* pisze: „Zapomniany głos Conrada odezwał się z nieoczekiwaną mocą w mrokach Polski podziemnej”. W eseju wstępnym, pamiętniczku akowskiej młodości, czytam: „I oto okazało się, że Jim był jednym z nas, w naszym własnym świecie. I dzięki niemu Joseph Conrad też stał się jednym z nas”. Albo: „Potrzebowaliśmy natychmiastowych uzasadnień dla imperatywnego, nie podlegającego dyskusji TAK TRZEBA — jedyne objawienia, oświeclającego nasze ryzykowne drogi. Skuteczniej niż ktokolwiek inny uzasadnień takich dostarczał wielu spośród nas Joseph Conrad, sceptyk i romantyk (jak my), świadom, podobnie jak my, grozy istnienia,

przeświadczony głęboko o bezprzedmiotowości wszelkich dociekań prawd ostatecznych i wobec tego widzący istotny sens życia w ocaleniu poczucia ludzkiej godności — owego jedyne śladu najwyższej prawdy czy boskości, jaki jesteśmy w stanie rozpoznać w sobie i określić... Odkryliśmy nagle, że Conrad był aktualniejszy niż wszyscy. Jak gdyby czekał na ten czas, żeby wyznaczyć nam kurs na mapie... Był dla nas prorokiem nadziei”.

22 sierpnia

Diagnoza sytuacji w Polsce z *Krótkiego traktatu* Besançoną wygląda plus minus tak. W Polsce społeczeństwo rozděło się do tego stopnia, że aparat partyjny stał się prawie niedostrzegalny. Widzialnymi znamionami reżymu są jego ogólna nędza, narzucona niewydańność, kontrola słowa publicznego i drukowanego, policja. Nie wiadomo czy *Nep* nie dotarł do punktu bezpowrotnego, poza którym komunizm polski, utrzymujący się dotychczas siłą patronatu sowieckiego, odczuje gwałtowną potrzebę końskiego zastrzyku „bratniej pomocy” i „internacjonalizmu proletariackiego”. Polska żyje w tym strachu.

Bezprzedmiotowe byłoby wyklócanie się o detale, o to czy Besançon dostatecznie wycieniował swoją diagnozę, w sumie wydaje mi się ona ścisła. I potwierdziły ją „zaburzenia czerwcowe”. Nawet włoski *Corriere* (a to dużo powiedziane odkąd posterował zdecydowanie „na lewo” i dał się skaptować dla „kompromisu historycznego”) wieści wszem i wobec, w raporcie swego wysłannika specjalnego do Warszawy: „Kryzys, który wybuchł w Polsce, jest kryzysem globalnym; obejmuje całą gestię Gierka, jego sposób pojmowania stosunków politycznych i społecznych”. Globalności kryzysu rządów Gierka towarzyszy coraz globalniejszy proces „rozdymania się społeczeństwa”. Ten czy ów uzna to za przeholowanie z mojej strony, za produkt emigracyjnych iluzji, sądzę jednak że błyskawiczna i prawie bezkrwawa rewolta robotnicza w czerwcu sporo soków żywotnych zaczerpnęła z inteligentkiej głównie „rewolty konstytucyjnej” w grudniu i styczniu. Może połączenie naczyń odbyło się na wpół tylko świadomie, raczej instynktownie, ale ważne jest że w ogóle nastąpiło. I z reakcji „konstytucjonalistów” na sądy „ustroju socjalistycznego” nad zbuntowanymi robotnikami (List Trzynastu, list Kuronia do Berlinguera, list Andrzejewskiego do oskarżonych) wolno wnosić, że nie łatwo będzie pałąk policyjną lub wojskową pepeszą roztrząsać miejsce połączenia naczyń.

Reżym przeżył od swej intronizacji kilka kolejnych infartów, na prędcę zaleczonych. W medycynie społeczno-politycznej bywa

przeważnie tak, jak w zwykłej: każdej następny zawal jest, niezależnie od nasilenia, groźniejszy od poprzedniego. Zbliżamy się do momentu, w którym agonię zapowiada definitywna izolacja Władzy? To właśnie miał na myśli krajowy wynalazca znakomitej w swej lapidarności formuły: partia, wzywając dziś społeczeństwo do otwartego dialogu, chce w gruncie rzeczy dialogować nadal i może liczyć wyłącznie na dialog z własnym echem?

23 sierpnia

Zanim ktoś z Warszawy przywiózł mi zdobyty z trudem egzemplarz *Kalendarza i klepsydry*, o nowej książce Tadeusza Konwickiego napływały ciekawostki w cyfrach: wydano piętnaście tysięcy, rozsprzedanych w ciągu dnia; dyrektor wydawnictwa zapewniał że mógłby być, bez żadnego ryzyka, rzucić na rynek stutysięczny nakład; targi autora z cenzurą — włoskie *tira e molla*, „ciągnij i popuszczaj” — zamknięto dziewięćdziesięćoma cięciami lub retuszami.

Istnieje tyle stylów dziennika, ilu jest pisarzy decydujących się na pisanie dziennika. Na szarym końcu kryteriów w ocenie jakiegokolwiek dziennika postawiłbym tak zwaną „szczerłość”: z wyjątkiem dzienników zaszyfrowanych (Samuel Pepys!) nie ma takiego zwierzęcia jak „naga szczerłość” w *journal intime*, dużo już gdy pisarz odważa się zanurzyć w szczerości typu *top-less*. Reszta jest szczerością na zasadzie kokieterii, z nieustannym obsuwaniem i podciąganiem „dolnego” kawałka kostiumu. Sęk w tym czy ta świadoma kokieteria staje się czy nie staje pasjonującą grą intelektualną, w której stawką jest cały pisarz, a kibicami są wszyscy czytelnicy. „Wprowadzam cię tylnymi drzwiami do mojego najskrytszego wnętrza, łaskawy czytelniku, zauważ proszę że gram o sobie *va banque*, uszanuj to i kibicuj z czerwonymi uszami, będzie dla mnie nagrodą i komplementem, jeśli od czasu do czasu przywodzi ci się że i ty, choć z pustszymi kieszeniami od moich, grasz *va banque* o siebie”. Taki jest, w bardzo wielu partiach, styl dziennika Gombrowicza. Konwicki podziwia ten styl, często porywa się na jego małpowanie, niestety nieudane. Bo w Wielkiej Grze jest raczkującym fuszerem, kąpanym w gorącej wodzie niezgrabiaszem. Nazywa *Kalendarz i klepsydrę* „dziennikiem fałszywym”, „łże-dziennikiem”, jak gdyby było takie czarowne i z góry rozbrajające wykładanie przy byle okazji kart na stół. Stąd nieunikniona w dziennikach tej maści domieszka kokieterii przeobraża się w jego dzienniku w zabójczo wysoką dozę minoderii.

Za jeden z przykładów może posłużyć ciągle minoderyjne krę-

cenie się dokoła własnej „polszczyzny”, niemal zarażenie się od prawdziwego bohatera *Kalendarza i klepsydry*, kota Iwana bez przerwy kręcącego się dokoła własnego ogona. Że niby jest to polszczyzna ubożuchna, zgrzebna, wsiowo-wileńska, pełna topornych „naleciałości”, że ho! ho! daleko jej do eleganckiej polszczyzny machających piórem „paniczów”. A tymczasem cały, zniechęcający urok języka Konwickiego bierze się z tej złotej żyły kresowego gawędziarstwa: kiedy Konwicki ewokuje znaną mu z dzieciństwa i młodości Białoruś, kiedy odtwarza sobie w imaginacji sienkiewiczowską Ukrainę, kiedy wyjaśnia dlaczego codziennie wieczorem modli się przed zaśnięciem, kiedy opisuje wizytę u resztek rodziny w litewskim już Wilnie, nawet kiedy ryzykuje spowiedź akowskiego a potem „pryszczatego” dziecięcia stalinizmu, czyta go się z zachwytem; *na szczęście* dochodzi wtedy do głosu polszczyzna żywa, bogata, świeża, pachnąca, rozedrgana jak rtęć, na bakier z prozą poprawną i aseptyczną, a więc nijaką.

Ale *na nieszczęście* Konwicki jest także „zawodowym literatem i filmowcem”, należy do „środowicha” czyli „towarzysza”. Co zobowiązuje do dwóch rzeczy: do przenudnej i kundlowato kabotyńskiej galerii Stasiów, Władziów, Guciów, Gucieńków, Romusiów, do tatarskiego rąbnięcia łbem przed wielkim Jerzym Andrzejewskim, do „aktu strzelistego” na cześć Słonimskiego; oraz do kołomyjki spatifowskich „historyjek” i „złoty myśli” na wszystkie tematy naszego wszechświata, suto okraszonych dowcipasami (nie rzadko wulgarnymi). W tym tokowaniu *Kalendarza i klepsydry* pojawia się, przy całkowitej snobistycznej odmienności środowiska, cień dziennika Lechonia.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pod koniec br. ukaze się
w BIBLIOTECE „KULTURY”
książka

JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

pt.:

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Będzie to wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Z poprzednio wydanych książek J. Mieroszewskiego jest jeszcze do nabycia ostatnia pt.: **MODELE I PRAKTYKA** (1970), str. 224. Cena F. 20,00.

Poprzednie książki:

EWOLUCJONIZM (1964) i
POLITYCZNE NEWROZY (1967)

są całkowicie wyczerpane.

Ponadto w języku niemieckim ukazała się w 1961 r. praca **KEHRT DEUTSCHLAND IN DEN OSTEN ZURÜCK?** — wydana przez Colloquium Verlag w Berlinie (wyczerpana).

Notatki niespiskowca

WSTĘP

*Nie, nie pod obcymi niebiosami
I nie obcych skrzydeł cień mnie skrył.*

— *Ja z narodem moim byłam, z wami,
Tam gdzie naród — na nieszczęście — był.*

A. Achmatowa, 1961.

Na Zachodzie spotykamy się często z odmawianiem jakiegokolwiek wartości temu wszystkiemu, czym żyła inteligencja Związku Sowieckiego w ciągu lat niemal sześćdziesięciu. Neguje się w ten sposób znaczenie całego jej dorobku w dziedzinie humanistyki i literatury jak też wszystkich jej zapędów i poszukiwań — jeśli tylko nie były one przejawem otwartej opozycji. Niektórzy najbardziej radykalni przedstawiciele wychodźstwa rosyjskiego zamykają w ogóle oczy na życie umysłowe ZSSR, starając się ignorować je całkowicie, zupełnie, jakby nie było wcale tych sześćdziesięciu lat w dziejach Rosji, albo — jakby wszystko, cokolwiek się w tym okresie działo, sprowadzało się jedynie do gwałtu zadawanego duszom i umysłom obywateli przez aparat partyjno-państwowy. Jest to wulgaryzacja — a zatem fałszowanie rzeczywistości, prowadzące do błędnych wniosków i rozbratu z logiką.

Książkę tę napisałem na Zachodzie — gdym był już „pod obcym niebem”, a nawet „pod ochroną obcych skrzydeł”. Mogłem pozwolić sobie na relację o niejednej sprawie, której byłem świadkiem lub ofiarą. Nie bacząc na to — patrzę na wypadki zachodzące w Związku Sowieckim niejako od wewnątrz i mówię o tym wszystkim nie po to, by stawiać mój kraj pod pręgierzem. To mój kraj, nie mam żadnego innego.

Kultura rosyjska złościła sobie mozolnie drogę — pokonując przeszkody — stawiane jej przez rozmaitych trucicieli myśli, burzycieli poezji, dusicieli teatru, malarstwa, muzyki. Co więcej: w tej walce o prawo do haustu powietrza, do życia — kultura nabierała tężyzny. Proces ten zasługuje na uwagę badaczy; niewiele jeszcze zrobiono, by go poznać.

Historiografia oficjalna opisuje ten zmundny proces jako marsz tryumfalny i jednokierunkowy. Gdy czyta się choćby taką „Historię literatury sowieckiej” z 1974 roku (pod redakcją P.Z. Wychodcewa, Moskwa, wyd. „Wyzszaja Szkoła”), to ma się wrażenie, że autorzy świadomie prowokują lepiej zorientowanych czytelników: „Socjalistyczne treści w coraz większym stopniu stawały się życiodajnym tlenem poezji i składnikiem organicznym świata duchowego człowieka nowej epoki, w którego imieniu przemawiali nowi poeci... Do kameralnej liryki A. Achmatowej — przede wszystkim, drogą reminiscencji — zaczyna przesączać się lekliwa myśl, że trzeba koniecznie „nauczyć się życia od nowa”, poczucie znaczenia, jakie ma dla sztuki aktywny stosunek do życia — („Przywaliło to kamienne słowo...” (str. 306-307). W tej charakterystyce poezji lat 30-tych mowa jest o bezustannym „rozwoju i ruchu wstępującym” — a każde słowo jest tu kłamstwem.

Trywialny i przemyślny sposób, w jaki fałszuje się fakty — jest nader znamieny: „Trzeba uczyć się życia od nowa” — jest to fraza z poematu „Requiem”, w skład którego wchodzi wiersz „Przywaliło to kamienne słowo...”. „Znaczenie aktywnego stosunku do życia” nic tu nie ma do rzeczy: Annie Achmatowej chodzi bowiem w tym wierszu o skazanie jej syna, Lwa Gumilowa. „Kamienne słowo”... to po prostu wyrok, ba, cały wiersz tak się właśnie nazywa — „Wyrok” (1939), a „trzeba uczyć się życia od nowa”, bo samotność, bo syna zabrali:

*Przywaliło to kamienne słowo,
Moje piersi, które dyszą jeszcze,
Nic nie szkodzi, toć byłam gotowa
Jakoś tam poradzę sobie wreszcie.*

*Tyle jeszcze zrobić dzisiaj muszę:
Trzeba pamięć moją zamordować,
Trzeba w kamień zmienić moją duszę,
Trzeba uczyć się życia od nowa.*

*Albo raczej...
Za oknami pała*

*Poszum lata, jak skwarne zapusty.
Już od dawna w przeczuciu widziałam
Ten dzień jasny i ten dom mój pusty.*

Zacytowałem tu podręcznik uniwersytecki najświeższej daty, a przecież w roku 1974, w dniu publikacji, jego wydawcy mogliby wiedzieć, że minął już złoty wiek bezkarnych fałszerstw i że ktoś na pewno schwyta ich za rękę.

Tak oto wygląda jedna strona medalu. Ta wschodnia.

Ale jest jeszcze druga strona. Zachodnia.

Zachód rozpatruje literaturę sowiecką z punktu widzenia zupełnie przeciwnego — i wcale nie mniej fałszywego. W pracach publikowanych na Zachodzie, wyczytać można, że Anna Achmatowa od samego początku należała do emigracji wewnętrznej, mieszkała w Rosji Sowieckiej ciałem jeno, separując się wytrwale od całego otoczenia i unikając bliźnich, szukając samotności, starając się zredukować do minimum kontakty z dookołnym światem i społeczeństwem. A to też nieprawda. Mniej czelna, niż otwarte kłamstwa Wychodcewa, ale również pacząca rzeczywistość. Anna Achmatowa już w 1917 roku wyznała — w jakże znamienym i znanym wierszu „W chwili udręki samobójczej”:

*Doszedł mnie głos. I najtąskawsze
To były słowa: „Rękę daj
I chodź tu. Porzuć Ruś na zawsze
Porzuć ten głuchy, grzeszny kraj.
Ja zmyję ślady krwi z twych dłoni
A z twego serca — wstydu czerni.
Dam imię nowe — i zapomnisz
Co kłęski ból i krzywdy cień”.
— Lecz obojętnie i surowo
Do uszu wzniosłam ręce obie
By tymi sromotnymi słowy
Nie skałał się mój duch w żałobie.*

Skąd jednak ta „wstydu czerni”? Achmatowa nie ponosiła żadnej winy za krew, przelaną podczas rewolucji w Rosji, nikogo przecież nie zabiła. Jak sądzę, przyjęła ona postawę najwyższej miary, jedyną zresztą — godną poety, biorącego na siebie odpowiedzialność za swój naród, za wszystko, co naród uczynił i co dalej czyni. Po upływie czterdziestu pięciu lat Anna Achmatowa mogła z dumą wypowiedzieć słowa, zacytowane jako motto tej pracy.

To nie żadna emigracja wewnętrzna, tylko współuczestnictwo i współodpowiedzialność.

Także piszący te słowa poczuwa się do odpowiedzialności za wszystko, w czym brał udział. Nie uważa za możliwe, aby stać z boczku, obserwować spokojnie kraj, porzucony na pastwę losu i ze złośliwą satysfakcją rejestrować kłeski i zbrodnie. Satysfakcje tego typu pozostawmy osobom postronnym.

Wstyd — owa „czern wstydu”, o której pisze Achmatowa jest uczuciem implikującym współuczestnictwo. Ja sam, podobnie jak moi rówieśnicy, poznałem to uczucie wcześniej i przeżyłem to w ostrej formie. Przed wojną, a zresztą przez wiele jeszcze lat po jej zakończeniu, mieszkaliśmy w mieszkaniach wielorodzinnych: we wspólnej kuchni, gdzie wśród prymusów i kuchenek naftowych kręciły się markotne współgospodynie — a każda rodzina miała swój osobny licznik elektryczny, osobny dzwonek przy wejściu („Do Romanowów — dzwonić 6 razy”, „Do Lurie — dwa dzwonki długie i trzy krótkie”) i osobny, przenośny sedes do miski klozetowej. Ale nie tyle te wspólne kuchnie mnie gnębiły, co zakaz zapraszania cudzoziemców. „Spotykajcie się z waszymi znajomymi w restauracji — tak mi radzono w Związku Pisarzy — do mieszkań 'komunalnych' zapraszać ich nie należy”. Nie należy? A właściwie dlaczego? Trudno, takie to mieszkania i już. Czego się bać? Kto ma nas prawo potępić? Ale nie wolno. Cudzoziemcy nie powinni znać naszego życia codziennego. Ilekroć natykałem się na to „nie należy”, „nie wolno” — ogarniał mnie wstyd.

Czy wiesz czytelniku co to takiego — „lipa” *?

W Związku Sowieckim istnieją autostrady, którymi mają prawo jeździć cudzoziemcy. Pokryte są gładkim asfaltem. Po obu stronach takich szos ciągną się rzędy zgrabnych domków, pięknie ogrodzonych i otoczonych klombami, co i rusz widać też kioski z kolorowymi kukielkami. A z tyłu — opłotkami biegnie wiejska droga, pełna kałuż. Nie widać przy niej pstrych kiosków, z rzadka tylko — stoi wiejski sklepik z chlebem, i wódką. Cudzoziemcy tych sklepików nie widzą, nie grzęzną po osie w kałuży, do swoich hoteli dotrą z całym komfortem. W „Astorii” wszystko już dla nich przygotowano, byle by tylko nie musieli wchodzić w kontakt z codzienną rzeczywistością: jest nawet sklep „Bieriozka”, pełen najwykwintniejszych towarów, które nabyć można tylko za dewizy. Otoczenie hotelu jest bardzo estetyczne i kupić można wszystko bez kłopotu — a cudzoziemcy nie chodzą daleko i w promieniu ich spacerów wszystko jest

* W oryginale — pokazucha — wyraz mający już prawo obywatelstwa również w polskim języku.

zaprogramowane należycie. Dwie ulice dalej, w masarni brak mięsa, za to tutaj, pełno eleganckich sklepów z nikomu niepotrzebnymi, ale robiącymi wrażenie telewizorami i starą porcelaną.

To właśnie jest lipa, czyli „pokazucha”

Występuje ona wszędzie. Związek Sowiecki wystawia się na pokaz, zaleca się do cudzoziemców, smarując policzki teatralną szminką i budując makiety z dykty.

Czułem gorzki wstyd ilekroć natrafiałem na taką „pokazuchę”. Miałem takie uczucie, jakbym to ja kogoś oszukiwał, całkiem, jakbym na spotkaniu z ukochaną kobietą wkładał perukę, aby ukryć, że jestem łysy.

Nasza ulica w Leningradzie wysadzana była niedużymi lipami i dzięki tym lipom nasz zapyłony, niepozorny zaułek nabierał przytulności i uroku, przypominał mały, cienisty bulwar. Pewnego ranka byłem świadkiem, jak samochodowa wywrotka wywozi ostatnią z naszych lippek, w ślad za nią ruszyła w drogę koparka, która już całą robotkę wykonała. Ośupiłem: komu potrzebne były te nasze drzewka? Wkrótce wyjaśniło się, że za parę dni ma przyjechać do Leningradu Nixon — i oto jedną z ulic, przez które prowadzi trasa przejazdu, konieczne trzeba upiększyć — tam więc powędrowały nasze lipki. Było to w maju: drzewka wkrótce uschły. Ale prezydenckie oko napaść się miało widokiem zielonych gałęzi, a nie kamiennych pustaci. Na innych jeszcze ulicach, które miał mijać, domy wypucowano i nawet odmalowano — ale tylko do pierwszego piętra, nie wyżej: przecież nie będzie wychodził z auta, a z okien samochodu widać tylko parter.

To również „pokazucha”.

To właśnie napawało mnie wstydem.

Pod koniec wojny armia sowiecka wkroczyła w głąb Europy i oto przemaszerowałem w jej szeregach całą Rumunię, Węgry, Bułgarię. Jaką radość i dumę odczuwał każdy z nas, oficerów sowieckich, żołnierzy armii, która pokonała faszystów! Jakim uczuciem darzyły nas, jak cieszyły się na nasz widok Rumunki, Bułgarki obsypujące naszych czołgistów kwiatami! Czułem więc dumę i radość, bo nie kto inny, tylko my pobiliśmy hitlerowców, to my przynieśliśmy wyzwolenie naszym przyjaciom. Kiedy zaś owi wyzwoliciele, nażłopawszy się młodego wina do nieprzytomności, wdzierali się do sklepów jubilerskich i sypali garściami zegarki do plecaków, że aż cały ogromny worek ruszał się i tykotał, jak żywy — nie czułem już nic, prócz dręczącego wstydu — nie mogłem już spojrzeć w oczy tym samym Rumunom, z którymi ściskaliśmy się po bratersku poprzedniego dnia. Bo oto myśmy ich wyzwolili — i myśmy ich też ograbili.

A gdy armie Paktu Warszawskiego wkroczyły do Czecho-

słowacji — rozumiałem dobrze moich przyjaciół z Pragi czy z Brna, którzy przestali pisywać do mnie i nie odpowiadali już na moje listy: byli przekonani, że ja również ponoszę odpowiedzialność za tę okupację. Najbliższe temu odczuciu były wtedy dla mnie te przeszywające wiersze Twardowskiego, które przekazywano sobie z rąk do rąk:

*Co począć mi z przysięgą i jak odzyskać spokój,
Gdzie słowa, by powiedzieć drętwiejącymi usty,
Jak nas witała Praga w czterdziestym piątym roku,
I jak nas powitano tu w sześćdziesiątym ósmym?*

Nie zapomnę też wiersza innego poety sowieckiego wiersza napisanego po XX-tym Zjeździe i też przepojonego poczuciem tragicznej współwiny:

*Wszystkim nam po nagrodzie dano,
By jego chwałę szerzyć.
Spokojnie szliśmy drogą znaną
Przez czas, co trupem leży.*

*Wszyscyśmy z jego gwardii wilczej,
On uczył nas rzemiosła:
Jak tulić pysk, gdy z naszych milczy
Narodu krzywda rosla.*

*To my: gardzący słowem szczerym,
Drżący co noc, do rana,
Gdy on tymczasem — z naszej sfery
Dobierał katów dla nas.*

*Myśmy stawiali mu pomniki
Bez ceny i bez liku,
My gasiliśmy bólu krzyki
Wodą penegiryków.*

*To na nas, czułych głosicielach
Podniosłych prawd i dążeń
— Za krew Łubianki i mrok w celach
Odpowiedzialność ciąży.*

*Karę pogardy nieugastej
Niech prawnuk nam wymierzy:
Każdemu, wedle jego zasług,
Co komu się należy.*

*Takie to proste i, zaiste,
Takie to teraz jasne.
Nam nie ten trup jest nienawistny,
Lecz zaślepienie własne.*

Dygresja o emigracji

*Dźwięczy mi fałszem imię nadane nam tu: emigranci.
Znaczy to przecież — wychodźcy. My zaś
Nie z dobrawoli przeszliśmy granice naszego kraju
By szukać innej ojczyzny. I nie potośmy przyjechali
Do tego kraju obcego, aby tu osiąść na zawsze.
My uciekamy, to wszystko. Uciekinierzy, banici.
Nie domem, ale wygnaniem ma być ten kraj, co nas przyjmie.*

Bertolt Brecht

„O znaczeniu określenia — emigranci”.

Ostatnimi czasy wyjeżdża z Rosji coraz to więcej twórców kultury, pisarzy, matematyków, biologów, muzyków, malarzy, tancerzy, lingwistów, historyków sztuki, fizyków. Wyjeżdżają w rozmaity sposób, jak który potrafi — jedni wykorzystują stosunkowo ulgowy tryb urzędowy, przewidziany dla Żydów, inni zostają za granicą w trakcie wyjazdów turystycznych, jeszcze inni proszą o azyl na Zachodzie będąc tam na delegacji służbowej... Od dawna już — i z wciąż wzrastającym niepokojem — przyglądałem się temu tragicznemu egzodusowi: nawiasem mówiąc — wyjeżdżają wcale nie tylko Żydzi. Wystarczy wymienić takich emigrantów — nieżydowskiego pochodzenia, jak wionlczelista A. Wołkonskij, malarz M. Szemiakin, poeta i tłumacz W. Betaki, pisarze — W. Niekrasow, W. Maksymow, A. Siniawskij, lingwista Szarawoszkina, teolog — Lewitin — Krasnow i wielu innych. Nie godzi się zresztą dzielić ludzi na Żydów i nie-Żydów, opuszczają kraj po prostu twórcy kultury rosyjskiej i nic tu nie ma do rzeczy, jaką narodowość wpisano im do paszportów. Naum Korżawin — jest rosyjskim poetą, chociaż w latach walki z kosmopolityzmem na pewno by mu wypomniano, że jego rodowe nazwisko brzmi — Mandel. Josif Brodskij ma swoje miejsce w rosyjskiej literaturze, tworzonej — i to niezależnie od metryk — przez takich ludzi, jak Anna

Achmatowa, Marina Cwietajewa, Osip Mandelsztam, Borys Pasternak. Nieraz już przytaczano słowa Juliana Tuwima: „Łączy nas nie ta krew, która płynie w żyłach, lecz ta, którą z żył przelano...”. Tak jest właśnie — i my nasiąknięci najbardziej postępowymi ideałami stulecia, nie będziemy przecież zniżać się do zoologicznego rasizmu, który niestety skaził poglądy wielu naszych rodaków, nawet bardzo utalentowanych, jak W. W. Rozanow. „Żyd usiłuje zmyć z siebie jakiś kosmiczny brud, jakiś pot przedpotopowy... Żydowska usłużność wrzyna mi się w dłoń, jak ćwieki. Żydowska przymilność parzy mnie, jak ogień. Jeśli bowiem naród mój skorzysta z tych usług ochoczych — to szczerze... Siłą Żydów jest ich przylepność. Ich palce są całe w kleju... Cała literatura (teraźniejsza) nosi na sobie ślady żydowskich palców. Nie dość im, że sięgają nam do kabzy; chcą teraz zawładnąć duszą rosyjską” („Opadłe liście”, kosz I-szy i II-gi, 1912-1915). Przed sześćdziesięciu to laty napisane zostały te słowa, pełne nienawiści i jadu.

A działał przecież — w tym samym okresie inny rosyjski pisarz i publicysta, W. G. Korolenko, twórca i szerzyciel innych zgoła poglądów — ale widać nienawiść, którą pałał Rozanow — okazała się silniejsza od szlachetności Korolenki. Dzisiaj, w połowie lat siedemdziesiątych XX-go wieku, znów głosi się w naszej ojczyźnie, że Żydów rosyjskich różni od ludności „rdzennej” ich krew, że na pożywe tej odmiennej krwi rośnie ów „kosmiczny brud” i „przylepność”. Ale byliśmy świadkami Oświęcimia i sprawy „morderców w białych kitlach”, więc nie chcemy powtórki tych spektakli. Wiemy już, jak łatwo jest przejść od „opadłych liści” do Babiego Jaru, komór gazowych i krematoriów.

Wyjeżdżają więc Żydzi, którzy sami się za Żydów mają i sądzą, że ich obowiązkiem życiowym jest wzięcie udziału w budowaniu państwowości izraelskiej. Wyjeżdżają też nie-Żydzi, ci mianowicie, którzy — choć z dawnych danych paszportowych wynika, że nie są Rosjanami — przecież uważają się za potomków Puszkina („Prawnuk szkarady czarnoskórej, w dzikim prostactwie wychowany...”). Wyjeżdżają też ludzie, których z żydostwem nie łączy nic oprócz — bywają takie wypadki — solidarności moralnego charakteru. Wyjeżdża inteligencja.

Dawniej inaczej bywało. Tak zwana pierwsza emigracja nosiła charakter klasowy: byli to duchowni, szlachta, oficerowie, burżuazja, związane z nimi grupy literatów i artystów; w tamtym okresie, tuż po rewolucji, starali się opuścić Rosję wszyscy, którzy nie chcieli uznać rewolucji socjalistycznej i bali się jej — nie wiedząc nawet jeszcze, co przynieść ma ona krajowi. Rewolucja skierowana była przeciw nim; zrozumieli więc, że starali się za wszelką cenę wyemigrować.

Druża fala emigracji była następstwem wojny z Niemcami: na Zachodzie pozostali „dipisi”, byli jeńcy, uchodźcy. Były to głównie osoby „odmawiające powrotu”. Na ich decyzję wpłynął nie tyle świadomy wybór polityczny, ile raczej lęk, że padną ofiarą terroru stalinowskiego; groził on wszystkim, którzy byli w niewoli, albo w jakikolwiek inny sposób znaleźli się po tamtej stronie kurtyny.

Teraz przyszła kolej na trzecią falę. Nie nosi ona charakteru klasowego, jak pierwsza — i częstokroć nie ma związku z okolicznościami politycznymi, jak druga. Składają się na nią ludzie, którzy sami podjęli decyzję opuszczenia ojczyzny i wyjazdu do innego kraju, za warowną granicę, bez żadnej nadziei na powrót. Są wśród tych ludzi chciwi, zachłanni, kołtuny, których fascynuje tylko zachodni dobrobyt, pornografia w kinach, szykowne samochody, nocne kabarety i długonogie nimfy z Placu Pigalle. O ludziach tego pokroju mówić nie warto — naród krzepnie, uwalniając się od takich współobywateli. Jest też kategoria pośrednia, w sensie moralnym stojąca wyżej. Ci ludzie wyjechali, ponieważ na Zachodzie żyje się po prostu lepiej, swobodniej, łatwiej, bo można podróżować bez przeszkód, czytać gazety rozmaitych partii, nie bać się donosicieli, wywiadowców, mikrofonów w ścianie, nocnych dzwonek do drzwi... Można tych ludzi zrozumieć — ich wybór ma podstawy: zrobiono w naszym kraju wiele, aby wyzbyli się oni nawet cienia patriotyzmu. Wyjeżdżają też, jak mówiliśmy, syjoniści-ideowcy, albo Niemcy — aby zapewnić dzieciom przyszłość tam, gdzie nikt im nie powie, że mają „lepkie palce”, albo, że są „szkopami”. A przecież jeszcze niedawno także oni (pamiętam to doskonale) uważali się za Rosjan, a w każdym razie — za ludzi sowieckich. Ale wyklarowano im bardzo przekonująco, że daremne to starania: element obcy zawsze będzie obcym elementem, choćby nie wiem jak usłużnie się zachowywał wobec „elementów rdzennych”. Choćby człowiek ze skóry wychodził — „rdzenni” mu nie podziękują i w najlepszym wypadku czeka go los wielkiego dowódcy, Barklay’a de Tolly. W roku 1812 Barklay ocalił armię rosyjską od zupełnej klęski, niemniej — odebrano mu w końcu dowództwo naczelne.

Puszkina, który zrozumiał, że Barklay jest postacią tragiczną i heroiczną, napisał w wierszu „Wódz”:

*Nieszczęsny wodzu, los twój gorzki jest zaiste:
Wszystkoś w ofierze dał krainie nieojczystej
Nieprzenikniony dla tej dziczy ladajackiej
Sam na sam z myślą swą, kroczyłeś własnym szlakiem.
Imienia twego obcym brzmieniem zadraśnięty
Lud cię znieważa, lżąc i szydząc, jak najęty,*

*Ten lud coś zbawił go tajemnie ode klęski
Plwa na twój siwy włos, o wodzu nasz zwycięski.*

Oto sekret wszelkiego antysemityzmu, nawet typu ideowego, jak u Rozanowa: „imięcia twego obcym brzmieniem zadrażniony...”. Wszystko można wybaczyć, prócz owego obcego brzmienia. Czy można pozwolić, aby rosyjski poeta nazywał się Küchelbecker, albo Mandelsztam? A malarz — Lewitan? A filozof — Gersenson?

Ludzie wysokiego ducha potrafili wznieść się ponad poczucie obrazy i wybaczyć „dziczy lada jakiej” jej przesady. Barklay de Tolly nie przestał być rosyjskim patriotą i oddał za sprawę Rosji życie. Mandelsztam pozostał rosyjskim poetą i na przekór wszystkiemu marzył, aby:

*... tej głodzi bezmyślnej
bronąć, strzec, w długopolej odzieży komiśnej...*

Opuszczają Rosję również inni ludzie: ci, którzy wierzą w swoje siły duchowe i wiedzą, że w kraju ojczystym nie dane im będzie tych zdolności w całej pełni wykorzystać. Wydziały personalne nie przyjmują ich do pracy. Obcinani są przy egzaminach na aspiranturę, choć wiadomo doskonale, że są urodzonymi badaczami. Na kongresy ich się nie wysyła. Ich dzieła nie mogą czekać się publikacji (bo „obce brzmienie” na grzbiecie!).

Tym samym samolotem co ja, wyleciał z Leningradu Jakub Miłkis, koncertmistrz i drugie skrzypce orkiestry filharmonii leningradzkiej, jednej z najlepszych na świecie. Kilka lat z rzędu orkiestra ta występowała gościnnie w rozmaitych stolicach Zachodu i Wschodu, ale Miłkis nigdy w tych występach nie brał udziału. Dlaczego? Nikt nie chciał mu tego wyjaśnić. Aż tu pewnego dnia wytłumaczono mu, że ma przecież w Kanadzie ciotkę, Miłkis zbaraniał: jaka tam ciotka, toć nie znał jej nawet. Orkiestra dalej występowała w zagranicznych metropoliach, a Miłkis siedział w domu. Że jest muzykiem najwyższej klasy — nikt nie miał wątpliwości. Ale zawsze lepiej trzymać go w domowym zaciszu. Żydzi są „klejcy”, wszyscy są w głębi duszy syjonistami, nie wolno okazywać im zaufania. I oto Miłkis, rosyjski muzyk, z całego żydostwa mający tylko śmieszne dla rosyjskiego ucha nazwisko — owo „obce brzmienie” — wyemigrował. Do nieznannej ciotki w Kanadzie. Tam przyjęto go do orkiestry, dzieci zaś jego poszły do konserwatorium.

Gorzkie to i straszne historie. Twórcy rosyjskiej sztuki wyjeżdżają na Zachód, idzie w rozsypkę część naszej kultury. Materiał twórczą poety jest język ojczysty — i gdy dźwięczy dokoła

niego obca mowa — pisarz stopniowo niemieje, jego wrażliwość się przytępia, jego słowa tracą blask. Badacz formuje się w łonie jakiejś szkoły, ma swoich antagonistów i sojuszników, kontakt z nimi jest niezbędny. W obcym świecie, pozostawiony samemu sobie, nierzadko wędnie, jako uczonej; bez swoich mistrzów i uczniów, oponentów i czytelników, traci wyczucie kierunku i celu badań. Wyzuty z ojczyzny, stając się „bezpieństwowcem” może zostać w końcu nawet mieszcuchem — tak też bywa: na szczęście nie zawsze, ale dość często.

Mądry Puszkina pisał:

*Każdy zna dwoje uczuć czystych
I serce soki czerpie z obu:
To miłość progów jest ojczystych
I miłość do ojczystych grobów.*

*Niechaj tych zrębów nikt nie kruszy.
Na nich, z wyroku Opatrzności,
Wspiera się niezawistość duszy,
— Rękojmia chwały i wielkości.*

Drugą strofę Puszkina zastąpił w rękopisie inną, o tonie bardziej kategorycznym i solennym:

*Oto są święte życia źródła.
Bez nich — i martwa, i uboga
Byłaby ziemia, jak wychłódła
Pustynia, albo chram bez Boga.*

Wynika z tego, że dla Puszkina zarówno sens wewnętrzny życia ludzkiego jak sprawa godności niezależnego, wolnego człowieka, a także kwestia duchowej treści całego naszego bytu — wszystko to zależy od poczucia ścisłego kontaktu z tradycją, od więzi, łączącej trwanie w czasie z istnieniem w przestrzeni. Zerwanie owej więzi równe jest śmierci!

◆

Jeśli wysnuć z tkaniny nitkę, to zarówno nic nie traci rację swego bytu, jak i sama tkanina się pruje. Wyjeżdżać trzeba wtedy, gdy człowiek czuje już stryczek na gardle, gdy pozostawanie w kraju grozi zgubą i nie rokuje żadnego pożytku, kiedy nitka już z tkaniny jest wypruta i nikt jej wsnuć z powrotem nie potrafi. Ale póki jeszcze jej nie wyciągnięto, póki jeszcze jest na miejscu, w osnowie, póki nie zaszyły sprawy nieodwracalne

— trzymaj się, człowieku, trzymaj się wszystkimi siłami, zębami i pazurami.

To właśnie sam sobie mówiłem, myśląc o przyszłości i zastanawiając się nad stanem teraźniejszym. Bardzo pragnąłem poznać Zachód: całe życie zajmowałem się naukowo literaturą francuską, a nigdy nie udało mi się zobaczyć Francji: nie pozwalano mi nawet na wyjazd turystyczny. Od wielu lat tłumaczyłem poetów niemieckich — od Hansa Sachsa do Bertolta Brechta i Ericha Kaestnera, a nigdy nie widziałem Niemiec i już nie miałem nadziei, że kiedykolwiek je ujrzę. Prowadziłem studia nad twórczością Maeterlincka i Verhaernea, sporo o nich napisałem, a nawet nie marzyłem już, że pojedę kiedyś do Belgii.

Bliski mój przyjaciel, Włodzimierz Szor, wybitny znawca literatury francuskiej i języka francuskiego, lubił odbywać imaginacyjne przechadzki po Paryżu: znał na pamięć wszystkie ulice tego miasta i rozgrywał każdy taki spacer, jak arcy mistrz, który nie musi nawet patrzeć na szachownicę. Po wielokroć czynił starania, aby pozwolono mu na wyjazd do wymarzonej Francji, ale nadaremnie: „imienia jego obcym brzmieniem zdrażnione” władze nie pozwalały mu jechać — ani w goście, ani na studia, ani dla celów turystycznych. Zmarł w wieku lat 54 i nigdy swoich marzeń nie zdołał zrealizować: Paryż widział tylko w wyobraźni albo w kinie. Wciąż myślę o tym człowieku. Latami dręczyła mnie chęć ujrzenia Aix-en-Provence, Paryża, Ferney, Lubeki i Genewy, wyspy Deunion i Brugge.

Ale wygnaniec nie jest turystą. Zwiedzić świat — kosztem wyrzeczenia się ojczystego powietrza, swoich bliskich swoich czytelników, języka, środowiska, swoich studentów? Wydawało mi się to czymś potwornym, czymś nie do pomyślenia. I gotów byłem walczyć dopóty, dopóki walka w ogóle była możliwa. Walczyć na przekór wszystkiemu — na przekór bezprawnej sytuacji Żydów, wszechmocy władz, i przemożnemu strachowi, który paraliżuje nawet najszlachetniejszych.

Ale wkrótce okazało się, że walka jest niemożliwa.

W początkach czerwca zebrałem kilka zaproszeń z różnych uniwersytetów — mowa o pismach, które zdołały przebić się przez blokadę korespondencji — i załączyłem je do podania, jakie posłałem na ręce przewodniczącego Najwyższego Sowietu N. W. Podgornego. Prosiłem o zezwolenie na wyjazd z rodziną do Francji na okres 2 lat. Po upływie miesiąca wezwał mnie OWiR¹. Dygnitarz w cywilu — był to, jak się okazało, generał

1. Oddział wiz i rejestracji cudzoziemców, przybudówka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Od OWiR'u zależy otrzymanie zezwolenia na wyjazd za granicę.

Smirnow — przyjął mnie w swoim dużym gabinecie (na biurku stał magnetofon z kręcącą się szpulą — może po to, by nastraszyć petenta, a może po to, by sam generał nie palnął czegoś niestosownego?) — i oznajmił, że moje podanie do N. W. Podgornego nie może być załatwione pozytywnie. „Takie formy wyjazdu nie są u nas przewidziane”. Próbowałem powołać się na precedensy: przecież właśnie na okres dwuletni wyjechali z ZSSR M. Rostropowicz, W. Maksymow, W. Niekrasow?... Generał Smirnow dał mi wyraźnie do zrozumienia, że dla mnie ten tryb wyjazdu nie istnieje. „W waszym wypadku — podkreślił z naciskiem — w waszym wypadku to nieaktualne”. Zrozumiałem: ci, na których przykład się powoływałem, należeli do „rdzennego” gatunku obywateli, są Rosjanami, ja zaś jestem Żydem i mogę wyjechać do Izraela, byle prędzej. Ale wyjazd do Izraela pociąga za sobą natychmiastową i nieodwracalną utratę obywatelstwa: z chwilą otrzymania wizy izraelskiej wyjeżdżający deponuje (i traci raz na zawsze) sowiecki paszport. Nie dość na tym: zgodnie z prawem musi jeszcze zapłacić pięćset rubli (około 2500 franków francuskich!) za zrzeczenie się tego obywatelstwa. Użeranie się nie miało sensu: deportacja musiała przybrać formę dobrowolnego wyjazdu, wyzucie człowieka z obywatelstwa miało nosić charakter „zrzeczenia się” go.

Mimo to zwlekałem jeszcze 3 miesiące — a nuż sprawa przybierze inny obrót? Ale nie przybrała. Czuję, że z dnia na dzień chmury gęstnieją — że KGB staje się coraz aktywniejsze, i że bezpośrednio już niebezpieczeństwo zagraża — i to nie tylko mnie, lecz — co gorsza — mojej córce. Nareszcie jeden z bliskich kolegów, od dziesiątków lat zaprzyjaźniony z moją rodziną, powiedział mi: — musisz jechać natychmiast — ani dnia zwłoki! Wciąż stykasz się ze znajomymi — a to grozi im zgonem. Młodzi ludzie przychodzą do ciebie, pomagają, otwarcie deklarują swoją solidarność i sympatię. A przecież ich nikt nie wybroni, żadne zachodnie uniwersytety ich nie zaproszą, gazety nie będą o nich pisać. Jak długo tu jesteś — tak długo grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Każdego z nich mogą pozbawić pracy ze środy na piątek. Czy nie rozumiesz, że jesteś za to odpowiedzialny przed nimi, przed nami wszystkimi? Nawet nas, starszych wiekiem i stażem, mogą wyrzucić z pracy i w najlepszym wypadku nie dadzą nam spokojnie doczekać się renty. Wyjeżdżaj!

W pamięci mojej ta rozmowa utrwaliła się jako jeden z najcięższych epizodów ostatniego okresu mego pobytu w Związku Sowieckim. Nawet najbliższy przyjaciel traktował mnie, jak trędowatego. Strach zajął ostatecznie miejsce solidarności. Mój przyjaciel miał, rzecz jasna, zupełną rację: sam będąc pod stałym

i czujnym nadzorem Organów — wciągałem niechcący w orbitę inwigilacji każdego, kto mnie odwiedził, albo podał mi dłoń na ulicy. Nie miałem nawet prawa żądać od moich przyjaciół aktów bohaterstwa. Coraz częściej wspominałem słowa Bertolta Brechta: „Biada krajowi, który musi liczyć na bohaterów!”

W ostatnich dniach września złożyliśmy w OWiR'rze podania o wyjazd do Izraela. Doświadczenie uczyło, że — podobnie, jak w innych wypadkach — odpowiedź nadejdzie nie później niż za 2 miesiące — a trochę czasu bardzo było potrzeba — aby wyekspediować księgozbiór, uporządkować i posegregować archiwum, załatwić sprawy majątkowe, pożegnać się z bliskimi. Sądziiliśmy, że czasu na to wystarczy, pod tym względem nie mieliśmy obaw. Ale nawet ta pewność okazała się zwodnicza: Odpowiedź nadeszła już po czterech dniach. Decyzja deportacji dawno już była gotowa, starałem się tylko tego nie rozumieć. 16-tego października wylecieliśmy do Wiednia, 25-tego przybyliśmy do Paryża.

Przytaczałem tu niedawno słowa Brechta. Gdy tłumaczyłem — w latach pięćdziesiątych — jego wiersze o emigracji, a nieco później — jego „Rozmowy uchodźców” nie sądziłem wcale, że teksty te okażą się kiedykolwiek tak dojmujące dla mnie aktualne. Wiersz „O znaczeniu określenia — emigranci” napisany przez Brechta w 1937 roku, przetłumaczony zaś przeze mnie w 1955-tym, kończy się słowami, którymi warto, jak sądzę, tę rzecz zamknąć:

*W ciągłej żyjemy gorączce, jak najbliższej się cisnąć granicy.
Czekamy na dzień powrotu, wypatrując z bijącym sercem
Najmniejszych zmian za kordonem.
Wypytujemy gorliwie każdego przybysza stamtąd,
Nie mogą zapomnieć niczego, niczego nie chcąc się wyrzec —
Niczego nie wybacząc, niczego co się zdarzyło.
Nie zmyli nas cisza cieśniny! Wszystkie słyszymy wrzaski
I wszystkie głosy z obozów. Toć sami przypominamy
Pogłoski o potwornościach, których udało się wyrwać
Poza graniczny kordon. Każdy
Z nas, brnący przez tłum w zdeptanych swoich trzewikach
Jest świadkiem hańby, płamiącej naszą ojczyznę.
Lecz nikt z nas tu nie zostanie. Bo jeszcze wcale nie padło
Ostatnie słowo.*

Jefim ETKIND

Sierpień-wrzesień 1975

Esery — Suresnes

(Tekst i cytowane wiersze tłumaczył Michał Kaniowski)

Archiwum polityczne

Ameryka we wrogim świecie

Rozwój świata, kierującego się zasadą samostanowienia w dwieście lat po narodzinach pierwszego państwa otwarcie oddanego zasadzie niepodległości, stał się w jakiś sposób problematyczny i groźny dla tegoż państwa, które przyczyniło się w tak bezpośredni sposób do ukształtowania nowego świata. Więcej, stwarza widmo Ameryki odizolowanej we wrogim świecie.

Ten świat okazuje się wrogi nie dlatego, że obwieszcza swą wrogość — choć tak się gdzieś zdarza — ile dlatego, że to, co się w tym świecie dzieje, wydaje się być sprzeczne z amerykańskimi wartościami i nadziejami. Polityka światowa nabiera charakteru egalitarnego, raczej niż wolnościowego, pod presją bardziej politycznie uaktywnionych mas, i skupia się przemożnie na materialnej równości raczej, niż na duchowych i legalnych aspektach wolności. Co więcej, globalny podział sił zaczyna faworyzować systemy polityczne odległe ideologicznie, kulturalnie, etnicznie i rasowo od amerykańskich antecedencji, a proces ponownej parcelacji tych sił grozi nowymi formami gwałtu. Wszystko to powoduje niepewność wśród Amerykanów co do kierunku światowych przemian, a w wielu częściach świata stwarza wrażenie, że Ameryka jest przeciwna zmianom na świecie.

W rezultacie nastąpiła zmiana w sposobie, w jaki Amerykanie widzą siebie w stosunku do reszty świata, i w sposobie w jaki większość świata widzi Amerykę. Tradycyjnie, Amerykanie widzieli swoje społeczeństwo jako falę przyszłości, jako wcielenie

* Niniejszy artykuł, oparty na rozdziale książki o tym samym tytule mającej się ukazać w wydawnictwie Basic Books, został opublikowany w *Foreign Policy*, lato 1976 r.

wartości wolnościowych o powszechnym zastosowaniu, a więk-
szość świata — czy byli to biedni imigranci, czy też czynni
przywódcy narodowi — mniej więcej podobnie widziała Ame-
rykę. To wolnościowe ogniwo określało miejsce Ameryki w świe-
cie i wyrobiło jej bardzo specyficzne stanowisko.

Dziś wielu Amerykanów odwraca się z przerażeniem od
świata, który — jak im się wydaje — zmierza w niewłaściwym
kierunku, a wielu obcokrajowcom, szczególnie w nowo-powsta-
łych państwach, Ameryka wydaje się obojętna, a nawet wroga
wobec ich problemów. Amerykańska szczodrość, która w prze-
szłości była widziana prawie jako nagroda historii za amery-
kańską wolność, skupia na sobie teraz zawiść, co z kolei rodzi
podejrzliwość Amerykanów wobec wartości egalitarnych głosz-
nych przez nowo-emancypowane państwa.

Niebezpieczeństwo ideologicznej izolacji

Ameryka zrodziła się w wolności. Ten zasadniczy fakt walnie
się przyczynił do kształtowania charakteru Ameryki i jej roli
światowej w przeciągu dwustu lat jej historii. Tenże fakt zdefi-
niował w przeciągu prawie całego tego okresu charakter reakcji
świata, który dostrzegł w jej duchowym wymiarze ważny aspekt
roli Ameryki.

Oczywiście społeczna, a nawet polityczna, rzeczywistość pozo-
stała daleka od ideału wolnościowego. Ameryka, zrodzona
w wolności, była w dużej mierze mieszkanką agrarnej arystokracji
opartej na niewolnictwie oraz nowopowstałej handlowej klasy
miejskiej, a prawo do głosu posiadało niewiele. Następnich 200
lat historii kraju można określić głównie w ramach walki o ideał
wolności i nadanie mu sensu w zmieniającym się układzie socio-
ekonomicznym. Walka z niewolnictwem, poszerzenie prawa gło-
sowania, otwarte drzwi dla imigrujących milionów, wprowadzenie
w życie ustaw społecznych, gwałt w jakim rodziły się związki
zawodowe, walki o prawa obywatelskie dla Murzynów, ostatnio
dążenia kobiet do samostanowienia, szły ręką w rękę z wzrostem
coraz to bardziej ogromnych fortun osobistych, poszerzającym
się zakresem publicznego wpływu koncernów, wykrystalizowaniem
się wielkich biurokratycznych skupisk instytucyjnej władzy i
wszechobecnego kulturalnego wpływu skomercjalizowanych środ-
ków masowego przekazu, opartych na zaledwie kilku, przeważnie
bazowanych w New York City, narodowych publikacjach i trzech
sieciach telewizyjnych.

Ten stan rzeczy spowodował dwojaką ocenę historii Ameryki.
Usprawiedliwia i najbardziej lakiernicze i najbardziej krytyczne

interpretacje jej przeszłości. Jednakże ambiwalencja, zakorze-
niona w złożonych procesach historycznych, nie przekreślał specjal-
nego symbolizmu historycznego czy też historycznej zasady ame-
rykańskiego posłannictwa. Bywają w historii chwile, które
uchwytyują i symbolizują jakiś nastrój, które wyrażają, jakkolwiek
niedoskonale, pewną przeważającą dążność, które nadają sens,
jakkolwiek niewystarczająco, w stosunku do odczuwanych dążeń.
Pojęcie wolności połączone z pojęciem postępu krystalizowało się
u schyłku XVIII-go i na początku XIX-go wieku, a powstanie
Ameryki te pojęcia zrealizowało. Aczkolwiek paralela może nie-
których zaszokować, mamy tu też wyjaśnienie, dlaczego Kuba
i Chiny są dziś dla wielu tak atrakcyjne. Pojęcie równości staje
się we wzrastającej mierze podstawowym nastrojem i odczuwaną
dążnością w coraz to bardziej przeludnionym świecie i bywa naj-
częściej pierwszym postulatem intelektualistów. Tak więc, mimo
ograniczeń i wszechobecnego nadzoru, którym podlegają spo-
łeczeństwa kubańskie i chińskie, dla wielu ludzi oba te kraje
stały się ważnymi symbolami, podobnie jak Ameryka narzuciła
się sympatyzującym i zafascynowanym Europejczykom z końca
XVIII-go i początku XIX-go wieku. Powracając do lektury
współczesnych opisów wczesnej po-rewolucyjnej Ameryki, ude-
rza mnie zakres, w jakim ich styl i zawartość pokrywają się
z opisami — w niecałe 200 lat później — z podróży do Chin
i Kuby. Ta paralela podkreśla wagę stosunku wydarzeń politycz-
nych do dominujących nastrojów lub krystalizujących się war-
tości; dane wydarzenie jednocześnie definiuje nastrój i działa
jako jego katalizator, przekształcając go w obowiązujący pogląd.
A więc zastana intelektualna chłonność bywa przeobrażana w stan
umysłu poprzez opis rzeczywistości, który rzekomo pokrywa się
z dążeniami, poprzez opis, który ma szczególną moc przekony-
wania ze względu na swą egzotykę — tak w wypadku ówczes-
nych podróży do Ameryki jak i obecnych podróży do Chin —
dzięki której narrator obleka się aurą uczestniczenia w wypad-
kach wyjątkowych i być może historycznie sakralnych.

Mamy więc powtarzające się opisy uczciwych i pracowitych
ludzi, kierujących się wyrobionym zmysłem moralności osobistej
i poświęcenia społecznego. W swych „New Travels in the
United States of America” z 1788 roku Brissot de Warville
stwierdził, że Amerykanie posiadają „prosty i przyjazny lecz
godny wygląd ludzi, którzy są świadomi swej wolności i dla
których wszyscy inni ludzie są po prostu równouprawnionymi
braćmi”. A w szczególności Bostończycy mieli opinię „uprzej-
mych dla cudzoziemców i uczynnych dla swych przyjaciół: są
czułymi mężami, kochającymi — żeby nie powiedzieć uwielbia-
jącymi — ojcami i dobrodusznymi panami... Dziewczyna tu

wierzy w przysięgi miłości, a jej młody człowiek dotrzymuje słowa, bo w przeciwnym razie cierpi wieczną hańbę. Dziewczęta wyjeżdżają w bryczkach na wycieczki wiejskie ze swymi kochankami i ich niewinnych przyjemności nigdy nie zachmurzają obelżywe podejrzania”.

Mamy też opisy wywiadów z czołowym przywódcą, człowiekiem pełnym wdzięku i obdarzonym wyjątkową wizją. W niezmiernie pouczającym dzienniku podróży po wschodnim wybrzeżu Ameryki, polski szlachcic Juliusz Niemcewicz, który towarzyszył Tadeuszowi Kościuszce podczas jego drugiej podróży do Stanów Zjednoczonych, podaje w swych „Podróżach po Ameryce 1797-1807” szczegółowy opis wizyty u Jerzego Waszyngtona i czyta się je — nie zamierzam tu żadnego *lèse majesté* — jak wywiady z nieco bliższych nam czasów. Niemcewicz został przedstawiony Generałowi na początku maja 1798 na przyjęciu w Georgetown, a później spędził dwanaście dni w czerwcu jako gość byłego pierwszego prezydenta w Mount Vernon. Daje nam żywy opis prezydenta i jego żony, jego stylu życia i poglądów. Na Niemcewiczu szczególne wrażenie wywarła polityczna wizja amerykańskiego przywódcy, a także jego duch społeczny. Lektura Niemcewicza daje oczywiste wrażenie, że znalazł się w obliczu historycznej eminencji, „wielkiego człowieka, którego cnoty są równe zasługom w służbie dla ojczyzny”.

Co najważniejsze, ci wcześnie kronikarze przekazują nam poczucie, że nowa amerykańska rzeczywistość rozpoczyna nową erę, której jest zarazem i symbolem i którą jednocześnie współtworzy. Edmund Burke, mimo swego sceptycznego stosunku do demokracji, chyba wyraził ten sentyment najlepiej: „Oto jest wielka rewolucja, rewolucja spowodowana nie przemieszaniem układu sił w którymś z istniejących państw, lecz poprzez powstanie nowego państwa, nowej kategorii, w nowej części globu. Spowodowała tak wielką zmianę we wszystkich układach i równowadze sił jaką by spowodowała nowa planeta w systemie słonecznym”.

Celem odnotowania powyższych faktów nie jest chęć wykreślenia paraleli między Ameryką a Chinami, czy też chęć kwestionowania słuszności tych obserwacji. Chodzi mi tu raczej o podkreślenie tezy, że w pewnych okresach historii są chwile, które nabierają szczególnego znaczenia, że Amerykanie winni być dumni z tych epizodów historii, a zarazem baczyć aby dany epizod nie okazał się tylko przejściowym zjawiskiem. Jak R. R. Palmer zauważył w swym „The Age of Democratic Revolution”, „Rewolucja amerykańska zbiegła się ze szczytowym punktem Oświecenia i była też do pewnego stopnia wytworem epoki”. Amerykański duch wolności oraz nowy i wyjątkowy eksperyment

konstytucyjny zaraziły Europę, tak że w rezultacie, według Palmera, „wyniki rewolucji amerykańskiej jako rewolucji były bardzo doniosłe i nie do przewidzenia. Rewolucja zainspirowała pojęcie nowej epoki, dała nowy sens pojęciu postępu, nadała cały nowy wymiar pojęciom równości i wolności spopularyzowanym przez wiek Oświecenia...”.

Powstanie Ameryki było więc momentem przełomowym. Retoryka amerykańskiej niepodległości oraz zasady Praw Człowieka wyraziły jak najbardziej dobitnie pojęcia i pomysły, które właśnie zaczęły wypływać na powierzchnię w Europie, ale których praktyczne zastosowanie było ograniczone przez potęgę konserwatywnych instytucji europejskich. Dopiero w o wiele bardziej elastycznym kontekście społecznym mogły te idee stać się politycznie dominujące, a ich usankcjonowanie jako oficjalnie przyjętych ideałów nowego państwa miało uwodzicielski wpływ na postępowych Europejczyków, zniecierpliwionych własnymi socjo-politycznymi strukturami i żądnymi głębokich przemian. Bez tego ideologicznego parcia sam fakt oderwania się od macierzystego królestwa kilku odległych, częściowo tradycyjnie agrarnych, po części merkantylnych kolonii, pozostałby bez większego światowego oddźwięku.

Wolnościowy aspekt narodzin Ameryki zdecydowanie przypieczętował jej świadomość i wywiera stały wpływ na sposób, w jaki Amerykanie sami się widzą, a także na sposób w jaki widzą ich obcy. Stał się bazą trwałego i potężnego mitu, który przetrwał nawet wówczas, kiedy Ameryka zaczęła działać jak inne państwa, nawet wówczas kiedy amerykański *business* stał się potężnie wzrastającą eksploatującą siłą w ościennych słabszych krajach, zwłaszcza Ameryki Środkowej, a nawet wówczas kiedy Ameryka stała się głównym bastionem państw, które tylko na siłę można by było scharakteryzować jako powodowane pasją wolności. Właśnie mit wolnościowy spowodował, że wojska amerykańskie były witane przez oszalałe tłumy w Europie, a nawet w niektórych częściach Azji. Tenże mit wolnościowy, a nie tylko nadzieja gospodarczego dobrobytu, przyciągał do Stanów Zjednoczonych, raczej niż do Ameryki Łacińskiej czy gdzie indziej, ogromne rzesze europejskich imigrantów.

Mamy tu więc żywotną i samozasilającą się tradycję pielęgnowaną przez amerykańskie czynniki oświatowe, umacnianą przez retorykę amerykańskich prezydentów, gorliwie wchłanianą i rozpowszechnianą przez poszczególnych Amerykanów, zwłaszcza w krajach ich pochodzenia. O tyle o ile XIX-ty wiek i pierwsza połowa XX-go wieku były politycznie zdominowane przez idee podkreślające wolność i narodowe samostanowienie, to amerykańskie wcielenie wolnościowych wartości dostarczyło ideologicz-

nej podbudowy prawdopodobnie bez precedensu dla amerykańskiej polityki zagranicznej.

Co więcej, struktura społeczna Ameryki i jej historia społeczna były w gruncie zgodne z tym prymatem pojęcia wolności. Ameryka posiadała najbardziej swobodne społeczeństwo, mimo że wiele aspektów jej struktury społecznej prowadziło do nierówności i zróżnicowanej wolności — albowiem właśnie dynamizm społecznego rozwoju Ameryki, a także zasada otwartej granicy dla imigrantów ze wschodu i dla pionierów na zachodzie, przyczyniały się do bezprecedensowej elastyczności. Wolność osobista, wolny rynek, społeczna i geograficzna ruchomość razem przyczyniły się do połączenia mitu i rzeczywistości w pojęciu liberalnej demokracji.

Ten stan rzeczy nie mógł być trwały, lecz przetrwał na tyle długo, aby ukształtować w specjalny sposób stosunek Ameryki do reszty świata. Był to stosunek wyzwalający. Nawet głęboki kryzys kapitalizmu amerykańskiego z lat 30-tych nie tylko, że nie pozrywał tych związków, lecz je nawet umocnił. Franklin Roosevelt, dawkując twórczo poprzez *New Deal* mieszankę liberalizmu z dozą socjalizmu na gruncie amerykańskim (obie te doktryny reprezentowały główne reakcje i normatywne syntezy wcześniejszych europejskich doświadczeń przemysłowych) ukształtował model, który dla wielu Europejczyków znów stał się absorbującą wizją przyszłości. Zdawał się nie tylko podtrzymywać, ale także poszerzać zakres wolności osobistej poprzez wypełnienie jej dodatkowo elementem egalitaryzmu społecznego. Tak więc druga wojna światowa i okres zaraz po wojnie stanowiły dwa szczyty atrakcyjności Ameryki.

W wyniku tego polityka zagraniczna Ameryki działała na podstawie ideologicznej bazy i masowej atrakcyjności, które stanowiły wyjątkowe atuty i prawdopodobnie przyczyniły się do hegemonii Ameryki w okresie po drugiej wojnie światowej w tej samej mierze, co jej potęga militarna i jej dochód narodowy. Aczkolwiek egalitaryzm zaczynał wykazywać przewagę w bardziej zaawansowanych społeczeństwach, jego atrakcyjność hamował z jednej strony zdyskredytowany stalinowski Związek Sowiecki a z drugiej fakt, że znaczna większość świata była zaabsorbowana własną emancypacją narodowościową. Ta emancypacja, jak Nehru, Nkrumah i Sukarno często podkreślali, czerpała swą emocjonalną moc głównie z rewolucji amerykańskiej raczej, niż bolszewickiej czy chińskiej.

W tym procesie dokonywała się jednak drobna, lecz stale wzrastająca przemiana. Społeczeństwa zachodnie, w dużej mierze zurbanizowane, niepostrzeżenie poczęły poświęcać coraz więcej uwagi sprawom dobrobytu, podczas gdy nowe państwa stawały

się natychmiast, prawie w momencie narodzin, wobec faktu światowej nierówności. Tak więc, uzyskanie zewnętrznej wolności, tylko w wyjątkowych wypadkach połączone ze swobodami obywatelskimi, stało się punktem wyjściowym poszukiwania większej równości w skali światowej — równości częściej definiowanej zewnętrznie (np. w Karcie Praw i Obowiązków Państw zaproponowanej przez meksykańskiego prezydenta Echeverrię w 1973 roku) niż praktykowanej wewnątrz danego kraju — tak że w przeciągu 25 lat dążenia tych bardziej wymownych i aktywnych działaczy politycznych uległy raptowej zmianie.

Ta nowa sytuacja kontrastuje ostro z okresem drugiej wojny światowej i powojennym. Karta Atlantycka rzeczywiście wyrażała dominujące aspiracje epoki i Ameryka była ich symbolem. Wówczas zainteresowania i wartości amerykańskie współgrały z interesami i wartościami bardziej aktywnych i ważnych części świata. Amerykanie sądzili, że broniąc wolności Europejczyków, powiększają stan własnych swobód; że finansując odbudowę Europy i Japonii przyczyniają się do rozwoju swego własnego dobrobytu gospodarczego. Dziś tradycyjne amerykańskie wartości indywidualizmu i wolnej inicjatywy, pracowitości i sprawności, są podminowywane wewnątrz kraju, a bardziej jeszcze za granicą, przez bierność, preferencję dla kolektywu narodowego i społecznego, dla równości społecznej i opieki społecznej. Dezyderat „nowego gospodarczego ładu” jest symptomatyczny dla tego nowego światowego nastroju, a stosunek Ameryki jest w tej materii dwuznaczny. Pogoń reszty świata za dobrobytem wydaje się wielu Amerykanom zamachem na ich własne bogactwa i groźbą konfiskaty owoców ich pracy, tak że w rezultacie przychylny stosunek wobec nowopowstałych państw został zwolna zastąpiony przez wzrastającą podejrzliwość i antypatię. Otworzyła się przepaść między wartościami i percepcjami Ameryki a dużych połąci świata.

Towarzyszące niebezpieczeństwo ideologicznej izolacji, bez precedensu w historii Ameryki, zostało zaostrzone przez nowy styl i nową treść amerykańskiej polityki zagranicznej, szczególnie polityki rządu Nixona, który doszedł do władzy w 1969 roku. Skryta, pokrętna i zwodnicza w stylu, zdawała się być oparta w dużej mierze na biernej obserwacji świata, na tradycyjnej równowadze sił, zmierzająca do układu pomiędzy większymi mocarstwami, na zasadzie sfer wpływów, troszcząca się o zachowanie pozycji *status quo ante*. To poszerzyło przepaść, która zarysowała się już w okresie wojny wietnamskiej — wojny wszczętej, paradoksalnie, przez rząd, który był przychylny zmianom na świecie, a tymczasem stworzył uczuciowy podkład wzrastającej wrogości wobec amerykańskiej polityki zagranicznej.

Kapitalizm w jednym kraju

Wyłaniająca się ideologiczna i polityczna izolacja mogła z czasem przekształcić się w izolację gospodarczą i społeczną. Chociaż świat na pewno nie zmierza do jednolitego modelu społeczno-gospodarczego — przewidywania komunistów dotyczące światowego socjalizmu są doktrynalną pozostałością skłonności XIX-go wieku do uproszczonych utopii — ogólny wzór przemian przewiduje społeczeństwa bardziej zurbanizowane, bardziej uprzemysłowione, posiadające większą opiekę społeczną, bardziej przeludnione i prawdopodobnie bardziej statyczne w tym sensie, że w większości wypadków rządy będą głównymi inicjatorami przemian gospodarczych i kierownikami narodowych bogactw. Ale przez długi jeszcze czas, tak polityczny jak i społeczno-gospodarczy wygląd świata będzie bardzo zróżnicowany i żaden model nie uzyska ideologicznego prymatu.

Mimo jednak tych różnicowań, ogólna tendencja przebiega w kierunku systemów, które oddalają się od amerykańskiej mieszanki prywatnej inicjatywy, korporatywnej własności i pośredniej kontroli rządu. Choć Stany Zjednoczone nie okazały się odporne na te nowe tendencje — *New Deal* z okresu podepresyjnego był przykładem nowej, społecznie zaangażowanej roli rządu — były one dużo bardziej niechętne od wielu innych zaawansowanych przemysłowo społeczeństw do przyjęcia interwencji rządu w sprawach społeczno-gospodarczych. Nawet jej najbliżsi sąsiedzi, Kanada i Meksyk, posunęli się o wiele dalej w ustawodawstwie społecznym i rozszerzaniu zasięgu kontroli gospodarki przez rząd federalny. Co więcej, na płaszczyźnie doktrynalnej retoryki, amerykańska solidarność wobec wolnej inicjatywy, etyki *business'u* i twórczej roli bodźca zysku — i połączonej z tym skomercjalizowanej kultury — zdecydowanie nie ma odpowiedników w takich społeczeństwach jak zachodnio-niemieckie lub japońskie, które w równej mierze stoją pod egidą *business'u*. W niektórych aspektach ta retoryka nie pokrywa się nawet z rzeczywistością, bo takie zjawiska jak Amtrak, później Conrail, Narodowa Spółka Mieszkaniowa, Comsat, pomoc finansowa dla korporacji Lockheed, żeby nie mówić o wiele wcześniejszym Tennessee Valley Authority, czy też złożony lecz na pewno bardzo bliski stosunek między Departamentem Obrony Narodowej a przemysłem zbrojeniowym, także wskazują na poważne przemiany w Ameryce.

Jednakże w innych uprzemysłowionych demokracjach gospodarcza rola państwa wzrosła o wiele szybciej niż w Stanach Zjednoczonych. Choć nie można porównywać planizmu francu-

skiego z scentralizowanym planowaniem w upaństwowionych gospodarkach komunistycznych i choć rola zlecająca Ministerstwa Handlu Międzynarodowego i Przemysłu w Japonii (nawet jeśli się weźmie pod uwagę symbiotyczny związek Ministerstwa z Keidanrenem, a tego ostatniego z przywództwem partii liberalno-demokratycznej) nie da się porównać do Gosplanu, w obu wypadkach ekonomiczna rola państwa jest o wiele bardziej decydująca i bezpośrednia. Wedle danych w „*Big Business and the State*” Raymonda Vernona zasięg własności publicznej w innych zaawansowanych demokracjach poszerzył się znacznie i obejmuje kluczowe sektory gospodarki przemysłowej. Zakres zaangażowania rządu jest nawet wyższy w wielu rozwijających się państwach, zwłaszcza, że ich poza-agrarny sektor pozostaje na ogół słaby.

Kapitalizm w jednym kraju jest potencjalnie zawarty w modelu amerykańskim. Tak jak w wypadku „socjalizmu w jednym kraju” Stalina, może to w Ameryce spowodować psychozę obłączenia, znów podobnie jak w Związku Sowieckim, w dużej mierze stworzoną przez samą siebie. Bowiem gospodarcza różnorodność, a nawet ostre zróżnicowanie, nie musi powodować polityczno-ideologicznej wrogości, szczególnie jeśli ten unikalny model — nawet jeśli przestanie być atrakcyjny jako model — pozostaje dla wielu najbardziej pożądanym stanem: tak właśnie sytuacja wygląda w Stanach Zjednoczonych. Jeśli w takich warunkach Amerykanie wprowadzają do swych stosunków zagranicznych ideologiczną tezę, że w świecie współczesnym konflikt przebiega pomiędzy liberalną demokracją a różnymi formami despotycznej inercji, dostarczają oni ujemnego ekonomicznego bodźca odnotowanej już wyżej ideologiczno-politycznej skłonności do odcinania Ameryki od reszty świata. Wysuwając liberalną demokrację jako sprawę zasadniczą — jak to w 1975 roku czynili główni przedstawiciele rządu — również uniemożliwia się Stanom Zjednoczonym wykorzystanie swego zaangażowania w pluralizm i podkreślenie poparcia dla światowej różnorodności. Zamiast tego, dzieląc świat na dwa obozy, Ameryka przyczynia się do formowania się wrogiej sobie doktrynalnej koalicji.

Taka koalicja może również czerpać poparcie z szeroko za granicą rozpowszechnionego poglądu, że zewnętrzna ekspansja amerykańskiego *business'u*, zwłaszcza pod płaszczykiem wielonarodowych koncernów, oznacza nową formę amerykańskiego politycznego i gospodarczego imperializmu. Pojawienie się i poważny rozrost tych amerykańskich firm, działających na terenie międzynarodowym, często zorganizowanych na zasadzie regionalnej lub państwowej (dlatego też nazywanie ich „wielonarodowymi” jest nieściśle) było tylko reakcją na zacieśniające się moż-

liwości dla amerykańskiego kapitału wewnątrz kraju, w dużej mierze spowodowanej ustawami, które narzuciły im większą odpowiedzialność.

Ale ten rozwój zbiegł się też w czasie z nagłym rozmnożeniem się ilości rządów, które wyrażały wzrastającą chęć kontroli kluczowych i niezbędnych sektorów gospodarki, a wszystkie te powody razem przyczyniły się do powiązania urazów wobec amerykańskiej dominacji gospodarczej z ogólnym charakterem amerykańskiego systemu gospodarczego. W rezultacie polityka gospodarcza w wielu krajach, głównie, choć nie wyłącznie, w Ameryce Łacińskiej i Afryce, nabrała charakteru wyraźnie antyamerykańskiego i antykapitalistycznego.

To uprzedzenie jeszcze bardziej poszerzyło przepaść między amerykańskim a nieamerykańskim pojmowaniem światowego rozwoju gospodarczego. Dla wielu Amerykanów, a szczególnie dla tych zaangażowanych w *business'ie*, wielonarodowe koncerny stanowiły twórczy odzew na powstający świat współzależności. Te przystosowane do adaptacji ponadnarodowe narzędzia do rozpowszechniania technologii, wiedzy specjalnej, kapitału i produkcji miały na celu (według Johna Diebolda w „Multinational Corporations: Why be Scared of Them?”, Foreign Policy, 12) utworzyć drogę do ściślej współdziałającego świata: „Logicznym i ostatecznym wynikiem... będzie kres nacjonalizmu i narodowych rządów, tak jak my je dziś pojmujemy”. Z drugiej strony mamy argument który słyszy się częściej za granicą, choć jest on także głoszony przez bardziej radykalnych amerykańskich ekonomistów, że wielonarodowe koncerny są przede wszystkim narzędziem pośredniego rozprowadzania potęgi amerykańskiego kapitalizmu, który stwarza nową formę zależności i eksploatacji, gdyż tą drogą „gospodarka danego kraju staje się uzależniona od rozwoju innej gospodarki której ta pierwsza jest podległa”¹. Ten pogląd w dużej mierze dominował światopogląd nowopowstałych państw. Tak więc argument dotyczący wielonarodowych koncernów okazał się poszerzeniem na pole gospodarki światowej bardziej politycznego i ideologicznego starcia odnośnie relatywnej wagi i współzależności między wolnością a równością, a zarazem podkreślił jeszcze wyraźniej niebezpieczeństwo ustrojowej i intelektualnej izolacji Stanów Zjednoczonych.

Wzrastające amerykańskie uczulenie na ograniczenia materiałowe na wielu polach kluczowej wagi dla żywotności gospodarki amerykańskiej oznacza, że to połączenie ideologicznych i

1. Benjamin J. Cohen, „The Question of Imperialism: The Political Economy of Dominance and Dependence” (New York, Basic Books, 1973), str. 190, cytowany w C. Fred Bergsten i Lawrence B. Krause (red.) „World ton D.C., 1975), str. 44.

ustrojowych różnic czyni je jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Wzrasta amerykańska zależność od importowanych minerałów, a tym samym konieczność poprawnych stosunków politycznych z wieloma krajami, od których nie można spodziewać się ideologicznej zgody ze Stanami Zjednoczonymi. Choć wszelka ocena musi wziąć pod uwagę możliwość znalezienia surowców zastępczych lub też rozwoju zastępczych produktów, dane zbierane systematycznie w ramach Mining and Minerals Policy Act z 1970 roku przez Biuro Sekretarza do Spraw Wewnętrznych wskazują na wzrastające braki surowcowe, niezależnie od względów politycznych, wśród których znajdują się aluminium, azbest, bar, kadm, miedź, diamenty, fluor, german, złoto, ind, ołów, rtęć, piasek i żwir, siarka, cyna, tungsten, uran i cynk. Jesteśmy już świadkami powolnej zmiany w gospodarce amerykańskiej z pozycji samowystarczalności surowców do częściowej zależności. W 1950 roku Stany Zjednoczone miały zapotrzebowanie na 15 % w relacji dolarowej na import zagraniczny; w 1970 roku zależność wzrosła do ok. 25 %, a w 2000 roku wzrośnie do być może 60 % - 70 %.

Jak dotąd, ten obrót rzeczy nie spowodował bardziej alarmujących konsekwencji, przewidzianych przez niektórych obserwatorów zaraz po udanej podwyżce cen przez OPEC w 1973 roku — a szczególnie konsekwencji dotyczących ograniczeń surowcowych i kartelizacji surowców — ale ogólna tendencja zapowiada wzrastające koszty amerykańskich importów. To już samo w sobie wprowadzi nowe ograniczenia w amerykańskiej polityce zagranicznej, a niektóre mocarstwa być może zaczną bardziej świadomie wyciągać wnioski z faktu, że zaledwie 6 % ludności świata konsumuje ok. 30 % do 35 % globalnej produkcji ropy naftowej, 55 % do 60 % gazu kopalnianego, 15 % węgla, 20 % stali, 35 % aluminium i 30 % miedzi.

Połączenie ustrojowej unikalności z unikalnością bogactwa powoduje, że Stany Zjednoczone stały się oczywistym obiektem impulsywnej wrogości i nacisków ekonomicznych. Te presje będą przychodziły nie ze strony karteli opartych na jednostkowych surowcach, ponieważ trudno przewidzieć, że specjalne okoliczności OPEC'u kiedykolwiek się powtórzą, lecz ze strony różnych polityczno-gospodarczych aliansów, w których grupy różnorodnych państw mogą próbować połączyć swe różnorodne bogactwa, aby wyrzucić nacisk na Stany Zjednoczone w jakimś określonym kierunku. Takie próby zapewne się zaostrzą w wyniku ogólnej polityzacji gospodarki światowej. Rozmnożenie się nowych państw o słabych sektorach prywatnych wyłoniło rządy, które zmuszone zostały przyjąć rolę w zakresie gospodarki zagranicznej, która w innych państwach normalnie znajduje się w sek-

torach prywatnych. Wzrastająca presja, aby uzyskać kontrolę bogactw kraju spowodowała szeroko zakrojone upaństwowienie obcych udziałów, szczególnie kopalnianych². Potrzeba wprowadzenia jakiejś struktury i stabilizacji w rozporządzaniu bogactwami świata (czy to będzie kwestia cen surowców, czy też eksploatacji bogactw głębi oceanu) wymaga nowych międzynarodowych pertraktacji. Powszechne przekonanie wśród nowych państw, że istniejące międzynarodowe układy przedłużają ich gospodarczą podrzędność, skłoniło Narody Zjednoczone do podjęcia badań nad potrzebą nowego „gospodarczego ładu”. Wszystko to doprowadziło do poszerzenia roli rządów w gospodarce świata. A to z kolei znaczy, że sprawy, które były dotychczas rozstrzygane przez sektor prywatny czy też drogą pertraktacji między sektorem prywatnym a rządem, w oparciu o zasady *business'u*, nabierają dziś treści politycznej. W rezultacie rola bodźców politycznych i politycznych kryteriów w gospodarce międzynarodowej wzrasta, a w niektórych wypadkach przyjmuje nawet rolę nadrzędną.

W takich ramach strukturalna zmiana w sposobie, w jaki Ameryka postępuje, staje się konieczna. Mimo najsilniejszych prób oporu, amerykański system jest zmuszony powoli przystosować się do tego wyłaniającego się międzynarodowego kontekstu, w którym rząd amerykański będzie zmuszony pertraktować, gwarantować, a nawet do pewnego stopnia bronić różnych układów, które zostały wypracowane przez *business* prywatny. Kryzys naftowy spowodował również naciski Kongresu, zmierzające do ustanowienia szerszej kontroli rządowej wobec poczynań i praktyk amerykańskich kompanii naftowych w ich pertraktacjach z krajami eksportującymi ropę. To też przyczyniło się do poszerzenia roli państwa. Tak więc gospodarcza rola Stanów Zjednoczonych nadal się rozwija, zarówno z powodów wewnętrznych jak i międzynarodowych, tak że w rezultacie specyficzność kapitalizmu w jednym kraju może zostać do pewnego stopnia zatarta. Mimo to, jest jasne, że jeszcze przez długi czas zasadnicze różnice ideologiczne i strukturalne będą nadal komplikowały stosunek między zmieniającym się światem a Ameryką.

Problem woli

W takiej sytuacji Ameryka może łatwo uznać, że jest w stanie

2. Według jednego sprawozdania, w latach 1973-74 nastąpiło 37 znaczących aktów upaństwowienia w 18 krajach samej Afryki, obejmujących w granicach 40 % do 100 % obcych udziałów. Por. C. L. Aleksandrowskaja i I. Matsenko, „Oпыт i problemy nacjonalizacji w stranach Afriki”, *Mirowaja Ekonomika i Miedzunarodnyje Otnoszenija*, nr 7, 1975 r. — str. 51-52.

obleżenia. Słyszymy wiele sygnałów ostrzegawczych. W 1975 roku amerykański ambasador przy ONZ zainicjował, przy powszechnym aplauzie narodu, kontratak przeciw krytyce nowożytonionych państw w zdaniach prawie tak ostrych jak te, których używał we wczesnych latach 50-tych inny ambasador amerykański przy ONZ, mianowany wówczas w celu zdecydowanego odpierania ataków sowieckich. W szeroko cytowanej mowie z 3. X. 1975 roku wywołał, w słowach pełnych emocjonalnego ładunku, obraz osaczonej demokratycznej mniejszości, napadanej zewsząd przez wrogów:

„Dziś w Narodach Zjednoczonych zostało zaledwie ze dwa tuziny państw demokratycznych. Na resztę składają się totalitarne reżymy komunistyczne i mieszanek starych i nowych despotyzmów. I nie tak tych narodów nie łączy jak przekonanie, że ich sukces jest ostatecznie uzależniony od naszego niepowodzenia... Panuje w świecie powszechne przekonanie, że demokracja znajduje się w opałach. Woda jest skrwawiona i rekiny się rozjuszyły...”

Te słowa znalazły oddźwięk wśród różnych ugrupowań społeczeństwa amerykańskiego. Zrzeszonym robotnikom wydały się pożądanym kontrastem w stosunku do tego, co było uważane za niebezpieczną skłonność biurokracji rządowej występowania się komunistom i nowopowstałym państwom; wpływowej społeczności żydowskiej — przez długi czas źródłu oświeconego internacjonalizmu — wydały się zasłużoną odprawą sowiecko-arabsko-afrykańsko-azjatyckiej koalicji przeciw Izraelowi; bardziej konserwatywne ugrupowania amerykańskiego społeczeństwa przyjęły je jako spóźnione uznanie, że amerykańskie wartości są zagrożone przez jałowy flirt z zasadniczo wrogimi systemami wartości i rządzenia. Oświadczenie w trakcie tego przemówienia, że w skomplikowanym i zmieniającym się świecie „większość nowych państw i większość starych jest dziś wrogiem wolności, tak jak my ją pojmujemy”, dostarczyło zbawiennej ucieczki od komplikacji, pod pokrywką obłudy, która mogła się okazać szczególnie niszczycielska wobec bliźniaczych elementów, które tworzą bazę legalizmu w amerykańskim systemie jako takim. Ten legalizm na głębszym poziomie psychologicznym wywodzi się z połączenia optymizmu z uniwersalizmem. Większość Amerykanów instynktownie wierzy w pojęcie postępu i we własny system jako wyjątkowy wyraz postępu ludzkości. I większość z nich wierzy także, że amerykański model liberalnej demokracji jest potencjalnie modelem dla reszty świata. Jednakże nowopowstający nastrój zawierał w sobie nagłe przeświadczenie, że być może „postęp” ma charakter niszczycielski, a nawet niebezpieczny i że system amerykański nie jest już posłannictwem o uniwersalnym zastosowaniu. To może doprowadzić Amerykanów do o wiele

bardziej zrelatywizowanej percepcji samych siebie, co byłoby z różnych względów bardziej dojrzałe i realistyczne. Jednak nagłe ucięcie podkładu legalizmu systemu może doprowadzić do destabilizacji i może skusić wielu Amerykanów do skrycia się za kojącymi uproszczeniami wrogiego świata jako następcy zimnej wojny. Oba pojęcia wprowadzają politykę polaryzacji na miejsce polityki, która widzi świat jako o wiele bardziej złożony.

Pokusę ucieczki przed światem, który nagle okazał bardzo nieprzychylnie oblicze, można wysnuć także z wewnętrznych zmian w społeczeństwie amerykańskim, które doprowadziły do rozbicia poprzedniej jednomyślności w sprawie polityki zagranicznej i podkopaly amerykańską wolę odegrania pozytywnej roli w świecie. Owa jednomyślność znalazła oparcie w stosunkowo jednolitej elicie kierującej polityką zagraniczną, która przez lata dostarczała społeczeństwu amerykańskiemu zaufania i kierunku, a także dlatego, że amerykańska publika posiadała ugruntowaną, szeroko pojętą, koncepcję spraw światowych, do której każde nowe wydarzenie należało przymierzać, oraz dzięki podstawowym wartościom i priorytetom podzielanym przez większość Amerykanów. Krótko mówiąc, poprzednia jednomyślność opierała się na elicie WASP*, na zimnej wojnie jako podstawowej zasadzie polityki, oraz na gotowości społeczeństwa przypisywania kwestiom zewnętrznym wyższego priorytetu od potrzeb wewnętrznych.

Wszystko to odeszło jednak w przeszłość w połowie lat 70-tych, kiedy dogłębna zmiana wewnątrz Ameryki ścierała się dość chaotycznie z zasadniczymi zmianami poza granicami Ameryki. Pojawienie się nowych i bardziej radykalnych państw, szereg inercja, domaganie się nowego międzynarodowego ładu, nie pasowały do wcześniejszych formuł zimnej wojny ani też do tradycyjnego obrazu światowej równowagi sił, która by gwarantowała całemu pokoleniu pokój (jak to głosili panowie Nixon i Kissinger), nie pasowała też do pobożnych nadziei bardziej międzynarodowo nastawionych krytyków polityki siły i zwolenników pokoju poprzez programy pomocy i rozwoju.

Trudno ocenić ile czasu minie, zanim Amerykanie wchłoną i przetrawią dostatecznie zharmonizowane, choć z konieczności elastyczne, teoretyczne zrozumienie powstającego nowego świata. Pomijając intelektualną złożoność procesu formułowania tez, które by były równocześnie czułe na złożoność świata, a jednocześnie szeroko zaakceptowane, sprawa jest skomplikowana zmianami w charakterze współczesnej amerykańskiej elity i amerykańskich wartości. Zmierzch elity zajmującej się sprawami zagra-

* WASP = White Anglo-Saxon Protestants = biali anglosascy Protestanci.

nicznymi, a opartej na WASP'ie, Ivy League** i Wall Street, jest kapitalnym aspektem tej przemiany. Ta elita dominowała sprawy zagraniczne przez przeszło pół wieku i dostarczyła krajowi większości przywódców w okresie parcia Ameryki do potęgi na miarę światową, a to przywództwo było z kolei oparte na wspólnych wartościach i na solidnych instytucjonalnych filarach.

Wartości te, aczkolwiek wymykają się precyzyjnej definicji, były zlepkiem tradycyjnej etyki protestanckiej, silnego patriotyzmu, mieszanki „oczywistego przeznaczenia” z Wilsonowskim „uniwersalizmem”, Keynesowskich neo-liberalnych zasad ekonomicznych, które z kolei wynikały z nieudanej próby z lat 30-tych ukształtowania systemu zbiorowego bezpieczeństwa, a częściowo z amerykańskiej abnegacji. To silne poczucie odpowiedzialności światowej Stanów Zjednoczonych zawarte w tej mieszance zostało z kolei wzmocnione wyzwaniami stalinizmu w okresie po drugiej wojnie światowej. Na poziomie ogółu społeczeństwa oznaczało to przynajmniej pośrednio dążenia mocarstwowe, łączące ambicje elity przekształcenia Ameryki w bezkonkurencyjną potęgę świata, z powszechną potrzebą sympatii i wiarą obywateli w idealizm Ameryki. Jednocześnie rekrutująca się przeważnie z WASP'u elita cieszyła się poparciem instytucji międzynarodowo nastawionej społeczności businessowo-bankierskiej ze wschodniego wybrzeża, z którym miała symbiotyczny stosunek, poprzez bliskie związki osobiste ugruntowane w tradycji protestanckiej. Tu Dulles i Acheson są wybitnymi, choć bynajmniej nie jedynymi, przykładami.

Wojna wietnamska była Waterloo elity WASP. Lecz, podobnie jak w wypadku Waterloo, okres rozkładu poprzedził ostatnią bitwę i dlatego byłoby niesłuszne twierdzić, że wojna jako taka złamała jej ducha, ideowość i monopol w sprawach zagranicznych. Zmiany społeczne w latach 60-tych poczęły wypychać na czoło nowe grupy społeczeństwa, które domagały się uznania i odpowiedzialnego miejsca. Wśród nich wybijali się Irlandczycy i Żydzi. Ich społeczny i ideologiczny rozwój zbiegł się z szerszym kryzysem kultury amerykańskiej spowodowanym — jak argumentowałem obszernie w „Between Two Ages” — skokiem bez precedensu społeczeństwa amerykańskiego poza epokę przemysłu w poprzemysłową technokroniczną epokę, dla której nie było żadnego ideologicznego czy też kulturalnego przygotowania. Wynikiem był przewrót amerykańskich wartości i kultury, kryzys zaufania, a także zaostrzone podziały etniczne. Aczkolwiek rasowy aspekt tych zaburzeń skupił uwagę publiczną, walka o usunięcie i zas-

** Popularna nazwa ośmiu słynnych uniwersytetów wschodniego wybrzeża: Brown, Columbia, Cornell, Dartmouth, Harvard, Pennsylvania, Princeton i Yale (przyp. tłum.).

tąpienie WASP'u była nie mniej istotna, choć nie tak bardzo widoczna. Walka ta była prowadzona bardzo usilnie, szczególnie na froncie masowego przekazu kultury, gdzie bardzo szybko stało się modne denuncjowanie WASP'ów w sposób, który, gdyby go zastosować do innych ugrupowań, uznany byłby za etniczne lub rasowe przesady. Podstawową tezę szeroko czytanej „The Best and The Brightest” Davida Halberstama, była rzekoma arogancja i historyczna niedorzeczność WASP'ów (dwaj bracia Bundy byli tam ucharakteryzowani na anty-bohaterów) i w pewnym sensie książka stała się, razem z artykułami w prasie, kluczową bronią w tym kulturalno-etnicznym konflikcie.

Prezydentura Richarda Nixona zbiegła się z załamaniem się kontroli spraw zagranicznych przez WASP'ów, oraz z upadkiem poprzedniego teoretycznego wzorca. Nie doprowadziło to jednak do pojawienia się nowej i równie jednolitej elity w kierownictwie sprawami zagranicznymi. Grupą etniczną, którą uwieńczył największy sukces, która usunęła i zastąpiła WASP'ów, są Żydzi sprawnie dziś działający na kluczowych stanowiskach w administracji. Ale ogólnie istnieje większa płynność i różnorodność. W tym bardziej elastycznym układzie, tak środowisko akademickie jak i środki masowego przekazu — wyłaniające się do pewnego stopnia jako następcy *business'u* i kościoła — stały się krytycznymi źródłami autorytetu, sankcjonując lub wycofując prawne uzasadnienia, a także wpływając na kierunek polityki. Żadne z tych dwóch ugrupowań nie było pod kontrolą WASP'u, żadne z nich nie legitymowało się do tego samego stopnia tradycyjnym wartościowaniem WASP'u, żadne z nich nie czuło się związane jakimś trwałym punktem widzenia na sprawy międzynarodowe, a to drugie, w szczególności dzięki swym profesjonalnym pobudkom, posiadało dość płynny i impresjonistyczny stosunek do spraw światowych. Co więcej, żadna z tych grup nie posiadała ani zestrojonych wartości, ani też społecznej pewności siebie potrzebnej do stworzenia długotrwałego zwierzchnictwa. Ośrodki akademickie były rozczarowane i pod wzrastającym wpływem deterministycznego pesymizmu; narodowe środki masowego przekazu były zawodowo pesymistyczne, a walka z nadużywaniem władzy przez prezydenta wyrobiła styl bardziej antagonistyczny w stosunkach z rządem.

We wczesnych latach 70-tych próżnia została w dużej mierze wypełniona przez Kissingera. Jego „widowiskowa” działalność odwróciła debatę od spraw bardziej zasadniczych i dała rządowi, przynajmniej na pewien czas, trochę luzu w manewrowaniu na polu spraw zagranicznych. Ale to nie trwało długo, gdyż rozpad poprzedniej jednomyślności, który towarzyszył zmierzchowi WASP'u, a także skryty styl i konspiracyjny charakter

zwierzchnictwa Kissingera przyspieszyły włączenie się Kongresu do bezpośredniego uczestnictwa w polityce zagranicznej. Przez większość powojennego okresu — pod przewodnictwem kierownictwa które się skłaniało do obupartyjnej jednomyślności w sprawach zagranicznych — Kongres uczestniczył w strategii amerykańskiej polityki zagranicznej i miał przeświadczenie że ją pojmuje. Na zasadzie tego obopólnego strategicznego zrozumienia Kongres był gotów udzielić amerykańskim strategom politycznym szeroko zakrojonej taktycznej swobody. Lecz w sytuacji, w której wzrastała podejrliwość, że głoszone doktryny były zasadniczo oszukańcze, a uprzednia jednomyślność została zdruzgotana przez wojnę wietnamską, Kongres zdradzał wzrastającą chęć ingerencji w sprawy taktyczne oraz debaty szerszych założeń strategicznych.

Wynikiem tego był nie tylko konflikt egzekutywy z ciałem ustawodawczym odnośnie szeregu spraw zagranicznych, jak np. Cypr czy Panama, ale także — wzięwszy pod uwagę szersze zmiany w społeczeństwie amerykańskim — włączanie bardziej ułamkowych problemów w dyskusje polityczne. Z chwilą gdy znikła jednomyślność, z chwilą, gdy elita WASP przestała wcielać i uprawniać przyjęty interes narodowy, grecka *lobby* mogła zorganizować presję tym skuteczniej — i bez większego niebezpieczeństwa, że zostanie oskarżona o brak wrażliwości na interesy narodu — w sprawie Cypru; *lobby* żydowska mogła ustosunkować się podobnie do konfliktu izraelsko-arabskiego i bardziej ogólnie w sprawie amerykańskiej polityki w stosunku do Środkowego Wschodu, czy też ONZ; południowcy mogli blokować zmiany w polityce Stanów Zjednoczonych w stosunku do Panamy i pośrednio w stosunku do Ameryki Łacińskiej.

Tej parcelacji narodowych bodźców towarzyszyła szersza zmiana w stosunku społeczeństwa do spraw zagranicznych. Choć badania opinii publicznej nie są miarodajnym wskaźnikiem długoterminowych tendencji, choć wiele zależy tak od sposobu w jaki specyficzne sprawy bywają przedstawiane, jak i od nastroju chwili, i choć ogromna dokumentacja amerykańskiej opinii publicznej odnośnie spraw zagranicznych nie daje nam we wszystkich wypadkach konsekwentnego obrazu, na podstawie szeregu osobnych badań opinii publicznej, wykrystalizował się dostatecznie zarysowany wzór, by można było wyciągnąć szereg ważnych wniosków. Pomijając szczegóły, badania sugerują że w przeciągu ostatniej dekady społeczeństwo amerykańskie: (1) opowiedziało się przeważająco na rzecz wewnętrznych priorytetów i na niekorzyść priorytetów zagranicznych i obronnych; (2) przestało popierać w sposób konsekwentny podwyżki w budżecie obronnym; (3) nie było już tak skore widzieć w Związku Sowieckim i Chi-

nach nieuchronnego zagrożenia interesów Stanów Zjednoczonych; (4) ogólnie było bardziej gotowe popierać ograniczenia lub nawet wycofanie wojsk amerykańskich stacjonowanych za granicą; (5) było o wiele bardziej sceptyczne odnośnie efektywności lub słuszności pomocy zagranicznej; (6) stało się o wiele bardziej krytyczne w stosunku do Narodów Zjednoczonych oraz koalicji Trzeciego i Czwartego Świata, które coraz wyraźniej tę organizację dominują; oraz (7) opowiedziało się za redukcją amerykańskiego handlu zagranicznego. Bardziej ogólnie i jeszcze bardziej zadziwiająco, wzrastający procent społeczeństwa amerykańskiego uważa się za izolacjonistów. W kwestionariuszu firmy Ropera z 1974 roku 42 % uznało się za międzynarodowców, a 37 % za izolacjonistów, mimo pejoratywnego znaczenia, jaki uzyskał z biegiem lat termin „izolacjonista”³.

Nie należy jednak wnioskować z tego, że nowa izolacjonistyczna zgodność ostatecznie się wykrystalizowała. Zebrane dane nie popierają tezy, że Ameryka zupełnie niedwuznacznie odwróciła się od świata. W takich sprawach jak interwencja zagraniczna, opinia publiczna była na ogół stabilna: w większości wypadków przeciwna, lecz w tych kilku wypadkach, gdzie była przychylna, również zauważamy niezmienną, z przewagą tych którzy byliby gotowi pomagać zaprzyjaźnionym narodom w wypadku ataku. Co ważniejsze społeczeństwo było gotowe popierać międzynarodowe wysiłki na rzecz praw ludzkich i popierać większością 66 % (w porównaniu z 68 % w 1947 roku) „efektywną rolę” Stanów Zjednoczonych w sprawach światowych. I wreszcie badania wykazały zwiększone zrozumienie potrzeby międzynarodowej współpracy w załatwianiu nowych światowych problemów (szczególnie żywienia, energetyki i inflacji) i ściślejszej współpracy wśród krajów zaawansowanych oraz zrozumienie istniejącej zależności między rozwojem za granicą a nadziejami na wewnętrzną przyszłość Ameryki. Po krótko więc, mimo zaostających się różnic w opinii publicznej, izolacjonizm nie był stanowiskiem dominującym.

3. Na ogół biorąc, opinia publiczna zgadzała się z poglądami elity, a nawet je czasem wyprzedzała. Jak stwierdził B. M. Russett, „opozycja wobec wydatków zbrojeniowych skupia się właśnie wśród tych, którzy okazują zainteresowanie sprawami międzynarodowymi, głosując, składając się na finansowanie kampanii wyborczych, i w ogóle są politycznie aktywni”. Studium Chicago Council wykazało podobny kierunek wśród osobistości publicznych i elit, szczególnie jaskrawy wśród nowych kongresmanów, którzy przybyli do Waszyngtonu po wyborach z 1974 roku (było to szczególnie widoczne wśród „nowych liberalnych” Demokratów, wśród których, gdy ich zapytano, by wskazali państwo które najbardziej zagraża pokojowi świata, tylko 20 % wymieniło Związek Sowiecki, a drugie 20 % wymieniło Izrael!). Ogólnie, w połowie 1975 roku Izba Reprezentantów była przeciwna pomocy zagranicznej w stosunku 53 % do 41 %.

Co więcej, dane sugerują nawet konstruktywny stosunek do spraw światowych, a stosunkowo niewielką chęć krucjaty na rzecz kapitalizmu czy też liberalnej demokracji (w 1975 roku studium Chicago Council on Foreign Relations wykazało, że tak publiczność amerykańska, jak i koła kierownicze, umieściły eksport obu tych tendencji na ostatnim miejscu listy wyszczególniającej 18 kategorii). Wynika stąd jednak wielka dezorientacja co do przyszłości i niepewność odnośnie specyficznych dezyderatów politycznych. Z badań tych wyłoniła się opinia publiczna, która aczkolwiek robi wrażenie niezdecydowanej, wydaje się jednak podatna na wpływy, co podkreśla potrzebę narodowego przewodnictwa, które potrafiłoby zdefiniować politycznie i moralnie obowiązujące kierunki, do których społeczeństwo odniosłoby się przychylnie.

Z braku takiego przywództwa istnieje prawdziwe ryzyko, że obecna bierność może się przeobrazić w zdecydowaną tendencję. Ta tendencja pokrywałaby się z istotnymi i uderzającymi przepowiedniami sprzed wielu lat, które udokumentowały cykliczny charakter stosunku publiczności amerykańskiej do spraw zagranicznych. Pierwsze z tych badań przeprowadzone przez sowieckiego historyka ekonomicznego Mikołaja D. Kondratiewa, wykazało powtarzający się wzór recesji w Ameryce oraz — co jest ważnym współczynnikiem, często ignorowanym przez tych którzy powołują się na cykle Kondratiewa — współzależne zjawisko polityczno-kulturalnej zmiany w społeczeństwie amerykańskim. Oporając się na danych dotyczących płac, cen, stopy dyskontowej i na kierunkach w jakich płynie kapitał, Kondratiew wytypował regularność w wyżach i niżach gospodarki kapitalistycznej, na podstawie której w połowie lat 20-tych przepowiedział szczyt inflacji w latach 70-tych, po którym nastąpi spadek i towarzyszący mu ostry społeczny konserwatyzm i obojętność na sprawy międzynarodowe.

Socjolog amerykański, ograniczający się bardziej bezpośrednio do stosunku Amerykanów do spraw zagranicznych, doszedł w latach 50-tych do zaskakująco podobnego wniosku. Frank L. Klingberg systematycznie zestawiał dane dotyczące spraw zagranicznych, a więc orędzia prezydentów, programy partyjne, wyniki wyborów, częstotliwość układów zagranicznych, budżet marynarki wojennej, wydatkowanie na armię, wojny, zabory, dyplomatyczne przestrogi, i dowodził, że od 1776 roku stosunek Ameryki do świata charakteryzowały postępujące po sobie cykle „ekstrowersji” i „introwersji”⁴. Ponieważ każdy cykl ekstrowersji trwa

4. Frank L. Klingberg, *The Historical Alteration of Moods in American Foreign Policy*, World Politics, styczeń 1952 r.

ok. 27 do 28 lat, Klingberg zdumiewająco przewidział, że „zważywszy na dotychczasową dokumentację amerykańską i na domniemaną rolę „wewnętrznych” elementów, które przyczyniają się do utrzymania rytmu ekstrowersji-introwersji, wydaje się logiczne, że Ameryka wycofa się przynajmniej w jakimś stopniu z tak szerokiego zaangażowania się w sprawy światowe i że prawdopodobnie stanie się to w latach 70-tych”.

Prawdopodobieństwo istnienia cyklicznej i długofalowej skłonności podkreśla raczej, a nie przeciwnie, istotną rolę przywództwa amerykańskiego, wskazując jeszcze wyraźniej, jak niebezpieczne są apele obliczone na wykorzystywanie rozczarowania amerykańskiego sprawami światowymi. We współczesnych amerykańskich stosunkach mamy załazki ksenofobii, ale jest w nich też potencjał konstruktywnej reakcji. Przeznaczenie Ameryki pozostanie potężne, lecz będzie sparaliżowane brakiem woli, jeżeli nie ujawni się przywództwo, konieczne do przeobrażenia tego potencjału w rzeczywistość.

Niezbędność Ameryki

Taki brak przywództwa byłby katastrofą nie tylko dla Ameryki, lecz bardziej jeszcze dla całego świata. Należy wątpić, czy samo-narzucona izolacja Ameryki w błyskawicznie zmieniającym się świecie (uwzględniając zwłaszcza bliźniacze role komunikacji i ekonomii) mogłaby zachować własną równowagę, własne wartości, a nawet własny system polityczny. Wewnętrzne polaryzacje i obawy doprowadziłyby do bardzo poważnych napięć, ostatecznie podminowałyby od wewnątrz duchową treść i polityczną odporność potencjalnej twierdzy „Ameryka”.

Jednak zdolność Ameryki do działania logicznego i konstruktywnego jest ograniczona paradoksalnym charakterem stosunku Ameryki do zmieniającego się świata. Jest to stosunek obopólny, w którym reszta świata jest poddana społecznej amerykanizacji, a równocześnie Ameryka zdaje się przechodzić proces europeizacji. Podczas gdy Ameryka wywiera wpływ nowego typu na resztę świata poprzez swą technologię i kulturę masową, polityka amerykańska zdaje się stawać bardziej doktrynalnie rozczłonkowana, wykazując mniej zgodności a więcej ideologii, wzniecając na gruncie amerykańskim niektóre dawniejsze spory między europejską prawicą a lewicą. Amerykanizacja świata i europeizacja Ameryki stwarzają wybitnie niepewną mieszankę, powstrzymując Amerykę od konstruktywnego wykorzystywania swego wyjątkowego wpływu na sprawy świata.

Jest tu powód do niepokoju, ponieważ wpływ Ameryki na

resztę świata pozostaje na ogół pozytywny; ponieważ amerykańska potęga, zarówno polityczna jak i gospodarcza, zachowuje swój istotny charakter; ponieważ zasadniczy ideał Ameryki, pomijając pewne szczegóły, jest nadal pozytywny. Ameryka, która zwraca się do wewnątrz — zrażona brzydota otaczającego świata, zaabsorbowana wewnętrznymi konfliktami ideowymi — może stworzyć próżnię, która zostanie wypełniona nie tyle przez jakieś jednostkowe mocarstwo — aczkolwiek tak może się stać na niektórych obszarach — lecz po prostu przez wzrastający chaos.

Nie należy nie doceniać wpływu Ameryki na świat. Mimo swych ograniczeń Ameryka pozostaje w skali światowej społeczeństwem twórczym i wynalazczym. Wywiera ona wpływ na styl życia, zasady i aspiracje innych społeczeństw w stopniu któremu nie dorównuje dziś żaden inny system. Odnosi się to do środowisk akademickich, ponieważ Stany Zjednoczone wyłoniły się nie tylko jako poważne źródło wiedzy, ale także jako bardzo atrakcyjny magnes przyciągający studentów zagranicznych w o wiele wyższym stopniu, niż inne państwa⁵; ostatnio odnosi się to do życia kulturalnego: New York City wyłonił się jako światowy ośrodek imprez artystycznych; odnosi się to też do nowoczesnych metod kierownictwa, w których amerykańskie szkoły *business*'u oraz firmy konsultantów w dziedzinie kierownictwa stały się pionierami nowych umiejętności; odnosi się to do wywołanych ruchów kobiet, ruchu ekologicznego, a nawet do nowej lewicy; jest to tym bardziej widoczne w zakresie masowego wypoczynku i kultury, gdzie amerykańska muzyka, *jeans*'y i społeczne predylekcje w bardzo szybkim tempie stają się normami światowymi.

Z chwilą gdy Ameryka robi skok w nieznaną wiek technologiczny, który jest coraz wyraźniej dominowany przez elektronikę i technologię (stąd neologizm „technologiczny”) nawet jej ograniczenia nabierają szerszego znaczenia. Czy to będzie kultura narkotyków, czy też niepowodzenie w próbach wykształtowania harmonijnych stosunków rasowych, czy też problemy psychologiczne związane z nadmiernym rozluźnieniem dyscypliny, negatywne doświadczenia Ameryki nabierają szerszego znaczenia, są dokładnie śledzone przez obcych. Krótko mówiąc, współczesna

5. Jest godne podkreślenia, że mimo światowej krytyki polityki Stanów Zjednoczonych, atrakcyjność Ameryki dla studentów zagranicznych stale wzrasta. Według danych UNESCO oraz Institute for International Education, w 1960 roku w Stanach Zjednoczonych studiowało 48.000 studentów zagranicznych, a 2.000 dodatkowych studentów przybyło w charakterze imigrantów; w 1965 r. porównawcze cyfry były 82.000 i 6.000; w 1970 r. 114.000 i 20.000; w 1975 r. 155.000 i 65.000. Tymczasem w Związku Sowieckim w 1970 r. kształciło się zaledwie 17.500 studentów zagranicznych. A więc ok. jeden na czterech wybierał Stany Zjednoczone.

Ameryka jest socjologicznym laboratorium świata. Jej ferment, jej nowe pomysły, jej eksperymenty dostarczają bodźców i ostrzeżeń.

Co więcej, ogólny wpływ Ameryki prowadzi do przemian. Tkwi tu w rzeczywistości paradoks: podczas gdy polityka amerykańska jest nieprzychylna zmianom, ogólny społeczno-polityczny wpływ Ameryki ma charakter zasadniczo sprzeciwiający się tradycjom i autorytetom. Ogólnie mówiąc wpływ społeczny Ameryki, a więc, przynajmniej pośrednio, wpływ polityczny, przyczynił się do społecznego eksperymentu, większej tolerancyjności w poczynaniach instytucji, większej gotowości do popierania prób zerwania z tradycją. Ameryka zwrócona do wewnątrz przestałaby z biegiem czasu wypełniać tę rolę.

Potęga amerykańska spełnia również zasadniczą rolę w światowej równowadze sił i postępie. Niezdolność Europy i Japonii przyjęcia znaczniejszej politycznej odpowiedzialności przyczyniła się do zasadniczego i długofalowego rozczarowania polityków amerykańskich. Gdyby te państwa bardziej aktywnie i konstruktywnie zaangażowały się w problemy światowe, naciski na Amerykę oraz amerykańska rola znacznie by zmalały, a nadzieje na *modus vivendi* między Wschodem a Zachodem z bardziej efektywnie opanowanym Związkiem Sowieckim znacznie by wzrosły. Jednakże w 30 lat po wojnie ani Europa ani Japonia nie są gotowe odegrać większej roli — czy idzie o tradycyjne czy też nowe problemy świata (Tosio Kimura, były minister Spraw Zagranicznych Japonii oraz przewodniczący japońskiej delegacji na VII Specjalną Sesję Ogólnego Zgromadzenia NZ w 1975 roku — podczas którego Stany Zjednoczone były jedynym zaawansowanym krajem, który przedstawił szczegółowe propozycje zmian, prowadzących do nowego ekonomicznego ładu — stwierdził bez ogródek, że jest zażenowany „ogólnikowym i metafizycznym” charakterem wypowiedzi, które wypadło mu przedstawić z ramienia swego rządu). Co prawda, w latach 1974-75 Francja podjęła inicjatywy proceduralne bardzo na czasie, zwłaszcza jeśli chodzi o zainicjowanie tzw. Trzystronnej Konferencji w sprawie surowców, w której uczestniczyły zaawansowane i rozwijające się państwa. Jednakże sukces tej konferencji był uzależniony w dużej mierze od stanowiska Ameryki.

Ponadto zachwianie równowagi gospodarczej, które odczuły kraje uprzemysłowione, — szczególnie w wyniku wyższych cen ropy wymaganych przez OPEC, podkreśliły zasadniczą gospodarczą i polityczną rolę Stanów Zjednoczonych, wykazując, że jest ona dziś jeszcze bardziej istotna niż w ciągu ostatnich 20 lat. Co więcej, mimo zrozumiałej niechęci biedniejszych części świata wobec sytuacji, w której 1/16 ludności świata konsumuje 1/3

nie nadających się do przetworu produktów, zależność świata od amerykańskiej *prosperity* i zwiększonej produkcji, a więc i konsumpcji, skłaniała w 1975 roku wzrastającą ilość rządów do nacisków na Stany Zjednoczone, by przyspieszyły wydobycie swej gospodarki z panującej recesji. Nic lepiej nie ilustruje zasadniczej roli Ameryki w gospodarczym dobrobycie świata jak nawoływania do przyspieszenia amerykańskiego rozwoju ekonomicznego.

Bardziej ogólnie, Ameryka nabrała ekonomicznie i politycznie charakteru kluczowego stabilizatora. Odnosi się to szczególnie do żywności, gdyż Ameryka wyłoniła się jako kluczowe źródło światowej stabilizacji żywienia, ale oczywiście odnosi się to także do handlu, kwestii monetarnych oraz bezpieczeństwa poszczególnych rejonów świata. Kiedy Ameryka błędzi, gospodarka światowa oraz równowaga polityczna poczynają się chwiać — oto lekcja, którą umiejętnie i doraźnie wyciągnął Charles Kidelberger w swej „The World in Depression, 1929-1939”, a która znajduje jeszcze większe zastosowanie w obecnych warunkach. Co więcej, aby zacytować Roberta Gilpina, który pisze w „World Politics and International Affairs” Bergstena i Krause’go:

„Zakres, zróżnicowanie i dynamizm amerykańskiej gospodarki przyczynią się do utrzymania Stanów Zjednoczonych jako ośrodka międzynarodowego systemu gospodarczego. Powszechna chęć zdobycia ogromnego rynku amerykańskiego, zasadniczy dynamizm amerykańskiej gospodarki oraz potęga Ameryki w rolnictwie i surowcach — których nie posiadają ani Europa ani Japonia — są cementem, który w oparciu o Stany Zjednoczone trzyma gospodarkę świata w kupie”.

To samo odnosi się do polityki i strategii, szczególnie w Europie, na Środkowym i Dalekim Wschodzie.

Gdyby więc z Ameryki przestało promieniować konstruktywne poczucie kierunku, przyczyniłoby to się bezpośrednio do poważnych światowych zaburzeń na polu gospodarczym i politycznym.

I wreszcie, ogólne historyczne posłannictwo Ameryki nadal zachowuje z grubsza swą aktualność, pod warunkiem że nie zostanie przeobrażone w dogmat który może doprowadzić tylko do izolacji Ameryki. Zasadniczym posłannictwem doświadczenia amerykańskiego jest prymat wolności. Ale zawarta w nim była także zasada pluralizmu. Wolność jednostki była gwarantowana najpewniej przez pluralizm. W skali globalnej, pluralizm oznacza zróżnicowanie, a nie marsz w kierunku ujednoczonego świata, opartego na jednym modelu ideologicznym. To posłannictwo zachowuje swą aktualność szczególnie dziś, wobec pojawienia się ok. 150-ciu nowych niezależnych państw. Co więcej, połą-

czone z bardziej specyficznymi projektami światowej współpracy, mogłoby posłużyć jako punkt wyjściowy dla rozsądnego i bardziej zróżnicowanego systemu międzynarodowego.

Wszystko to wymaga Ameryki, która by była zespołowo zaangażowana w nowe stosunki światowe, tak wbrew jak i z powodu narastających światowych namiętności egalitarystycznych. Amerykanie winni pamiętać, że zewnętrzna wrogość nie jest na tyle upowszechniona, aby miała zastosowanie do amerykańskiego społeczeństwa jako takiego. Jest to raczej wrogość doktrynalna, a nie narodowościowa, i nawet jako taka nie jest być może głęboko zakorzeniona. Dla większości ludzi na świecie Ameryka nadal dostarcza najbardziej atrakcyjnej kondycji (nawet jeśli nie modelu) i to pozostaje jej szczególną siłą. Związek Sowiecki nie może tu w ogóle rywalizować. Lecz Ameryka może wykorzystać ten atut tylko wtedy, jeśli jej polityka zagraniczna okaże się przychylnie czuła na istotne przemiany w świecie w stosunku do wartości która nie mieści się w granicach doświadczenia amerykańskiego. Nie oznacza to, że Amerykanie powinni przyjąć egalitaryzm jako wartość nadrzędną, ani też stosować go w sposób sztuczny w swym zróżnicowanym i nadal o wiele bardziej otwartym, mniej przeludnionym i na pewno bardziej bogatym społeczeństwie. Oznacza to jednak politykę, która nie ignoruje (ani też nie odzwajemnia się doktrynalną wrogością) światowych presji, zmierzających do reformy istniejących międzynarodowych układów. Zredukowanie złożoności świata oraz ujawniających się w nim trosk do prostej polaryzacji między demokracją (lub wolnością) a despotyzmem (lub inercją) oznacza w praktyce zerwanie wolnościowych związków między Ameryką a światem, oznacza umocnienie radykalnych namiętności za granicą i poparcie dla amerykańskiej izolacji ideologicznej, a przez to także politycznej.

I wreszcie te szeroko zakrojone względy mają także bardziej bezpośrednie zastosowanie. W ramach toczonej się obecnie konferencji w sprawie międzynarodowej współpracy ekonomicznej, Stany Zjednoczone mają okazję ukształtować politykę w stosunku do rozwijającego się świata, która brałaby pod uwagę tak ideologiczny wymiar jak i omówioną wyżej polityczną rzeczywistość; politykę którą Europejczycy, a nawet Japończycy, okazali się jak dotąd o wiele bardziej gotowi przyjąć. Co więcej, w najbliższej przyszłości Stany Zjednoczone być może staną wobec trudnych kryzysów w Afryce i Ameryce Łacińskiej. Być może dojdzie też do politycznej destabilizacji w Europie Wschodniej. Podstawowe założenia, na których oprze się amerykański stosunek do tych spraw, mogą w sposób bezpośredni wpłynąć na zdolność Ameryki do reagowania w sposób, który najbardziej odpowiada jej długoterminowym interesom i który umożliwi jej zgrupowanie

wokół siebie sympatii i poparcia większości ludzkości. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej destrukcyjnego niż przejście przez Stany Zjednoczone roli obrońcy pozostałości władzy białych w Afryce w czasach kiedy równość rasowa staje się przyjętą, obowiązującą normą. To skupiłoby całą Afrykę i większość Azji przeciw nam. Podobnie długofalowe interesy amerykańskie byłyby narażone na szwank w razie trwającej obojętności w stosunku do wzrastającego dążenia Ameryki Środkowej do zdobycia większej sprawiedliwości społecznej i narodowej godności; obojętność Ameryki ułatwi Kubie Castra wykorzystanie tych aspiracji. Większość Ameryki Łacińskiej mogłaby się odwrócić przeciw nam w wypadku wynikających konfliktów. I wreszcie Ameryka byłaby niewierna swym własnym tradycyjnym wartościom, gdyby zajęła cyniczne stanowisko wobec reakcji Sowieców na posunięcia krajów Europy Wschodniej, które próbują czy to poszerzyć czy to ochronić zakres swej niezależności. Konsekwencje takiego stanowiska byłyby szkodliwe dla Stanów Zjednoczonych w całej Europie, a nawet w Chinach.

I wreszcie musimy pamiętać, że w ostatecznym rachunku tylko Ameryka posiada zdolność ukształtowania wrogiego wobec niej świata.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Przełożył z angielskiego Adam Czerniawski)

Powyższy artykuł Zb. Brzezińskiego — redakcja traktuje jako dyskusyjny.

Korespondencja z Rzymu

30 lat w służbie Kościoła i Narodu

W czasie składania życzeń imieninowych i urodzinowych Prymasowi Polski w dn. 3 sierpnia (przypadała również 30-ta rocznica jego święceń biskupich), sekretarz episkopatu bp Dąbrowski powiedział m.in.: „... Prosimy Cię w 75-tą rocznicę Twych urodzin, abyś ze względu na dobro Kościoła i Narodu zaniechał zamiaru złożenia rezygnacji (stosownie do dyspozycji papieskiej z 1966 roku, wydanej w duchu uchwał soborowych, ordynariuszom diecezji i kierownikom dykasterii watykańskich: „zaleca się” złożenie dymisji przy osiągnięciu 75-go roku życia; Papież decyduje o jej przyjęciu — n.r.). ... Wiem, że Ojciec św. poruszony wołaniami wszystkich środowisk religijnych, społecznych a nawet

politycznych w naszym kraju, a także świadom Twych wielkich zasług... jest przekonany, że uda mu się nakłonić Cię, abyś nadal odważnie kierował Kościołem w Polsce. Można powiedzieć, że obecnie odbywa się powszechny plebiscyt w sprawie Twego pozostania na dotychczasowym stanowisku. Ogromnie się cieszymy tym spontanicznym plebiscytem powszechnej życzliwości, w którym obok biskupów, kapłanów, zakonników i wiernych stanęli ludzie ze środowisk, które nie zawsze były przychylnie dla Ciebie. Także rząd PRL przez swego pełnomocnika przy Watykanie zwrócił się do Ojca św., aby nie przyjmował Twojej rezygnacji...".

Odpowiadając na życzenia Kardynał Prymas oświadczył, że „wypełni postulat odnośnie rezygnacji ze swego urzędu i wykona to, co zadczyduje Ojciec św. Myślę, że Ojciec św., gdy się o tym dowie, będzie miał ułatwioną decyzję”.

Osservatore Romano nie podało do wiadomości faktu złożenia dymisji przez Prymasa Polski. Zgodnie z przyjętą praktyką, tylko wtedy dymisja bywa opublikowana, kiedy nabiera charakteru urzędowego, w przeciwnym razie uznaje się, że nie została przyjęta i piastowanie urzędu automatycznie jest przedłużone.

W obronie robotników, przeciw ateizacji i dyskryminacji

Jak podaje komunikat Sekretariatu Prymasa Polski, Kardynał Wyszyński i biskup Dąbrowski wysłali 16 lipca do premiera Jaroszewicza pismo w związku z zajściami czerwcowymi. Pismo to zawiera „uwagi i wnioski oparte na motywach religijno-moralnych i społeczno-narodowych, stając w obronie robotników skazanych na ciężkie kary, którzy padają ofiarą represji i grożą im przykre konsekwencje za ich protest przeciwko podwyższen”. Pismo stwierdza, że „wiązaną uzasadnioną protestu robotników z wykroczeniami elementów antyspołecznych jest obraźliwe”, a odpowiedzialność za zajścia obciąża władze państwowe, które „złe wykalkulowały zasięg ogłoszonych zarządzeń”, jak również związki zawodowe, bezczynne i „dezinformujące”.

Episkopat solidaryzował się z licznymi interwencjami intelektualistów, w których uczestniczyli wybitni duchowni jak ks. J. Zieja czy katolicyści działacze, jak adw. Wł. Siła-Nowicki. „List 14-tu”, solidaryzujący się z protestem robotników Prymas Polski nazwał „prawdziwym, wolnym głosem sumienia narodo-wego”.

W przemówieniu do pielgrzymów na Jasnej Górze w dn. 26 sierpnia, Prymas Polski ponownie wystąpił energicznie przeciw aresztowaniom, dochodzeniom sądowym i szykanowaniu uczestników demonstracji robotniczych. Krytykując rozbudowę aparatu represyjnego, pozostającego w dyspozycji Min. Spraw Wewnętrznych, powiedział że „należałoby zmniejszyć o połowę ilość więzień i zredukować poważnie personel bezpieczeństwa. Mówi się, że w Polsce występuje brak rąk do pracy. Personel ten można by wykorzystać do bardziej szlachetnych zadań”. W tym samym

przemówieniu napiętnował ponownie kampanię ateistyczną „przedstawianą jako program polityczny, co szkodzi odbudowie gospodarczej i społecznej”. Nawołując do położenia kresu tej kampanii, oświadczył iż uzdrowienie gospodarki narodowej „wymaga usunięcia wszystkiego co wywołuje nieufność”. Sprawie ateizacji poświęcił episkopat odrębny apel do rodziców i dzieci z okazji wakacji, w którym mowa jest o „poddawaniu naciskom młodzieży i personelu nauczającego”. Obaj kardynałowie w licznych ostatnio wystąpieniach cytowali konkretne przykłady zastraszania wierzących, rodziców, młodzieży, nauczycieli. Kardynał Wojtyła zwrócił uwagę na panoszącą się „kategorię ludzi, którzy swoją karierę zawodową próbują budować na gwałceniu wolności sumienia i religii”.

Jak sobie wyobraża zatem Gierek „szerokie możliwości owocnej współpracy pomiędzy Kościołem i Państwem w wykonywaniu narodowych zadań”? (Z przemówienia do robotników fabryki samolotów w Mielcu, nadanego przez telewizję 4 września). Dodał: „Jest to nie tylko mój pogląd, ale Biura Politycznego i najwyższych władz państwowych”. Deklaracje tego rodzaju, wezwania do jedności narodowej i twierdzenie że „w Polsce nie ma konfliktu pomiędzy Kościołem i Państwem”, mają na celu uspokojenie wzburzonych nastrojów i naprawienie złego wrażenia za granicą, wywołanego przez nowy bunt robotników. Nie ma to jednak pokrycia w faktach i dalekie jest od rzeczywistych intencji partii. Min. Kąkol, szef Urzędu d/s Wyznań nie szczędził ostatnio słów uznania dla Kościoła („uczyciwości”) i dla Prymasa Polski („to dobry patriota... opozycjonista lojalny”). Równocześnie jednak w wywiadzie udzielonym włoskiemu tygodnikowi *Famiglia Cristiana* (Rzym, 29 sierpnia 1976, 1,5 miliona nakładu) oświadczył: „Wierzący nie mogą obejmować wysokich stanowisk w życiu państwowym. Na pewnych szczeblach administracji państwowej, kto piastuje odpowiedzialne stanowisko musi dentyfikować się z panującym systemem. Winien wybrać pomiędzy lojalnością wobec Państwa i wobec wiary: jeśli powstają konflikty, może zrzec się...”. W tym samym wywiadzie Kąkol kwestionuje jednak zarzut biskupów odnośnie dyskryminacji katolików. Dziennikarz włoski wyciąga taki wniosek: „Sądzę że dobrze zrozumiałem. Potwierdził mi to zresztą pewien dziennikarz z agencji PAP (aktywista partyjny nie może chodzić do kościoła, byłoby to nieuczciwe; marksizm jest rzeczą poważną). Innymi słowy, katolik może, a nawet powinien, być również dobrym marksistą (we Włoszech utrzymują tak zwłaszcza lewicowi chrześcijanie); jeśli ci się to nie udaje, wyrzeknij się własnej wiary lub przyjmij konsekwencje wierności sobie; natomiast prawdziwy marksista nie może, nie powinien, być dobrym katolikiem. Komuniści polscy, z ich punktu widzenia, przynajmniej zatem rację Papieżowi i włoskim biskupom. I nie w słowach, lecz w faktach: nauczyciel uczęszczający do kościoła, może aspirować najwyżej np. do wykładania matematyki; w dziedzinie filozofii i nauk społecznych, nie ma dlań miejsca. Pluralizmu wymaga

się tylko od katolików, marksistom jest wzbroniony, Wchodzi tu w grę oczywiście odmienny światopogląd". O filozoficznych motywacjach marksistowskich plotą niepoważni dziennikarze i aktywiści partyjni — na wyższych szczeblach hierarchii partyjnej nikt sobie marksizmem nie zawraca głowy w programowaniu i realizowaniu zwalczania Kościoła i wpływów katolicyzmu (wynika to jasno z wystąpienia Kąkola w czasie kursu szkolenia politycznego). Metodologii dyskryminacji katolików poświęcony jest inny wywiad w tym samym reportażu włoskiego czasopisma (zatytułowanego „Polonia: cosa costa essere cattolici”). Rozmówcą jest bp F. Musiel, sufragan częstochowski, jeden z „czarnej listy” Kąkola (dwaj inni: bp Tokarczuk z Przemyśla i jego sufragan bp Błaszczkiewicz). Podaje on konkretne przykłady: „W Sosnowcu zażądano listy dzieci przystępujących do komunii św. podpisanej przez katechetów i rodziców, którzy musieli sprecyzować czy należą do partii. W Siewierzu, po egzaminach dojrzałości, dwaj maturzyści wstąpili do seminarium. Dyrektor szkoły wezwał nauczycieli i wygarnął im: „jakie wychowanie, do cholery, dajecie uczniom? Zamiast wstąpić do partii, idą na księży”... Aktywiści partyjni, zgadzający się by ich dzieci uczęszczały na naukę religii, podlegają sankcjom; zdarza się to często ponieważ mimo zamaskowanej represji niemal wszyscy posyłają po cichu dzieci na katechizację chociażby do innych parafii, gdzie są nieznanymi... Dla dzieci zaś nieuczęszczających do kościoła partia organizuje specjalne imprezy na zakończenie których otrzymują dyplomy i prezenty (np. w Wojtowicach). Bp Musiel stwierdza następnie że w czasie wizytacji parafii tajniacy czekają w pogotowiu z magnetofonem, by nagrać to co powie. Przypomina, że bezpieka ucieka się również do tajnego podsłuchu: „odkrywamy mikrofony w telefonach lub kontaktach oświetlenia. Bp Tokarczuk odkrył je zainstalowane w kaloryferach...”.



Biskupi zebrani na plenarnej konferencji w Częstochowie w dniach 8 i 9 września br. zażądali amnestii dla skazanych uczestników czerwcowych demonstracji. W komunikacie Episkopatu czytamy: „Domagamy się od władz państwowych położenia kresu wszelkim represjom. Należy przywrócić, skazanym prawa obywatelskie, pracę, i wynagrodzić poniesione straty, a wszyscy skazani winni być ułaskawieni”.

Dominik MORAWSKI

Kraj

Robotnicy

Jednodniowe rozruchy robotnicze w Polsce 24 czerwca 1976 roku nie powinny były stanowić zaskoczenia ani dla władz partyjnych ani dla uważnych zagranicznych i emigracyjnych obserwatorów sytuacji w Kraju. Tymczasem powszechność i gwałtowne formy protestu robotników przeciwko podwyżkom cen mięsa i innych artykułów żywnościowych stały się dla władz oczywistym szokiem, a dla zagranicy zjawiskiem rewelacyjnym lecz niezrozumiałym. W wypadku władz polskich jest to najbardziej, jak dotychczas, przedziwny i jaskrawy przykład nieuniknionego w systemach totalitarnych zatrufania się własną propagandą. Po rozruchach i strajkach robotniczych (styczeń 1970 - luty 1971) kontrola polityczna nad wielkimi zakładami pracy została znacznie zacieśniona. Sto kilkadziesiąt najważniejszych zakładów wyjęto spod kurateli Komitetów Wojewódzkich i przeniesiono pod bezpośrednią zwierzchność Komitetu Centralnego PZPR. Rozwinięto metodę monitorowania napięć w wielkich środowiskach robotniczych z siecią terenową komórek socjologicznych. Cały ten system okazał się bezużyteczny. Sygnały od partyjnych socjologów z terenu musiały być błędne, skoro doprowadziły do fałszywego rozpoznania w centrach.

Jest to zrozumiałe. Z jednej strony chaos pojęciowy, a z drugiej wzniesione przez lata praktyki życiowej defensywne mechanizmy psychologiczne u badających i u badanych, wypaczają w zarodku wszelkie oficjalne sondaże nastrojów społecznych. Wiemy że nawet w społeczeństwach otwartych, gdzie informacja nie jest tożsama z propagandą, niezmiernie trudno jest przewidzieć ruchy opinii publicznej i narastanie napięć. Cóż dopiero w systemie „demokratycznego centralizmu”, gdzie wszystkie istniejące struktury polityczne służą przekazywaniu woli władzy i gdzie partyjni badacz, który zamierzałby przystać w górę sygnał sprzeczny z tym czego władza chce i oczekuje, traci od razu normalne punkty oparcia. Do tego w tym systemie drastyczne rozszczepienie świadomości na urzędową i prywatną jest co najmniej równie ostre wśród robotników jak i wśród inteligencji

pracującej. Urzędowe pytania pobudzają do urzędowych deklaracji. Osobiste uczucia grzęzną w tej podziemnej sferze życia, której się nie otwiera dla oficjalnych inspekcji. Tylko w momentach kiedy napięcia pękają, w momentach wybuchu, przzerwania tamy, ten żywioł się wylewa, i prywatne frustracje robotników zyskują publiczny wymiar.

Zdziwienie zagranicznych i emigracyjnych obserwatorów wpływa, paradoksalnie, z analogicznych źródeł: z niezrozumienia społecznych i kulturowych mechanizmów które działają w środowiskach polskich robotników. Dlatego zaskakuje ich powszechność i natychmiastowość protestu, dlatego szukają śladów zorganizowanego współdziałania robotników, lub gotowi są wierzyć w ukrytą prowokację.

Kiedy to piszę nic nie jest mi wiadomo o zajęciach 24 czerwca poza powierzchownymi i czysto zewnętrznymi relacjami z paru miejsc i oficjalną wersją, dawkowaną przez polską prasę. Nie wiem czy nawet w Ursusie i Radomiu, gdzie bunt robotników przybrać miał najbardziej agresywne formy, ukonstytuowały się Komitety Strajkowe, nie wiem kim byli i jak się wyłonili przywódcy buntu, czy doszło do sformułowania postulatów i czy szukano rozmów z władzami partii. Ale i bez tych istotnych konkretnych danych samą dynamikę zjawiska zrozumieć można poprzez analogię z poprzednimi polskimi strajkami, a przede wszystkim z wybuchem na Wybrzeżu w grudniu 1970 i styczniu 1971 roku. Na ten temat istnieją już dosyć obfite materiały.

Wiem sporo o organizacji i o dynamice ruchu robotniczego na Wybrzeżu, a w szczególności o najbardziej pod niektórymi względami ciekawym strajku okupacyjnym robotników stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie, od 22 do 25 stycznia 1971 roku. Jestem autorem scenariusza angielskiego filmu telewizyjnego „Three Days in Szczecin” („Trzy dni w Szczecinie”), transmitowanego po raz pierwszy 21 września tego roku. Film jest półtrogodzinną, inscenizowaną rekonstrukcją styczniowego strajku, który zakończył się, jak wiemy, bezpośrednią konfrontacją okupujących swój zakład robotników z Edwardem Gierkiem. Materiały na ten temat zbierałem mozolnie przez blisko rok. Odbylem kilka wielogodzinnych rozmów z Edmundem Bałuką, przewodniczącym styczniowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie, który w 1973 roku uciekł na Zachód i mieszka obecnie w Anglii. Parę razy odwiedzałem Szczecin, gdzie poznałem innych przywódców strajku. Kontaktowałem się z działaczami robotniczymi w Warszawie, zbierałem materiały w Kraju gdzie tylko się dało. Pełną wersję zebranych materiałów mam nadzieję sporządzić kiedy indziej. Tutaj podzielić się chcę tymi wiadomościami, które wydają się być pomocne w zrozumieniu aktualnej sytuacji w Kraju. Prawie wszystkie konkrety zaczerpnięte są ze środowiska robotniczego w Szczecinie, które poznałem najlepiej.

Istnieje uderzająca różnica pomiędzy strukturą organizacyjną strajków grudniowych, a strukturą strajku styczniowego w Szczecinie. W grudniu elita przywódcza była stosunkowo szczupła

i składała się prawie wyłącznie z robotniczych działaczy partyjnych. Stąd też podejrzenia o prowokację, spekulacje na temat partyjnego spisku, który miał być rzekomo ukrytą sprężyną wydarzeń grudniowych. Nawet przy tej interpretacji kluczowa rola ludzi partyjnych wydaje się dziwna. Wybuch gniewu zwrócony był przeciwko przeciwko władzy partyjnej, naturalnym odruchem tłum był marsz pod Komitet Wojewódzki, a kiedy dom KW stanął w ogniu, następnym symbolicznym aktem oczyszczenia stały się dziesiątki i setki legitymacji partyjnych, demonstracyjnie wrzucanych w płomień. (To samo miało podobno miejsce 24 czerwca tego roku w Radomiu). Lecz kiedy po pożarach, strzelaninie i bitwach ulicznych, tłum stoczniovców odpłynął do zakładu, zamknięto bramy i rozpoczęto strajk okupacyjny, na czele Komitetu Strajkowego stanął działacz partyjny Dopierała. W zgiełku spontanicznych wieców poszczególne działy stoczni wybrały trójki reprezentantów wśród których, jak się okazało, większość stanowili członkowie partii. W wyłonionym przez „trójki” zaledwie pięciosobowym, nadrzędnym Komitecie Strajkowym, łącznie z Dopierałą co najmniej cztery osoby (piątej nie jestem pewien) były partyjne.

Ale też bezpartyjnych działaczy robotniczych w Polsce praktycznie nie ma. Pojęcie „bezparyjnego aktywu” odnosi się głównie do inteligencji. Dla robotników obdarzonych temperamentem społecznym partia, nie licząc organizacji sportowych, daje praktycznie jedyną możliwość spełnienia. Dlatego, gdyby istniały metody pomiaru przeciętnego poziomu moralnego kadr partyjnych, przekonany jestem że wśród ogólnie bardzo nędznych wyników stosunkowo najwyższą przeciętną otrzymalibyśmy w środowiskach robotniczych. Znalazłaby się tam pewna ilość partyjnych nie przeżartych cynicznym oportunizmem.

Osób autentycznie dynamicznych, stanowiących naturalną elitę klasy robotniczej, jest w Polsce w zasadzie mało, na pewno procentowo mniej niż w przemysłowych krajach Zachodu. Jak wiadomo, polska klasa robotnicza jest dzieckiem powojennego przewrotu społecznego. W okresie niezwykle gwałtownej geograficznej i społecznej migracji stosunkowo łatwe się stało przekraczanie klasowych barier. Los robotnika nie był i wtedy pociągający. Robotnikami stawali się ludzie o najniższych aspiracjach, lub ci którym się w życiu nie wiodło. Od tego czasu struktura społeczna w Polsce okrzepła, ale „przecieki” z jednej warstwy do innych wciąż są znaczne. Podobno na zawodowych kursach wieczorowych około 40% studiujących to robotnicy. Zapewne właśnie oni stanowią najbardziej ambitny i dynamiczny element w swej warstwie, ale cały ich margines energii nie strawionej przez pracę fizyczną w zakładzie, służy temu by z tej warstwy uciec. Z jednostek wybijających się, ale pogodzonych z losem robotnika, duży, być może przeważający, procent trafia do pracy partyjnej. Jest to zresztą jedyna dostępna im platforma i szkoła życia publicznego. To właśnie spośród nich pochodzą naturalni przywódcy strajków grudniowych na Wybrzeżu.

Oczywiście, robota partyjna nie jest szkołą non-konformizmu. Ale w sytuacji grudniowej, w sytuacji tak strasznego napięcia emocjonalnego, działacze partyjni utożsamiając się z buntem robotników ratowali autorytet już nie partii, ale swój osobisty. Zresztą wiedzieli że ryzyko mogło się opłacić. Nie trzeba było wcale być uczestnikiem „spisku” by zdawać sobie sprawę z prawdopodobieństwa zmian w Biurze Politycznym, łącznie ze stanowiskiem Pierwszego Sekretarza. Od roku 1968 partia nie była monolitem. W sytuacji braku otwartej gry politycznej działacze stają się niezwykle wrażliwi na wszelkie sygnały ukrytej walki, na zapowiedzi zmiany. Mrok zwiększa wrażliwość. Taka sama wyostrożona intuicja tłumaczy dwuznacznie przywołujące stanowisko administracji w czasie strajków grudniowych. Mimo przerażającej gwałtowności walk ulicznych i żywiołowej nienawiści jaka zapanowała pomiędzy policją i robotnikami, warunki bytowe na terenie okupowanych zakładów w Gdańsku i Szczecinie były stosunkowo łagodne. Nie próbowano głodzić strajkujących, nie odcinano przypiływu żywności i wody. Administracja zachowywała pewien zakres neutralności, nie utożsamiała się jednoznacznie z policją.

20 grudnia doszła do strajkujących wiadomość o usunięciu Gomułki i o objęciu przez Edwarda Gierka funkcji Pierwszego Sekretarza KC PZPR. Wypuszczono — jakby powiedzieli Anglicy — wiatr z partyjnych żagli. Strajk nie osiągnął swoich zasadniczych celów: nie cofnięto podwyżek cen żywności, nie mówiąc już o politycznym postulacie niezależności Związków Zawodowych. Ale na górze dokonano rewolucji pałacowej, partia zwiierała szeregi wokół nowego lidera, i te same, bezbłędne instynkty działaczy robotników, które podpowiadały przedtem że coś się stać musi, szeptały teraz że to już to, że czas do domu. A tymczasem wrzenie wśród mas nie ustawało. Drogi partyjnych przywódców strajku i szeregowych robotników zaczynały się rozchodzić. W Szczecinie bezczynność Komitetu Dopierały doprowadziła 22 grudnia do próby stworzenia nowego pięcioosobowego Komitetu, z poparciem części „Trójek” strajkowych. Na jego czele miał stanąć bezpartyjny Edmund Bałuka. Tego samego dnia przyjechał do Szczecina wicepremier Kaim. Na rozmowy z nim stawiły się już oba Komitety, w składzie dziewięciu osób, bowiem jedna, Ewa Zielińska, weszła do obu. Niewątpliwie taka „rozłamowa” sytuacja ułatwiła Kaimowi zadanie. Oba Komitety zgodziły się „zawiesić” strajk, na czas świąt Bożego Narodzenia.

Grudniowe strajki okupacyjne nie zostały nigdy formalnie odwołane, Komitety i „trójki” wydziałowe nie rozwiązały się. Po prostu przestały funkcjonować i rozplynęły się. Po Bożym Narodzeniu stoczniowcy powrócili w zakładzie do swoich stanowisk pracy, ale produkcja praktycznie nie ruszyła z miejsca, lub, w najlepszym wypadku, posuwała się naprzód w zółtym tempie. Odbywał się za to nieustanny ciąg zebrań i wieców, nieoficjalnych i oficjalnych, zwoływanych z byle czyjej inicjatywy pod czapką Rady Zakładowej, Rad Wydziałowych, lub nawet przez pojedyn-

czych „mężów zaufania”. Administracja była zwykle na tych wiecach reprezentowana, czasami pojawiali się ludzie z Komitetu Wojewódzkiego. Łatwo sobie wyobrazić że na tym etapie większość zakładowych działaczy partyjnych starała się hamować nastroje wysuwając skromniejsze postulaty, nie kolidujące z deklaracjami nowego kierownictwa Partii. Niektórzy partyjni po prostu usuwali się w cień. W praktyce oznaczało to że działacze partyjni przestali być reprezentatywni, nie wyrażali wrzących wciąż nastrojów mas. Ogłoszone przez Gierka podwyżki zarobków dla najniżej płatnych robotników, stoczniowców na ogół nie dotyczyły i nie zmieniały ich sytuacji. A Boże Narodzenie, święto rytualnego obżarstwa, uzmysłowiło znowu mięsożernym bez wyjątku robotnikom jak dotkliwe były podwyżki cen żywności.

Ten paratygodniowy okres wiecowania pomógł zapewne w wyłonieniu potencjalnych, nie-partyjnych przywódców. Trudno oczekiwać by robotniczy działacze partyjni chcieli wnieść protest w rejony, gdzie układy wewnątrz Partii nie mogłyby już dać żadnego oparcia. Na nowym etapie na czoło wysunąć się musieli ludzie niespokojni, o temperamentie awanturniczym — w niepejoratywnym tego słowa znaczeniu. Niezbędnymi cechami nowych przywódców były zuchwała odwaga, i umiejętność mówienia. Wstrząs grudniowy i parę późniejszych tygodni w atmosferze podnieconego wiecowania, wypełnić musiały brak doświadczenia w życiu publicznym. Dla określenia własnej postawy, dorobienia się niezależnego światopoglądu politycznego, był to na pewno kurs bardziej owocny niż szkoła jałowych zebrań partyjnych.

Przywódcami strajku styczniowego w Szczecinie zostali tacy właśnie *outsider'zy*, a między nimi ludzie z historią konfliktu z prawem, pozbawieni możliwości działania w warunkach normalnych. Edmund Bałuka, rodem z Krosna, we wczesnych latach pięćdziesiątych był młodym marynarzem na dalekomorskich trasach. Pozbawiony książki marynarza za rzekome kontakty z emigracją próbował w 1956 roku uciec na Zachód przepływając wpław Dunaj koło Bratysławy. Wyciągnięty z wody przez patrol czeski i wydany policji polskiej, odsiedział z górą rok w więzieniu. Z początkiem lat sześćdziesiątych osiedlił się w Szczecinie, gdzie później też znalazł się w areszcie za uderzenie funkcjonariusza milicji. O parę lat starszy Adam Ulfik, zastępca Bałuki w Komitecie styczniowym i dowódca milicji strajkowej, odpowiedzialny za bezpieczeństwo wewnątrz stoczni, był synem przedwojennego robotnika z Częstochowy. W czasie okupacji był już szczenięcym konspiratorem. Zesłany na roboty w głąb Niemiec po nieudanych próbach ucieczki zostaje uwięziony w obozie Mauthausen. Kiedy po dwóch latach obóz koncentracyjny wyzwalała wojska alianckie, Ulfik odszukuje swego obozowego „Capo” i zabija go. Odsiaduje wyrok w amerykańskiej strefie okupacyjnej, po czym wraca do Polski i osiedla się w Szczecinie. Trafia tu znowu do więzienia na sześć miesięcy za pobicie oficera milicji.

W oczach kolegów robotników taka „kryminalna” przeszłość nie jest na pewno żadną plamą. Natomiast zagradza tym niespokojnym, energicznym i często autentycznie zdolnym ludziom drogę do działalności publicznej, już chociażby przez to, że po wyroku skazującym nie można być przyjętym do partii.

Bezpośrednim lontem strajku styczniowego były kłamstwa propagandy. Normalnie robotnicy są całkowicie gruboskórni i nieczuli na napuszoną i sprzeczną z faktami retorykę środków masowego przekazu. W okresach napięcia, kiedy ich głębokie frustracje wychodzą na powierzchnię, stają się niezwykle na propagandę wyczuleni i drażliwi. Po Bożym Narodzeniu jedyną koncesją władz na rzecz wzburzonych szczecińskich robotników było odwołanie Walaszka, znieawidzonego po Grudniu sekretarza KW. Z początkiem stycznia pojawił się w stoczni Szydłak, po czym Walaszek zniknął, i przyjechał Ołubek, nowy Pierwszy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego. Pierwszą inicjatywą Ołubka było spreparowanie w stoczni kontr-wieczu na wydziale rurowni. Działając poprzez wydziałową komórkę partyjną zaimprovizowano 11 stycznia zebranie w rurowni, w obecności grupki miejscowych dziennikarzy, fotoreporterów i ekipy telewizji szczecińskiej. Bez wiedzy robotników wywieszono transparent na temat czynu produkcyjnego i odczytano zobowiązanie o ponadplanowej produkcji w rurowni. W parę dni później na pierwszej stronie *Głosu Szczecińskiego* ukazała się szumna relacja z zebrania, zilustrowana fotografią-fotomontażem, gdzie dla lepszego efektu wkomponowano aktualny transparent w zdjęcie tłumnego wieczu sprzed paru lat.

Krajowi zwolennicy teorii spisku chcą widzieć w obelżywej prymitywności tego propagandowego manewru dowód prowokacji. W ich interpretacji zebranie w rurowni było inspirowane przez Moczarowców, by spowodować nowy wybuch i skompromitować nieokrępy jeszcze reżym Gierka. Nieznane mi są żadne związki pomiędzy Ołubkiem i Moczarem, natomiast wiemy że spreparowane zobowiązania tego typu należą do arsenału normalnych środków aparatu partyjnego, że ich stosowanie jest jego naturalnym, mechanicznym odruchem. Podobnie w końcu czerwca bieżącego roku odpowiedzią aparatu na protest robotników były zganiane pochody i wiece demonstrujące rzekome poparcie dla rządowej polityki wzrostu cen. Nie wolno zapominać, że w tamtym systemie nie istnieją, i bez radykalnej reformy obecnych struktur nie mogą istnieć, żadne procedury pozwalające na przeprowadzenie autentycznych konsultacji z robotnikami. Zebrania odbywają się zawsze według ustalonego schematu, wypowiedzi są zawsze zaprogramowane, konkluzje muszą być z góry wiadome. Niekontrolowane, spontaniczne procesy, powodują wśród odpowiedzialnych władz panikę. Sama sytuacja prawdziwie otwartego zebrania, gdzie każdy mówi co chce i co myśli, jest jednoznaczna z buntem. Ale też wydarzyć się może tylko w warunkach spotęgowanego napięcia. Normalnie ludzie trzymają się gotowych, bezpiecznych, a nic nie znaczących formuł. Lub milczą.

Tak więc nowy sekretarz KW, świadom że partia oczekuje od niego politycznej inicjatywy, chwytą się gotowych, stereotypowych wzorów. Nie rozumie — bo pełna świadomość byłaby zbyt groźna, bo godziłaby w racje które praktykuje on i jego partia — że w sytuacji społecznego wrzenia działanie normalnie bezpieczne, asekuranckie, staje się sypaniem prochu w żar. Kiedy robotnicy chcą mówić własnym głosem i podejmują niezbędne po temu ryzyko, powstaje rodzaj sprzężenia zwrotnego, i cała zdawałoby się martwa partyjna liturgia nagle też ożywa, stając się zniewagą nie do zniesienia.

Po rzekomych zobowiązaniach z 11 stycznia rurownia stała się przedmiotem gniewu i pośmiewiskiem reszty stoczni. Nowa fala zbierała przez kilka dni, rozlewając się kiedy zobowiązania powróciły echem ze stolicy i *Trybuna Ludu* zamieściła relację o zobowiązaniach w rurowni szczecińskiej. 22 stycznia rano, kiedy dzienna zmiana weszła do rurowni a nocna jeszcze nie wyszła, robotnicy wydziału porzucają stanowiska pracy i ruszają w stronę budynku administracji. Przyłączają się do nich inni stoczniowcy, tłum rośnie. Z obawy przed powtórzeniem się walk ulicznych ktoś z administracji zamyka główną bramę. Na terenie zakładu rozpoczyna się spontaniczny, burzliwy wiec. Z dachów szop i budynków kilku mówców jednocześnie wykrzykuje swoje racje. Na płaskim dachu kiosku żywnościowego, tuż ponad napierającym na bramę tłumem, staje Bałuka, Ulfik, Tokarski i paru innych stoczniowców. Wołając przez tubę na prędcie zwiniętą z forsphanu, Bałuka pierwszy rzuca hasło strajku okupacyjnego aż do przyjazdu na rozmowy ze strajkującymi najwyższych władz partyjnych i państwowych.

Przypadek odegrał tu sporą rolę. Edmund Bałuka przyznaje, że sformułował to hasło na poczekaniu, pod naciskiem sytuacji. Ale była to pierwsza propozycja odmiennej niż dotychczas strategii. Pierwsza i jedyna. Na poczekaniu też wymyślona została nowa struktura organizacyjna strajku. Każdy z trzydziestu sześciu wydziałów Stoczni im. A. Warskiego wybierał pięciu reprezentantów i jednego członka centralnego Komitetu Strajkowego. Na czele Komitetu stanął Edmund Bałuka, a jego zastępcami byli Ulfik i Andrzejczak. Spoza „piątek” dokooptowano jeszcze do zadań specjalnych dwóch partyjnych aktywistów, Franciszka Wilanowskiego i Lucjana Adamczuka. Wilanowski w okresie stalinowskim był przez czas pewien robotnikiem-prokuratorem, i miał być przy Komitecie doradcą prawnym; Adamczuk, który po dziesięciu latach pracy fizycznej w stoczni ukończył korespondencyjnie Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC, i w grudniowym Komitecie Dopierały pomagał redagować postulaty, zgodził się pełnić tę samą rolę przy Komitecie Bałuki. Tak więc ponad dwustu robotników, w ogromnej większości niepartyjnych, brało w czasie strajku bezpośredni, aktywny udział w robocie politycznej. Do tego dodać trzeba robotników stoczni remontowej i innych zakładów szczecińskich, które zastrajkowały na znak solidarności i przysłały swoich reprezentantów do stoczni.

Poza tym kilkuset stoczniovców pełniło służbę przy ochronie bram, przejść, przystani, instalacji i magazynów.

Nie tylko dla tej stosunkowo bardzo szerokiej elity, ale dla wszystkich zamkniętych w stoczni robotników, trzy dni strajku były jednym ciągiem zebrań i narad. Czterdziestoosobowy Komitet pozostawał w prawie stałej sesji, wprawdzie nie zawsze w pełnym składzie, bo poszczególni członkowie mieli też swoje specjalnie przydzielone zadania. „Piątki” strajkowe krążyły nieustannie pomiędzy Komitetem a swoimi wydziałami, zwołując zebrania wydziałowe, przedstawiając im propozycje Komitetu i przekazując poglądy kolegów z powrotem Komitetowi. Poza tym w specjalnie wydzielonym pokoju Adamczuk i Szerkus przyjmowali postulaty zgłaszane indywidualnie i grupowo, przez stoczniovców i od załóg innych strajkujących zakładów. Było tych postulatów dosłownie setki. Ich tematem mogły być równie dobrze nieistotne drobiazgi regulaminowe jak i naprawa systemu.

Ta oszałamiająca trzydniowa eksplozja demokracji tym bardziej jest imponująca, że miała miejsce w warunkach ogromnego zagrożenia. Stwierdzenie że przez te dni uczucie strachu nigdy nie opuszczało przywódców strajku, nie przynosi żadnej ujmy tym ponad wszelką miarę odważnym ludziom. Nie zamierzam w szczyptych ramach tego artykułu opowiadać szczegółowej historii styczniowego strajku w Szczecinie, ale przecież był on działaniem po omacku, bez żadnych precedensów i bez praktycznych nadziei na jakiegokolwiek oficjalne poparcie. Dyrekcja stoczni od początku była jednoznacznie wroga. Odcięto dopływ żywności i papierosów, a ulotki z helikopterów i głośniki spoza bramy wzywały robotników do wystąpienia przeciwko „bandytom”, którzy opanowali stocznię, i do otwarcia bram. Jeszcze w piątek, pierwszego dnia strajku, łączność z miastem była stosunkowo łatwa, ale w sobotę nadeszły znaczne posiłki „golędzinowców” i stocznia została zamknięta ciasnym kordonem uzbrojonej po zęby policji. Według ocen strajkujących ilość policji była znacznie wyższa od ilości zamkniętych w stoczni robotników. Wieczorem w sobotę odcięty został dopływ prądu, i w nagłym mroku umilkł głos radiowęzła, kontrolowanego przez stoczniovców. Uderzenie milicji wydawało się prawdopodobne. Tylko śmiały „bluff” Komitetu (groźba zgubnej dla instalacji eksplozji kotłów parowych) skłonił dyrekcję do przywrócenia stoczni elektryczności.

Działający w atmosferze uniesienia i strachu, i określający się w tym działaniu Komitet i aktyw strajkowy nie mogły być politycznym monolitem. Byli tam ludzie którym marzyło się powstanie robotnicze w całej Polsce. Padały sugestie wyjścia za bramę, uderzenia na policję, jazdy zdobyczym czołgiem do Warszawy, w zapalczywej wierze, że cały kraj ich poprze. Większość stawiała znacznie skromniejsze cele, wśród których postulat cofnięcia podwyżki cen i gwarancji nietykalności osobistej dla uczestników strajku traktowane były jako najważniejsze. Nawet wśród najbardziej zuchwałych pragnienie ocalenia własnej skóry

grało swoją rolę. Dlatego aktywista partyjny Wilanowski pilnował, z pełnym poparciem Komitetu, by nie gwałcono litery prawa, a drugi aktywista, Adamczuk, redagował list Komitetu do Gierka i postulaty stoczni.

Adamczuk, syn chłopa z Lubelszczyzny, wydaje się najdziwniejszą i najbardziej złożoną postacią wśród przywódców strajku. Jest to człowiek inteligentny, zdolny, pracowity, racjonalny, urodzony polityk. Jego rola i w grudniowym i w styczniowym strajku była znaczna. Styl postulatów i listu do Gierka wydaje się wystarczającym świadectwem rzetelności jego poglądów. Ale też w najbardziej politycznie karkołomnych, krańcowych sytuacjach, Adamczuk starał się zachować jakiś zakres lojalności względem partii. Nie solidaryzował się, jak twierdził, z jej polityką wewnętrzną, dążył do jej zmiany, ale podlegał dyscyplinie partyjnej. Zapewne jego ambicje osobiste nie pozostawały bez wpływu na jego postawę. Zaproszenie Komitetu Strajkowego przyjął dopiero po rozmowie telefonicznej z Ołubkiem, sekretarzem KW — z czym zresztą wcale się nie krył. Przypuszczając wolno, że jego otwarcie podzielona lojalność i stosunki w KW tolerowane były jako mały wentyl bezpieczeństwa w raczej beznadziejnej sytuacji. Ale w nocy z soboty na niedzielę Adamczuk przekazał do radiowęzła, bez upoważnienia, komunikat o bezwartunkowym odwołaniu strajku. Przesłuchiwany przez członków Komitetu mówił, że strajk nie ma już żadnych szans powodzenia, że zgnieciony zostanie siłą. Mimo to, nie został wydalony ze stoczni — co spotkało przedtem paru innych „zdrajców” — i w niedzielę wieczorem na spotkaniu z Gierkiem pilnował porządku przy mikrofonie.

Mimo różnicy zdań pomiędzy „rewolucjonistami” i „reformistami” Komitet Strajkowy trwał przy żądaniu konfrontacji z Gierkiem na terenie stoczni i uparcie odmawiał rozmawiania na jakimkolwiek niższym szczeblu. Widocznie jednak podświadomie przywódcy strajku nie wierzyli w spełnienie tego podstawowego postulatu, skoro w trakcie całej tej demokratycznej, trzydniowej egzaltacji nie znalazł się czas na sprecyzowanie procedury na wypadek nagłego pojawienia się Gierka. Tymczasem w niedzielę po południu zgłosił się Szlachcic, poprzedniego dnia mianowany ministrem Spraw Wewnętrznych, z wiadomością, że Gierek jest już w Szczecinie i z pełnomocnictwem na omówienie warunków spotkania. Komitet Strajkowy prosił o parogodzinną zwłokę, dla umożliwienia konsultacji z „piątkami” i załogami wydziałów. Nim jednak Szlachcic zdołał opuścić stocznnię Gierek i Jaroszewicz wysiedli z taksówek przy głównej bramie i przekroczyli ją bez sprzeciwu osłupiałej straży.

Gierek szedł przez stocznnię w stronę świetlicy, wzywając do siebie napotkane grupki robotników. Zapewne jego pierwszym zamiarem było zaskoczyć Komitet Strajkowy, wypełnić salę przyradowymi ludźmi i rozegrać konfrontację na własnych warunkach. Tylko częściowo udało się to udaremnić. Ulfik z grupą ludzi ze swego wydziału odciął u drzwi większą część podąża-

jących za Gierkiem robotników, ale na sali, obok Komitetu i pewnej części „piątek” (inni już w czasie spotkania prowadzili zebrania na swoich wydziałach), znalazła się spora grupa robotników bez mandatu. Właśnie chaos i przypadkowość procedury uczynił z tego zebrania dziewięciogodzinną konfrontację o przejmującej dramaturgii, z gwałtownie spontanicznymi wypowiedziami stoczniovców. Na szczęście, Komitet okazał się wystarczająco przezorny by utrwalić całość spotkania na taśmie magnetycznej. Dzięki temu znane jest nam dokładnie.

Jak wiadomo, Gierek odmówił kategorycznie rozważenia postulatu pierwszego — żądania obniżki cen na artykuły spożywcze. Skapitulował dopiero w tydzień później, po strajku łódzkich przątek. Za to raczej nieoczekiwanie przyjął postulat bezwzględnych wolnych wyborów do władz związkowych i rad robotniczych na szczeblu wydziału i zakładu, i zgodził się na przeobrażenie Komitetu Strajkowego w Komisję Robotniczą, z zadaniem dopilnowania realizacji tego postulatu. Do kompetencji Komisji Robotniczej miało należeć wyłączenie dysponowanie radiowezłem.

Znając późniejszy rozwój wydarzeń można być pewnym że koncepcja Gierka miała charakter czysto taktyczny. Trudno sobie wyobrazić by kiedykolwiek zamierzał on dopuścić do uniezależnienia struktur związkowych od partii. Ale po zakończeniu strajku, przez kilkanaście dni do wyborów, które na terenie zakładu przeprowadzone zostały 12 lutego, Komitet Strajkowy, działający pod nową nazwą w prawie niezmiennym składzie, pozostawał faktyczną władzą polityczną stoczni. Znowu jednak na jaw wyszedł brak doświadczenia politycznego przywódców strajku. Mając w ręku tak istotne atuty, nie wyzyskiwali ich do przeprowadzenia efektywnej kampanii przedwyborczej. Zapewne sądzili, że ich strajkowe osiągnięcia wystarczą. Tymczasem „opozycja”, oparta na lojalistycznej części partyjnych i wspomagana przez dyrekcję, nie zasnęła sprawy. W rezultacie w głosowaniu na „mężów zaufania” i do rad wydziałowych przeszła pewna ilość popularnych w skali wydziału członków Komitetu lub „piątek”, ale na szczeblu zakładu do Rady Robotniczej wszedł tylko Bałuka, którego nazwisko stało się w stoczni głośne. Zdyscyplinowany blok oponentów Komisji Robotniczej sprawił, że Ulfikowi, Bezi i innym, zabrakło paru głosów.

Po wyborach Komisja Robotnicza została formalnie rozwiązana. Przez parę następnych miesięcy grupa jej byłych członków dysponowała jeszcze poważnym wpływem na terenie stoczni, ale jej całkowita dezintegracja była już tylko kwestią czasu. Stocznia imienia A. Warskiego nie mogła pozostać długo jedyną w skali kraju oazą niezależnych robotników. Formalnie nikt z przywódców strajku nie został nigdy postawiony w stan oskarżenia za działalność polityczną na terenie stoczni, ale naciski policyjne grały ważną rolę w pacyfikowaniu zakładu.

W życiu polskiego robotnika policja jest zawsze bliska, nie jako ramię abstrakcyjnego „systemu”, ale jako obecność całkiem

namacalna, fizyczna. Najróżniejsze formy infiltracji są oczywiście dla wszystkich faktem. Nie tylko ORMO, ale i większość umundurowanych, szeregowych milicjantów wywodzi się ze środowisk robotniczych, podobnie jak i wielu cywilnych agentów i zwykłych donosicieli, jak dozorczy domów, których związki z milicją są w Polsce powszechnie znane. Robotnicy i policjanci należą do tej samej formacji kulturowej. Żyją ze sobą w osobliwej intymności, na dnie której są osady podejrzeń, niechęci, strachu i często nienawiści. Uciec od policji się nie da, ani fizycznie, ani — jak się to udaje dysydenckim inteligentom — poprzez sposób bycia stwarzający dumny dystans. Policjanci są w zakładzie, na trybunach stadionów i w pijackich barach. Wódka ma w tej niebezpiecznej intymności swoją istotną rolę. Wcale nie wszyscy robotnicy piją nałogowo, ale raz na jakiś czas, zwykle po wypłacie, prawie wszyscy piją do upadłego. Czasem jest to wieczór z żoną czy dziewczyną w restauracji drugiej kategorii, gdzie już po ósmej z kolacją bywa kiepsko, ale jest dancing i nigdy nie brak czystej wyborowej lub żytniej. Znacznie częściej spotyka się kolegów w ciasnych tanich barach gdzie pije się na stojąco, obowiązkowo zagryzając gęste „sety” cienkim dzwonkiem śledzia lub kęsem kiszzonego ogórka. Potem, jeżeli jeszcze trzeba, są prywatne „meliny” gdzie wolno budzić właściciela o każdej porze nocy i butelka „stołowej”, zwanej też „partyjną” z uwagi na czerwoną etykietkę, kosztuje o pięćdziesiąt, lub sto procent więcej. Wszystkie te miejsca są dobrze znane i uczęszczane przez policję, służbowo i z czystej ochoty. Przy stoliczku, po drodze do zupełnego zamroczenia, znajomy policjant może stać się na krótko partnerem zwierzeń, przez pijackie koleżeństwo lub na zasadzie „ja się ciebie nie boję”. Nie rzadko taka intymność kończy się wybuchem nienawistnej złości. Wśród robotników pobicie funkcjonariusza milicji jest najczęstszym „kryminalnym” wykroczeniem.

Polityczne procesy nie są potrzebne. Dysponując czasem i cierpliwością policja może poczekać na okazję wyłowienia niebezpiecznych politycznie robotników, może taką okazję podsunąć lub spreparować. Łatwo da się zbierać informacje, potrzebne do dezintegrujących środowisko drobnych prowokacji. Najbardziej efektywną metodą walki z robotniczym nonkonformizmem jest rozsiewanie podejrzeń, że wszystko jest prowokacją, że wszyscy przywódcy strajku byli agentami UB. W formalnych i nieformalnych przesłuchaniach policja popisuje się zawsze tym co wie, i nieopatrznie „zdradza” swoich rzekomych informatorów. Rozsyłane są także anonimy. W głębokiej społecznej izolacji w jakiej żyją robotnicy, w kulturowym ubóstwie ich zwykłej egzystencji, jest niemal nie sposób oprzeć się tak przewrotnym metodom.

Podejrzania że agenci działali wewnątrz Komitetu powstawały jeszcze w czasie strajku. W parę dni po spokaniu z Gierkiem z Komisji Robotniczej, za kontakty z UB w czasie strajku, wydalony został niejaki Zaleski. Wkrótce po rozwiązaniu Komisji

mieszkania jej członków nawiedzać zaczęli przyjezdni z Warszawy tajniacy znani jako „trenerzy” („bo ustawiają zawodnika”). Przyjeżdżali po dwóch, jeden groźny, drugi miły, i poza wyciąganiem informacji personalnych, próbowali przekupstwem lub pogroźkami skłonić rozmówcę do wskazania skrytek z dokumentacją strajku. Nie tylko w Szczecinie ale w skali całego kraju odbywała się wtedy gigantyczna operacja policyjna której celem było znaleźć i zabezpieczyć wszystkie potencjalne źródła informacji o wydarzeniach na Wybrzeżu. Operacja trwała nawet po przedostaniu się na Zachód dźwiękowego zapisu spotkania z Gierkiem. Pozostawały bowiem w ukryciu zapisy zebrań Komitetu i wieców strajkowych, zdjęcia, zeznania na temat zachowania się policji w czasie i po wydarzeniach ulicznych itd. Wydaje się, że policji udało się przechwycić większość tych materiałów.

Generalna, ostra rozprawa z grupą przywódców strajku rozpoczęła się latem 1971 roku. 10 sierpnia Bogdan Gołaszewski, który w styczniu wyprowadził robotników z rurowni, najmłodszy i jeden z najbardziej bojowych przywódców strajku, znaleziony został w swojej kawalerce nieżywy, otruty gazem. Jego koledzy z Komitetu są przekonani, że został zamordowany przez agentów policji. W jakiś czas potem miał miejsce nieudany zamach na życie Ulfika. Pewnego wieczoru, kiedy wracał sam do domu (żona wyjechała na wczasy), zastał w mieszkaniu dwóch nieznanym, którzy obezwładnili go i wyszli odkręcając kurki z gazem i zostawiając go na podłodze, odurzonego chloroformem. Ulfik, mężczyzna potężny, przyszedł do siebie i zdołał otworzyć okno. Niedługo po tym incydencie Ulfik został aresztowany pod zarzutem zgwałcenia ułomnej, niedorozwiniętej córki dozorczy domu w którym mieszkał. Mieszkanie dozorczy było znane jako miejsce pijackich zebrań miejscowej milicji. Ulfik kategorycznie zaprzeczał oskarżeniu i po energicznej interwencji Rady Robotniczej, której sekretarzem był wtedy Bałuka, został odesłany z więzienia do szpitala po czym zwolniony bez sprawy i przeniesiony na rentę zdrowotną. Zabrano mu wtedy przepustkę do stoczni, i nie zwrócono chociaż Ulfik żądał jej, by udać się do swojej przychodni lekarskiej na terenie zakładu, i odmawiał zbadania przez lekarzy na mieście. Przez następne lata wypłacano Ulfikowi rentę zdrowotną chociaż nie przedstawił on ani razu zaświadczenia lekarskiego. Na teren stoczni wejść nie miał prawa.

Adam Ulfik zmarł nagle 2 lutego 1976 roku. Ten groźny, zdecydowany na wszystko kolos o uśmiechu dziecka zasłużył na to by go wydobyć z mrocznych dziejów PRL'u. W Komitecie Strajkowym był postacią bodajże najbardziej niezłomną, otwartą wrogą systemowi. Pragnął kontynuować strajk i zapoczątkować zasadę że każdy strajk okupacyjny, trwający dłużej niż pięć dni, w którym bierze udział więcej niż połowa załogi, staje się sprawą międzynarodową i badany być powinien przez niezależny zespół działający pod egidą ONZ. Jego poglądy były mieszaną naiwności i prawdziwego rozumu politycznego, owianą sentymentalnym a gorącym patriotyzmem. Był całkowicie bezkompromisowy

i nieprzekupny, nie załamał się nigdy, do końca wierzył że siła polskich robotników obali istniejący porządek.

Pomiędzy latem 1971 a 1972 roku ukryte represje dotknęły i innych członków Komitetu. Gałązka, który w czasie pochodów 1 maja 1971 roku zerwał czapkę z głowy oficerowi milicji i publicznie ją podeptał, został skazany za gwałt na osiem lat więzienia. Po incydencie w restauracji więzienie groziło Arturowi Bezi. Kilkoro innych — Ewa Zielińska, Jola Jakimowicz (speakerka w czasie strajku), Urbański — pod naciskiem przyjęło pracę poza stocznia. W drugiej połowie 1972 roku cały zakład był już praktycznie spacyfikowany. W tym samym czasie Edmund Bałuka przyjął posadę wojewódzkiego przewodniczącego Związku Metalowców i opuścił teren stoczni. Już w półtora miesiąca później został pozbawiony urzędu i nie przyjęty z powrotem do pracy w zakładzie. Z początkiem 1973 roku pozwolono mu uzyskać książkę marynarza, zapewne w nadziei że opuści kraj na stałe. Co uczynił.

Żadne niezależne po-grudniowe struktury nie utrzymały się i nie mogły się utrzymać. Były to jednak precedensy ogromnej wagi. Spoistość klasowa i solidarność nowej klasy robotniczej w Polsce datują się właściwie od grudnia 1970 - stycznia 1971. Ale wzrost zarobków w latach siedemdziesiątych wcale nie zmienił ich kulturowo wciąż ubogiej egzystencji i nie usunął źródła frustracji. Jest to życie od zdarzenia do zdarzenia, gdzie wódka czy sport pozwalają na małe eksplozje frustracji, zawsze na temat „ja wam pokażę, ja się nie boję”. W sytuacjach gwałtownego fermentu te psychiczne napięcia wybuchają zbiorowo, publicznie. Robotnicy się nie boją, bo ich strach przeradza się w zuchwałość, bo deprawacje ich życia eksplodują złością.

Nowa świadomość klasowa oznacza, że coraz trudniej jest odizolować pojedyncze wybuchy. Kiedy rosną napięcia, dezinformacja środków przekazu odnosi odwrotny efekt. Wszyscy się wsłuchują, więc każdy szept się rozlega spod tej martwej gadaniny, każda plotka staje się legendą. Wybuchy robotnicze leżą w naturze systemu, i chyba będą coraz częstsze.

Bolesław SULIK

Po Gomulce Gierek...

(LIST Z KRAJU)

Wydarzenia czerwcowe w Polsce, które niesłusznie traktuje się na Zachodzie jako jednodniowy bunt uliczny przeciwko pla-

nowanej podwyżce cen — o czym szerzej pomówimy niżej — stały się przełomem politycznym, moralnym i socjalnym o niebywałym znaczeniu, zapewne w skali historycznej i o zasięgu wykraczającym daleko poza granice PRL.

Przyszłość pokaże jakie konsekwencje dla całego bloku sowieckiego miały te wypadki, trwające od 25 czerwca do końca lipca, a nawet także — po części — jeszcze w sierpniu 1976 roku. I dopiero przyszłość odkryje całą prawdę o tym zaskakującym i wielkim procesie odnowy życia publicznego pod rządami komunistycznymi. Dzisiaj nie posiadamy jeszcze pełnej dokumentacji, nie dysponujemy nawet dokładną wiedzą o stanie faktycznym, nasze informacje są niekiedy cząstkowe, niekiedy wręcz uznać je trzeba za rezultat dedukcji, czy pewnej tresury myślenia, którą sobie Polacy w kraju doskonale wyrobili w ciągu trzydziestu lat rządów totalitarnego komunizmu. Z powodzi fałszerstw, z przemilczeń, z pozornie marginesowych wzmianek — odczytany Polak w kraju potrafi sobie odtworzyć bieg wypadków, a nawet wysnuć logiczne i w pełni uzasadnione przypuszczenia. Ale nawet to tylko co dzisiaj wiemy z całą pewnością — jest wystarczającym materiałem by stwierdzić, że dokonał się przełom o znaczeniu historycznym. By to zrozumieć — trzeba cofnąć się nieco wstecz, dokonać analizy pięcioletnich rządów Gierka i jego ekipy od grudnia 70 do czerwca 76 roku.

Gierek zdobył władzę w Polsce w wyniku krwawych wydarzeń na Wybrzeżu, które zmiotły Gomułkę, Kliszkę *et consortes*. 14 lat rządów Gomułki czeka na historyczną monografię. Było to czternastolecie bardzo dla Polski i Polaków ważne. Nie należy zapominać, że w powojennej historii naszego narodu, poddanego sowieckiej presji, Gomułka zajmował naczelne stanowiska w państwie przez czas najdłuższy, łącznie rządził Polską prawie 19 lat i piętno jego osobowości pozostaje nadal trwałym czynnikiem procesów rozwojowych w kraju. Gomułka był na pewno człowiekiem ograniczonym, jego poglądy ekonomiczne były anachroniczne i prowincjonalne, jego doktrynerski komunizm w pełni uzasadniał epitet Kisielewskiego o „dyktaturze ciemniaków”. Dzisiaj Gomułka jest w Polsce człowiekiem pogardzanym z powodu fatalnych głupstw w dziedzinie gospodarczej, które spowodowały krach ekonomiczny u schyłku lat 60-tych, a głównie z powodu odpowiedzialności jaka na nim ciąży za zbrodnie na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku.

Ale niemal każdy Polak w kraju wie doskonale, że Gomułka był wprawdzie ograniczony, despotyczny, lecz jednocześnie pozostawał skromny, miał pewien talent przywódczy, był działaczem społecznym starej daty, a przede wszystkim był ostatnim chyba w Polsce ideowym komunistą. Polacy komunizm odrzucają zdecydowanie, co więcej — odrzucają dzisiaj także, niestety, socjalizm demokratyczny, tak są nieufni wobec wszystkiego co pachnie frazeologią wywodzącą się z tradycji socjalistycznej — ale Polacy zawsze szanowali i nadal szanują ideowość, bezinteresowność, żarliwe społeczne zaangażowanie w sprawę narodu.

Grudzień 70 roku zmiotł Gomułkę ze sceny politycznej raz na zawsze, a z nim zniknęły z polskiego życia publicznego ostatnie ślady ideowości i prawdziwego zaangażowania ideowego.

Ostatnie lata rządów Gomułki były jednym pasmem katastrof gospodarczych i moralnych oraz politycznych kompromitacji. Począwszy od marca 68 roku aż po grudzień 70 roku Gomułka szedł ku przepaści, zapewne nieświadomy tego co sam sobie zgotował. Ale już przed grudniem społeczeństwo wiedziało, że kraj znajduje się w przededniu wielkiej i dość dwuznacznej przemiany. Kompromitacja takich ludzi jak Gomułka czy Kliszko była zarazem kompromitacją resztek ideowości w partii, która tu i ówdzie kołatała jeszcze w umysłach Polaków. Zwycięstwo ekipy Gierka jako skutek wydarzeń z grudnia 70 roku było zarazem sukcesem nowej kadry partyjnej, ludzi młodych, czterdziestolatków, którzy — jak słusznie pisał przed laty Bauman w swoim artykule o wydarzeniach marcowych — czekali w kolejce do władzy. To pokolenie zetempowskie, wyposzczone w epoce Gomułki, pozbawione szans na awans, bardziej od starych komunistów wykształcone, ale też bez porównania bardziej cyniczne i skłonne do zimnej manipulacji, dorwało się do władzy i beneficjów z nią związanych w sposób zupełnie nieodpowiedzialny. Era Gomułki odeszła w przeszłość — na scenie pojawili się ludzie Gierka. Dziś, po kilku latach, można z całą pewnością powiedzieć, że ekipa Gierka była już dawno przed grudniem gotowa do przejścia spadku po Gomułce. Oczywiście nie ma mowy o prowokacji w grudniu na Wybrzeżu. Był to autentyczny ruch masowy, kosztował wiele ofiar, doprowadził do zwycięstwa, także w odczuciu mas robotniczych i całego narodu. Ale chyba preludium do grudnia było starannie odegrane. Gomułka — odcięty od mas, otoczony kordem wytrawnych politycznych cwaniaków — nie wiedział co się święci. Potem wypadki toczyły się już same.

Pierwszym sekretarzem został śląski władca feudalny, towarzysz Edward Gierek. Lecz ta zmiana warty w niczym nie przypominała października 56 roku. Wtedy Gomułka miał za sobą nie tylko poparcie narodu, ale entuzjazm mas. Gierek nie mógł liczyć nawet na część takiego poparcia. Naród akceptował zmianę warty, ale stawiał surowe wymagania, nie ufał nowemu dyktatorowi, domagał się szybkiej zmiany polityki. Słynne „pomóżemy!” brzmiało optymistycznie, lecz zawarta w nim była także przestroga. Pomóżemy — i owszem — ale tylko wówczas, jeśli uznamy, że taka pomoc leży w interesie narodu.

I rzeczywiście! Pierwsze dwa lata rządów Gierka to był szybki marsz do przodu. Wtedy ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy z konsekwencji tej tak zwanej polityki „dynamicznego rozwoju i budowy drugiej Polski”. Nie zdawali sobie sprawy, że cały ten olbrzymi eksperyment oparty jest na ryzykownym przedsięwzięciu olbrzymich kredytów zagranicznych i postępującej inflacji. Dla każdego kto myśli po gospodarstwu — postęp ekonomiczny współczesnego państwa musi wiązać się z procesami

inflacyjnymi. Ale inflacja ma swoje granice, szczególnie w ramach planowania w warunkach demokracji ludowej. Po drugie zaś — kredyty zagraniczne i zachodnia technologia tylko wówczas procentują i są opłacalne, kiedy idzie to w parze z wzrostem wydajności pracy i wyzwoleniem autentycznej energii mas. Aby jednak podnosić wydajność pracy i wyzwalać energię mas trzeba stworzyć sprzyjające warunki społeczne, przede wszystkim szeroki margines swobód obywatelskich.

Tymczasem ekipa Gierka poszła w całkiem odwrotnym kierunku. Uważam, że trzy czynniki stały się przyczyną tego procesu. Po pierwsze — Gierek nie mógł sobie pozwolić na taki margines niezależności wobec Moskwy, jaki posiadał przez wiele lat Gomułka. Gierek był typowym aparatchykiem, wychowały go Belgijska i Francuska KP, a więc najbardziej stalinowskie odłamy ruchu komunistycznego tamtej epoki, nigdy właściwie nie znał Polski i Polaków, jego patriotyzm był wyłącznie szyldem, próbą kamuflażu. W Gierku nie ma nic z działacza społecznego, jakim był Gomułka. Gierek jest idealnym niemal typem partyjnego biurokraty, jego ideowość jest pozorna, jego wiedza o kwestiach robotniczych niemal żadna, jego obyczaj — obce są obyczajom do których przywykł polski robotnik czy chłop. To wszystko spowodowało, że dla Gierka zawsze bliższy i stokroć ważniejszy był jakiś drugorzędny aparatchyk KPZS w Moskwie, niż Polak z Rawy Mazowieckiej. Ponieważ Gierek jest wytrawnym politycznym graczem — potrafił przez jakiś czas uchodzić za zręcznego rzecznika polskich interesów narodowych, i ludzie skłonni byli mu wybaczyć uległość wobec Moskwy jako haracz, który trzeba zapłacić za postęp gospodarczy. Zarazem jednak zarówno sam dyktator jak i jego otoczenie zaczęli prowadzić tryb życia zupełnie sprzeczny z obyczajami, do jakich przyzwyczał naród Gomułka przynajmniej osobistym przykładem. Wspaniałe apartamenty, luksusowe limuzyny, dyskretne zaopatrzenie w niedostępne dla mas towary, olbrzymie pensje i emerytury partyjne, etc., etc. — to wszystko wykopało przepaść między nową kadrą kierowniczą a narodem. Poprzedniej ekipie można było zarzucić, że jest ograniczona i tępa, ale nikt nie mógł powiedzieć, że żeruje na dorobku społeczeństwa. Ekipa Gierka z roku na rok stawała się coraz żarłoczniejszym pasożytem. Przepaść między nią a narodem coraz silniej wiązał aparat partyjny z Moskwą, a dyrektywy sowieckiego ambasadora stawały się pismem świętym dla Gierka, Jaroszewicza i innych prominentów władzy.

Drugim czynnikiem w tym procesie — było oddanie całego aparatu propagandy i ideologii w ręce ludzi cynicznych, bezideowych karierowiczów, wyzbytých charakteru, który wbrew najbardziej oczywistym interesom narodu działali wyłącznie w interesie kliki rządzącej.

Trzeci wreszcie czynnik, niedoceniony na Zachodzie, który w kraju z kolei bywa wyolbrzymiany, to bezprzykładna głupota i niski poziom umysłowy tej nowej elity. Za czasów Bieruta rządili Polską komunistyczni inteligenci. Za czasów Gomułki

doszli do głosu działacze robotniczy niższego lotu, ale z pewnym doświadczeniem przedwojennym, w każdym razie duchowo nieobcy masom robotniczym i chłopskim. Ekipa Gierka składa się niemal wyłącznie z tak zwanej nowej inteligencji technicznej, ograniczonych menadżerów i biurokratów, którzy pogardzają masami, bo to one właśnie są glebą z której wyrosli i ponad którą udało im się wznieść dzięki karierowiczowskim nawykom. Zarazem jednak są ci biurokraci pozbawieni inteligencji, ich wykształcenie jest jednokierunkowe, brak im autokrytycyzmu, rozsadza ich pycha dorobkiewiczów. Demonstrują na każdym kroku samobójczą głupotę, ponieważ spryt uważają za mądrość, a chulikańskie metody walki o władzę za doświadczenie polityczne.

Jest bardzo wiele spraw w współczesnej Polsce, których pozornie nie można zrozumieć i wytłumaczyć. Dlatego szuka się rozwiązań skomplikowanych; publiczności na Zachodzie doszukują się nieraz ukrytych sprężyn działania itp. Tymczasem rozwiązanie jest całkiem proste — trudna do pojęcia głupota i zarozumiałstwo tych chytrych, małych intrygantów, którzy myślą tylko o osobistym interesie i przez to są krótkowzroczni.

Przejdźmy teraz do sprawy podwyżki cen, ogłoszonej 24 czerwca przez Jaroszewicza. Każdy Polak zdawał sobie sprawę, że jakaś podwyżka jest konieczna. Każdy rozumiał, że kraj — wskutek głupiej, krótkowzrocznej polityki władz — znalazł się na progu katastrofy i bez radykalnych reform, które muszą obniżyć stopę życiową — nie ma wyjścia z tego impasu.

Dlatego też Polacy czekali spokojnie na podwyżkę, oburzali się natomiast na kłamstwa propagandy, która nieustannie głosiła, że Polska nigdy w swej historii nie była w tak doskonałej sytuacji gospodarczej. Propaganda ryczała bez przerwy, że pod mądrym kierownictwem towarzysza Gierka niebawem staniemy się kwitnącym rajem. Zarazem jednak rosło rozgoryczenie, bo margines wolności obywatelskich kurczył się z miesiąca na miesiąc. Ekipa Gierka z bezprzykładną głupotą wystąpiła z nową konstytucją, przy czym drukowano fikcyjne listy pochwalne ku czci nowego projektu, na tych zaś którzy dawali wyraz wątpliwościom i wyrażali uwagi krytyczne spadały wściekłe ciosy represyjne. Gdyby wtedy Polską rządili ludzie mniej ograniczeni i próżni — zapewne wyciągnęliby wnioski z dyskusji konstytucyjnej. Nieopisana była jednak ich pewność siebie, i zarozumiałość. Po awanturze konstytucyjnej na przełomie roku 75/76 — rząd wystąpił z programem drastycznych podwyżek cen 24 czerwca 76.

Dwie kwestie wywołały powszechny protest mas. Po pierwsze — nikt nie spodziewał się tak wysokiej wyżki cen. Liczono na pewne regulacje, absolutnie konieczne, liczono nawet na konieczność zacisnięcia pasa — ale nikt nie podejrzewał, że ekipa Gierka w ciągu jednego dnia zechce odebrać narodowi to wszystko, co w ciągu 5 lat wypracowano na odcinku standartu życiowego. Podwyżka przekreśliła cały dorobek poprzedniego okresu. Legła w gruzach cała mitologia owego „dynamicznego wzrostu”, na

której Gierk budował swoje coraz bardziej ograniczone wpływy w społeczeństwie polskim. W ciągu tego jednego dnia 24 czerwca naród zrozumiał, że znów padł ofiarą komunistycznej mistyfikacji, że Polska stoi u progu ruiny gospodarczej, że olbrzymie kredyty zagraniczne (których tak histerycznie unikał Gomułka w poprzednim okresie) zostały przez Gierka zmarnowane i kraj ma gigantyczny dług w wysokości wielu miliardów dolarów, a perspektywy ekonomiczne są żadne.

Przed 24 czerwca ludzie w Polsce wiedzieli że jest bardzo źle, że propaganda łyże, że prasa zachodnia wypisuje głupstwa na temat polskiej, rzekomo kwitnącej gospodarki itd., itp. Ale dopiero 24 czerwca naród pojął jak wielkie są rozmiary katastrofy i do jakich rezultatów doprowadziła Polskę ekipa tych rzekomo wykształconych menadżerów.

Ale i to cierpliwy naród polski gotów był przełknąć. Jednakże głupota i bezczelność władz zdecydowały o dalszym biegu wypadków. Zamiast z odrobiną pokory i samokrytyki przyznać się do błędów — władze wystąpiły 24 czerwca z niebывałą pychą i pewnością siebie. Znów uderzono w surmy zachwyty i samozadowolenia. Znów propaganda rozbrzmiewała jedną nutą pochwał dla towarzysza Gierka i jego ekipy, która rządzi tak roztropnie i mądrze, która cieszy się powszechną miłością i zaufaniem mas. Nadto Jaroszewicz wygłosił kłamliwe przemówienie o tym, że rzekomo konsultowano w sprawie podwyżek klasę robotniczą, która poparła w tej kwestii program władz. Tego było za wiele. Kraj ruszył gwałtownie. Świat wie i pisze o Radomiu oraz Ursusie. Tymczasem masowy protest objął 4/5 kraju, ponad 80 % zakładów pracy strajkowało. I nie stało się to wcale tylko 25 czerwca przed południem, lecz — o zgrozo! — później...

Gierek zrozumiał szybko, że przegrał na całej linii. W ciągu 24 godzin zapadła decyzja, by podwyżki odwołać. Zrobiono to znowu w sposób bezprzykładnie głupi i kłamliwy. Jaroszewicz oświadczył, że w ramach dyskusji piątkowych zgłoszono wiele nowych uwag krytycznych, wniosków itp. których rozważenie musi potrwać wiele miesięcy. Z tego powodu rząd postanawia wycofać projekt podwyżek. To oczywiście zdeorganizowało cały handel w państwie, który był już od dawna przygotowany na sprzedaż po nowych cenach. Ale ta sprawa jest mało ważna. Ważne jest to, że oto rząd, który (według Jaroszewicza) starannie przygotowywał reformę cen przez wiele miesięcy przy pomocy licznych fachowców — nagle zmienia zdanie, ponieważ robotnicy wysunęli wiele ciekawych uwag. Ludzie zadawali sobie pytanie — co to za eksperci, którzy myślą przez wiele miesięcy i nie mogą wymyśleć nic równie rozsądnego jak robotnicy, którym dano do namysłu zaledwie kilka godzin? Do diabła zatem z takimi ekspertami i takim rządem! Oczywiście, każdy zdawał sobie sprawę, że bajeczka Jaroszewicza o ciekawych uwagach robotników — jest kolejnym wybiegiem. Masy po prostu nie chciały dyskutować, masy zażądały natychmiastowej zmiany ekipy.

Niekonsekwencja i głupota propagandy, a zatem samego Gierka (bez którego nie rozstrzyga się w Polsce tak ważnych spraw) zdezwauowała już w ciągu następnych dni wypowiedzi premiera. Okazało się, że naród popiera podwyżki i całą rządzącą ekipę, i tylko chuligani z Radomia i Ursusa rozpoczęli obrzydliwą, antynarodową rozróbę! Okazało się więc, że rząd który ma poparcie całego niemal narodu polskiego — musi kapitulować wobec garstki ułiczników i łobuzów i pod ich naciskiem wycofuje się z tak ważnej dla całej gospodarki państwa decyzji.

Ten stek bredni, który nieustannie płynął z radia, telewizji i prasy — podniósł falę gniewu w całym kraju. Nie 25 czerwca, lecz właśnie w dniach następnych, już po odwołaniu podwyżek cen — strajki rozlały się od Tatr do Bałtyku. Nastąpił totalny kryzys totalnej władzy. Ludzie nie chcieli już w ogóle dyskutować, wszelkie rozmowy z ekipą Gierka uważali za stratę czasu i energii, żądali zmian personalnych przede wszystkim.

Naród polski wie, że generalna zmiana bez zgody Moskwy nie byłaby możliwa. Naród zdaje sobie sprawę z ograniczeń suwerenności i wie w jakim punkcie musi się zatrzymać, aby nie prowokować otwartej inwazji. Dlatego naród nie żądał ustąpienia Gierka, choć Gierek był już wtedy doszczętnie skompromitowany i skończony jako polityk. Naród chciał moralnej satysfakcji i domagał się odejścia Jaroszewicza oraz innych ludzi z ekipy Gierka (Szczepańskiego z radia i TV, Wrzaszczyka, Kaima, zmian w resortach gospodarczych i zmian w propagandzie) — gotów był natomiast utrzymać jeszcze Gierka przez jakiś czas.

Przypuszczam, że władze były gotowe wtedy poświęcić część aparatu, byle tylko uratować to, co dałoby się uratować. Plotka głosi, że Jaroszewicz gotów był odejść, bo zdawał sobie sprawę że jest skończony. Ale wtedy właśnie wzięły górę tępagłowe elementy, działające w histerycznym strachu o własną skórę. Ekipa doszła do wniosku, że jeśli pęknie jej wewnętrzna więź — wszystko już będzie stracone. Wiece dla poparcia Gierka, którego nikt jawnie nie atakował, były czymś nieopisanie nędznym, głupim i źle przygotowanym. Ludzie — gdyby nie ich wściekłość — umarliby ze śmiechu. Pokazu takiej bezradności, tępoty i zakłamania Polska nie przeżyła nigdy dotąd w swojej historii. Podobno sam Gierek prosił o taki model propagandy, ponieważ lękał się tego, co spotka go w Berlinie na konferencji komunistów Europy. Spotkało go — mimo tych wieców — coś najgorszego, bo komunikat z jego rozmowy z Breżniewem był zdumiewający. Wystąpienie Gierka w Berlinie wypadło żenująco.

Gierek jak tonący, uchwycił się brzytwy. Zorganizował wiec w Katowicach, czym rozerwał do końca wątlą nić jaka go łączyła z grupą Kępy i potężnym aktywnym partyjnym warszaw. Wiec w Katowicach był widowiskiem wzorowanym na goebbelsowskiej farsie — ale też okazał się wymowny. Wyselekcjonowany aparat śląski, najwierniejsi pretorianie obecnej ekipy, zawiedli partię. Mimo uporczywych perswazji Gierka nie chcieli krzyknąć — Polska, partia! Polska, partia!", lecz krzyczeli tylko „Polska, Gie-

rek!". Śląsk odmówił zaufania aparatowi władzy, zaakceptował dyktatora. Stało się to na oczach 30 milionów Polaków, którzy umieją wyciągać wnioski polityczne sto razy lepiej niż ich władcy.

Od lata 76 roku Polska nie ma właściwie władz centralnych. Naród nie uznaje obecnej ekipy. Nie przynoszą owoców ani represje, ani perswazje. Wydajność pracy jest skandalicznie niska, robotnik i chłop polski są wrogo nastawieni do rządu, manifestują to wykonywaniem planów w 15%. Prowadzi to oczywiście do pogłębienia kryzysu, ale ten kryzys nie może już być przezwyciężony, dopóki nie nastąpi zasadnicza zmiana ekipy. Tym razem już nie tylko Jaroszewicz, ale także Gierek nie ma żadnych szans. O utrzymaniu się obecnych władz nie może być mowy. Jest to kwestia miesięcy. Kryzys jest powszechny, kryzys ekonomiczny, kryzys polityczny, kryzys moralny, kryzys władzy, więcej nawet — jest to kryzys całego systemu. Nie ma mowy aby Polską ktokolwiek mógł rządzić w taki sposób jak to czynił Gierek czy dawniej Gomułka. Bez wielkiej reformy całego życia w kierunku autentycznej demokracji i swobód obywatelskich — masy ludowe w Polsce po prostu nie będą w ogóle pracowały. Jest to fenomen o znaczeniu historycznym. Świat pracy zrozumiał, że jest potęgą. Nie będzie starć ulicznych w Polsce, nie będzie barykad, ani jawnych strajków. Po prostu Polska za miesiąc czy dwa znów stanie — tak jak stanęła w pierwszych dniach lipca. I wszystko będzie stało, albo poruszało się w żółtym tempie, dopóki naród nie osiągnie tego, czego żąda. Zachodni obserwatorzy mogą oczywiście wypisywać, że to uderza w jakość życia, w interes materialny społeczeństwa itp. To oczywiście prawda, ale zarazem jest to — jak widać — jedynie skuteczna i owocna forma walki z reżymem. I Polacy gotowi są poświęcić sporą część swojej obecnej stopy życiowej — byle zdobyć więcej wolności. Dlatego lato 76 ma znaczenie głębsze niż czerwiec 56 w Poznaniu czy grudzień 70 w Gdańsku i Szczecinie. Teraz nie idzie o kiełbasę, o byt, o cukier czy mieszkania. Teraz idzie o wolność i godność człowieka pracy, o jego prawa obywatelskie, o jego wpływ na rzeczywistość polityczną i społeczną w kraju. Latem 76 roku doszły do głosu jednocześnie kwestie ekonomiczne i moralno-polityczne. Lato 76 roku było jak gdyby połączeniem postulatów Poznania i Wybrzeża z postulatami polskiego października i marca roku 68. To była nowa jakość polityczna, świadcząca o dojrzałości robotnika polskiego, którego Zachód uważa za dbającego wyłącznie o swój kawał kiełbasy, a komuniści uważają za ciemną masę o chuligańskich skłonnościach. Ten polski robotnik wie czego chce i osiągnie to czego pragnie. Po raz pierwszy w obozie komunistycznego totalizmu masy pracujące wywierają decydującą presję na rząd, który musi — wbrew swoim własnym interesom — działać zgodnie z życzeniem mas. Dzieje się to pozornie niejawnie, bo w propagandzie nie ma śladu rzeczywistości i ktoś kto czyta polskie gazety lub słucha radia czy TV — może mieć kompletnie wypaczony obraz życia polskiego. W istocie ta potężna erozja niszczy cały system wła-

dzy, władza działa w sferze słów, nie działa w sferze faktów. To oczywiście na dłuższą metę niszczy tkankę życia publicznego, ale jest nieuniknione. Prędzej czy później — musi dojść do tego, że próżnia się wypełni. Uprzemysłowiony kraj nie może długo funkcjonować w takich warunkach. Trudno przewidzieć co się stanie w Polsce za rok czy dwa. Ale łatwo przewidzieć, że Gierek i jego ekipa będą już wówczas zapomnianym epizodem współczesnej historii.

I ta prosta prawda musi mieć swój wpływ na cały obóz komunistyczny.

Bronisław KOTOWICZ

Dokumenty

LIST OTWARTY DO UCZESTNIKÓW MIĘDZYKRAJOWEGO BIENNALE POEZJI

XII^e Biennale Internationale de Poésie
Boulevard de l'Impératrice 7
B-1000 Bruxelles
Belgique

Piszę do Was nie tylko po to, aby wyjaśnić powody swojej nieobecności na „Biennale Internationale de Poésie”, aczkolwiek moja nieobecność mogłaby stać się także przyczynkiem do dyskusji na zaproponowany przez Komitet Organizacyjny Biennale temat: „Poezja a społeczeństwo”.

Bardzo chciałem wziąć udział w tej ważnej imprezie i podjąłem w tym kierunku odpowiednie kroki. Pisałem o tym w liście do organizatorów, który to list — zapewne nieprzypadkowo — nie trafił do adresata i został mi po miesiącu zwrócony przez pocztę. Mimo podjętych starań nie otrzymałem zezwolenia na ubieganie się o wyjazd do Belgii od władz Uniwersytetu, a w konsekwencji, policja odmówiła rozpatrzenia sprawy wydania mi paszportu.

Przypadek mój nie jest odosobniony. Tysiące ludzi w moim kraju nie otrzymuje paszportów, dla tysięcy ludzi, parafrazując Szekspira, „Polska jest więzieniem”. Piszę do Was także w imieniu tych ludzi, którzy często nie mają do kogo o tym napisać.

O totalizacji życia w moim kraju nie muszę Was zapewne dodatkowo informować. Mówią o tym w sposób wystarczający dokumenty, listy otwarte i apele polskich intelektualistów, publikowane ostatnio na Zachodzie. Chciałbym jednak zwrócić szczególną uwagę na fakt, że — obok przesłuchań, aresztowań, wyroków sądowych, przymusowej służby wojskowej, zwalniania z pracy, relegowania z wyższych uczelni, bezprawnej kontroli prywatnej korespondencji, stałej lub czasowej inwigilacji i innych form przemocy (stosowanych przez władze ze szczególnym nasileniem po wydarzeniach czerwcowych w Polsce) — odmowa wydania paszportu jest jedną z najczęstszych

i wypróbowanych metod represji wobec ludzi przeciwstawiających się w jakikolwiek sposób autokratycznej władzy. Uporczywie odmawia się także zezwolenia na wyjazd tym, którzy pragną wyemigrować z Polski, bądź zmienić obywatelstwo. Z kolei — zezwolenie na wyjazd za granicę bywa bardzo często nagrodą dla serwilistów.

Odmowa wydania paszportu jest w sposób oczywisty sprzeczna nie tylko z artykułem XIII „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka” („1. Każdy ma prawo do swobodnego poruszania się i osiedlania w granicach każdego państwa. 2. Każdy ma prawo do opuszczania każdego kraju, łącznie ze swoim własnym, oraz do powrotu do swojego kraju”), ale również z treścią dokumentu końcowego konferencji w Helsinkach, którego sygnatariuszem był również rząd polski.

Zwracam się do Was — którzy życie w krajach gdzie przestrzeganie podstawowych praw i wolności obywatelskich jest zagwarantowane — z apelem, aby każdy z Was, w miarę swoich możliwości, nie ustawał w wysiłkach i staraniach na rzecz ludzi, którzy są bezustannie pozbawiani tych praw, na rzecz ludzi z Polski i krajów bloku komunistycznego, którzy upominając się o swoje prawa i pisząc listy do Was, odwołując się do opinii publicznej na Zachodzie, nie są wolni od lęku o swoją najbliższą przyszłość.

30. VIII. 1976

Jacek *BIEREZIN*
ul. Astronautów 11, m. 17
93-533 Łódź

W ODPOWIEDZI NA APEL TRZYNASTU

Skoro apel trzynastu z Warszawy ukazał się w *Le Nouvel Observateur* i skoro sierpień jest miesiącem nie sprzyjającym organizacji zebrań i petycji, proszę o zamieszczenie tu mej odpowiedzi. Będzie ona krótka, gdyż nie ma powodu do wahań czy wątpliwości: chodzi o solidarność z polską klasą robotniczą i z polskimi intelektualistami na wzór tej, którą raz jeszcze okazali ci ostatni.

Wśród nas, jedni pozostali naznaczeni okresem ruchu oporu pod okupacją, inni antykolonializmem z czasu wojny algierskiej. Ale nie jesteśmy stowarzyszeniem byłych kombatanów. I nie obchodzi nas etykieta tych, którzy wywierają ucisk. Musimy zwalczać poniżenie osób i społeczności, jakkolwiek przybiera ono formę. W sercu Europy polscy pracownicy zasłużyli sobie za cenę krwi, poświęceń i łez na prawo do zarządzania swymi własnymi organizacjami i na to by w razie gdy protestują nie nazywano ich chuliganami i nie wrzucano do więzienia.

Wzywam towarzyszy z I.B.C. (chrześcijańska młodzież robotnicza), z Robotniczej Akcji Katolickiej i również z C.F.D.T. (lewicowy syndykat nie związany z partią komunistyczną) aby nie dopuścili do tego, by solidarność z polskimi robotnikami ograniczyła się tu do garstki intelektualistów, weteranów różnych akcji protestacyjnych, aby ta solidarność została również okazana przez tych, którzy kilkakrotnie dowiedli ostatnio, że nie chcą dopuścić do pogwałcenia godności człowieka i praw syndykalnych.

Jean-Marie *DOMENACH*

(*Le Nouvel Observateur*, Paryż, 16-22. VIII. 1976.)

Podobnie jak Jean-Marie Domenach — i z opóźnieniem — dopiero z *Le Nouvel Observateur* dowiedziałem się o apelu polskich intelektualistów do opinii światowej, zwróconym imiennie do niektórych ich zachodnich kolegów. Jednocześnie Heinrich Böll zwrócił moją uwagę na ten tekst, zgłaszając swoją gotowość przyłączenia się do wspólnej deklaracji, niestety trudnej do zrealizowania w tym wakacyjnym okresie. Dlatego, za przykładem J.-M. Domenach'a którego list chętnie bym razem z nim podpisał, byłbym Panom wdzięczny za ogłoszenie mojej odpowiedzi tym intelektualistom, którzy zrobili mi zaszczyt zwracając się do mnie.

Niektórych z nich znam osobiście od wielu lat: ich męstwo ducha i trzeźwość polityczna, wielokrotnie potwierdzone, zdobyły im szacunek rodaków i wielki podziw ich zachodnich kolegów. Ich protest raz jeszcze dowodzi, że wolność ducha nieodłączna jest od wolności politycznych i wolności zrzeszania się i że broniąc wolności ducha żąda się *ipso facto* przywrócenia wolności w każdym kraju i w każdym ustroju.

Ten protest zwrócony jest nie tylko przeciwko warunkom procesu, przeciwko bardzo ciężkim karom na które skazani zostali oskarżeni i złemu traktowaniu, jakiemu zostali poddani, ale również przeciw zarzutowi „chuliganstwa”, który godzi w ich honor ludzi pracy. Protest dotyczy również groźby masowego zwalniania z pracy, która ciąży nad wszystkimi pracownikami, podejrzanymi o wzięcie udziału w manifestacjach.

To czego żądają polscy robotnicy, to po prostu demokracja w pracy, której wymogi są wszędzie takie same i których we Francji i w innych krajach zachodnich energicznie bronią związki zawodowe. Czytając ten apel należy życzyć sobie, by międzynarodowa solidarność robotnicza zamianowała się za pośrednictwem tych organizacji syndykalnych, które stać na to aby ich głos został usłyszany przez władze kraju robotniczego. Znamienny jest wreszcie fakt, że Polacy przywiązują dostatecznie dużą wagę do roli intelektualistów, aby zwrócić się z apelem do solidarności niektórych spośród nich. Paradoksalnie apel ten podnosi na duchu jego adresatów w osamotnieniu, które nieraz odczuwają.

Pierre *EMMANUEL*

(*Le Nouvel Observateur*, 23-29 sierpień 1976 r.)

Kiedy w grudniu 1970 roku robotnicy polskich miast portowych podjęli strajk przeciw podwyżce cen, milicja strzelała, byli zabici, ale odpowiedzialny za to rząd został obalony.

Edward Gierek wzbudził nadzieję jako nowy sekretarz generalny. Podwyżki cen zostały cofnięte, jednakże zasadnicza reforma, która by wykluczyła powtórzenie się tego rodzaju praktyk policyjnych w przyszłości, nie została zrealizowana.

W skazaniu robotników, którzy strajkowali przeciw podwyżce cen z 24-go czerwca 1976 roku widzimy smutną powtórkę wydarzeń z 1970 roku. Apelujemy do sekretarza generalnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, aby zrealizował zapowiedziane reformy, a odpowiedzialnych za ostatnie wydarzenia szukał w kręgu swoich współpracowników. Żaden socjalista nie może się pogodzić ze skazaniem strajkujących robotników.

Prosimy naszych polskich przyjaciół o usprawiedliwienie naszej późnej odpowiedzi, jednakże z pełnym tekstem waszego listu mogliśmy się zapoznać dopiero przed kilkoma dniami.

Heinrich *BÖLL*
Günter *GRASS*

2 września 1976

DEPEZA DO PODGORNEGO

Prasowe Agencje niemieckie podały, że

„Grupa uczestników biorących udział w tegorocznym Europejskim Forum Intelktualistów w miejscowości Alpach (Tyrol), zażądała natychmiastowego uwolnienia sowieckiego bojownika o prawa człowieka Władimira Bukowskiego. W telegramie skierowanym do przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR, Podgornego, zwrócono uwagę na ciężki stan zdrowia Bukowskiego. Zaapelowano do Podgornego o skorzystanie z przysługującego mu prawa łaski”.

Telegram podpisali: Horst Bienek, Herbert Eisenreich, Ota Filip, Barbara Frischmuth, Zbigniew Herbert, Walter Kempowski, Fritz i Otto Molden, David Zryce-Jones, Hans-Werner Richter, Karin Struck i Siegfried Unseld.

WYROK SĄDU REJONOWEGO W LUBLINIE
W SPRAWIE ST. KRUSZYŃSKIEGO
I ODWOŁANIE ADW. S. SIŁY-NOWICKIEGO

WYROK

W IMIENIU POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ

dnia 27 marca 1976 r.

Sąd Rejonowy w Lublinie w IV Wydziale Karnym w składzie:

Przewodniczący: SSR C. Makowski

Lawnicy: S. Kruk, H. Pyrzanowska

Protokółant: J. Barańska

w obecności Prokuratora S. Szczerbo

po rozpoznaniu dnia 3. II, 17. II, 4. III sprawy Stanisława Kruszyńskiego, ur. 11. VII. 1950 r. w Łęgowie Gdańskim, syna Mateusza i Józefy z domu Szuta,

oskarżonego o to, że w okresie od czerwca do 23 października 1975 roku w Lublinie, rozpowszechniał fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL poprzez rozsyłanie do różnych osób korespondencji w których kłamliwie i tendencyjnie przedstawiał zagadnienia stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych Państwa Polskiego to jest o czyn z art. 271 § 1 kk w zw. z art. 273 § 2 kk.

Stanisława Kruszyńskiego uznaje za winnego dokonania zarzucanego mu przestępstwa wyczerpującej dyspozycje art. 271 § 1 kk i art. 273 § 2 w zw. z art. 10 § 2 kk i na mocy art. 10 § 2 kk skazuje go na 10 (dziesięć) miesięcy pozbawienia wolności. Na zasadzie art. 83 § 1 kk na poczet orzeczonej kary zalicza oskarżonemu okres tymczasowego aresztowania od dnia 23 października 1975 do dnia 27 marca 1976 r. Zasądza od oskarżonego na rzecz Skarbu Państwa kwotę 1 800 zł tytułem opłaty sądowej i zwalnia

oskarżonego od kosztów postępowania, które przejmuję na rzecz Skarbu Państwa.

(Pieczęć okrągła)
Sąd Rejonowy w Lublinie

Na oryginale właściwe
podpisy

Za zgodność świadczy
(—) Sekretarz

Uzasadnienie

IV kp 2/76

Na podstawie przewodu sądowego ustalono następujący stan faktyczny: Stanisław Kruszyński w 1964 roku rozpoczął naukę w Technikum Ekonomicznym w Tczewie. Po skończeniu tegoż Technikum w październiku 1969 roku rozpoczął naukę w Seminarium Duchownym w Pelplinie, gdzie przebywał do czerwca 1972 r. Następnie przeniósł się na KUL i został przyjęty na 3 rok Wydziału Teologicznego. Po ukończeniu 5-go roku Wydziału Teologicznego S. Kruszyński we wrześniu 1975 r. podjął pracę jako sprzedawca w księgarni Św. Wojciecha w Lublinie.

W miesiącu czerwcu 1975 r. Komenda Wojewódzka MO w Lublinie otrzymała informację, że S. Kruszyński rozpowszechnia w drodze korespondencji różne nieprawdziwe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL. W związku z tym postanowiono zatrzymać listy wysyłane przez S. Kruszyńskiego do jego kolegów i rodziny.

W toku kontroli zatrzymano list z datą 17. VI. 1975 adresowany do Jana Kruszyńskiego zamieszkałego w Tczewie. W treści tego listu S. Kruszyński przekazywał nieprawdziwe wiadomości na temat stosunków społeczno-politycznych w PRL, a ponadto sugerował adresatowi, aby przepisywał i rozpowszechniał publikacje nie mające debitu na terenie Polski.

Następnie S. Kruszyński napisał list do Marka Stenzla, zam. w Tczewie. W liście tym z dnia 20 czerwca 1975 r. S. Kruszyński również przekazywał nieprawdziwe wiadomości na temat stosunków politycznych w Polsce.

Podobnie w liście datowanym dnia 27 września 1975 r. S. Kruszyński przekazywał szereg fałszywych wiadomości mogących wyrządzić szkodę interesom PRL.

Również w liście skierowanym do rodzeństwa z dnia 14. X. 1975 r. S. Kruszyński przytacza fałszywe wiadomości na temat aktualnych wydarzeń w Polsce i przekazuje szereg szkalujących sformułowań dotyczących naczelnych władz państwowych, jak również ustroju.

W czasie przeszukania mieszkania S. Kruszyńskiego zostało ujawnione szereg książek nie mających debitu w Polsce (np. „Paryska Kultura”).

Na rozprawie oskarżony S. Kruszyński nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu przestępstwa i wyjaśnił, że faktycznie wysyłał listy do krewnych i kolegów, jednak nie przekazywał fałszywych wiadomości, a jedynie swoje krytyczne uwagi na temat stosunków społeczno-politycznych w PRL. Ponadto nikomu nie polecał rozpowszechniać tych wiadomości.

Wyjaśnieniom oskarżonego należy dać wiarę w tej części gdzie przyznaje on fakt pisania przedmiotowych listów, natomiast nie można mu dać wiary w pozostałej części, a w szczególności co do prawdziwości przekazanych wiadomości.

Zdaniem Sądu jak wynika z treści dołączonych do akt sprawy listów, oskarżony S. Kruszyński przekazywał adresatom oczywiście fałszywe wiadomości tak na temat aktualnie mających miejsce wydarzeń, jak również

na temat stosunków społeczno-politycznych w PRL (dowód k. 14-18, 26-28, 62-64).

Z zeznań świadków M. Stenzla i Jana Kruszyńskiego wynika, że zapoznali się oni z treścią korespondencji nadsyłanej przez oskarżonego, a ponadto J. Kruszyński okazywał ją innym osobom.

Zdaniem Sądu zeznaniom tych świadków należy dać wiarę jako przekonywującym, tym bardziej, że osoby te jak wynika z przewodu sądowego, składają zeznania korzystne dla oskarżonego, starają się bronić oskarżonego jako osobę bliską i kolegę, a jednak potwierdzili powyższe okoliczności. Ponadto świadkowie ci podali, że jak zauważyli to oskarżony w listach nadsyłanych w 1975 r. pisał pewne „krytyczne” uwagi na temat aktualnych wydarzeń w Polsce, którymi się bardzo interesował.

Odnosnie zeznań pozostałych świadków Franciszka Niemyjskiego i Macieja Sobieraja, to dotyczą one zachowania się oskarżonego na terenie zakładu pracy. Z zeznań tych wynika, że oskarżony jest człowiekiem upartym i nigdy nie chce przyznać się do swoich błędów.

Biorąc powyższe pod uwagę zdaniem Sądu należy przyjąć, że oskarżony S. Kruszyński popełnił zarzucane mu w akcie oskarżenia przestępstwa, a czyn jego należy zakwalifikować z art. 271 § 1 kk i art. 273 § 2 kk w związku z art. 10 § 2 kk.

Zdaniem Sądu wina oskarżonego nie budzi wątpliwości, bowiem na tle ustaleń jest oczywiste, że oskarżony rozpowszechniał wiadomości nieprawdziwe gdyż należy je oceniać jako zmyślane lub tendencyjnie przeinaczone. Ponadto zdaniem Sądu treść tych wiadomości zgodnie z przyjętym orzecnictwem z uwagi na ich charakter mogła wyrządzić szkodę interesom Państwa, ponieważ godziła w porządek publiczny, podrywając zaufanie do ustroju i jego naczelných organów, co mogło wzbudzić niepokój w społeczeństwie i stworzyć atmosferę niepewności. Również należy przyjąć, że oskarżony rozpowszechnia te wiadomości, bowiem wysyłając listy godził się, że te nieprawdziwe wiadomości dotrą do szerokiego grona, o czym świadczy dobitnie fakt, że w jednym z listów sam oskarżony sugeruje adresatowi aby przepisał niektóre informacje, celem przekazania innym osobom.

Przechodząc do wymiaru kary oskarżonemu Sąd miał na uwadze jako okoliczności obciążające znaczną społecznie szkodliwość tego rodzaju przestępstw ujawniającą się w szczególnie negatywnym działaniu oskarżonego skierowanym przeciwko interesom Państwa, działanie które mogło w określonych warunkach społeczno-politycznych doprowadzić do zakłócenia porządku publicznego.

Ponadto jego szczególnie negatywne stanowisko do obecnego ustroju PRL, jak również niskie pobudki jego działania, bowiem działanie oskarżonego nie można bowiem nazywać tylko plotkarskim powtarzaniem pewnych twierdzeń, świadczącym o niskim poziomie kultury sprawcy, bowiem jak wiadomo oskarżony posiada wyższe wykształcenie, a jak wynika z opinii biegłych lekarzy psychiatrów i psychologa rozwój intelektualny oskarżonego został oceniony jako wyższy od przeciętnej (dowód opinia biegłych k. 302 i następna). W tych warunkach działanie oskarżonego należy ocenić jako świadome i celowe skierowane przeciwko interesom Państwa.

Jako okoliczności łagodzące Sąd wziął pod uwagę fakt, że oskarżony dotychczas nie był karany, posiada dobrą opinię w miejscu zamieszkania, nie posiada żadnego majątku, ma na utrzymaniu żonę i nieletnie dziecko.

Sąd mając na uwadze stopień zawinięcia oskarżonego uznał, że kara w wymiarze 10 miesięcy pozbawienia wolności będzie dostatecznym czynnikiem represyjnym dla oskarżonego, jak również spełni swoją rolę w zakresie resocjalizacji oskarżonego.

W oparciu o przepis art. 83 § 1 kk Sąd zaliczył na poczet orzeczonej kary okres tymczasowego aresztowania.

Jeżeli chodzi o koszty postępowania to Sąd mając na uwadze, że oskarżony nie posiada żadnego majątku uwolnił go od ponoszenia tych kosztów, zasądzając natomiast od niego opłaty w wysokości podanej w wyroku (art. 556 kpk i art. 2 ustawy z dnia 23 czerwca 1973 r.).

(Pieczęć okrągła)
Sąd Rejonowy w Lublinie

Na oryginale właściwe podpisy
Za zgodność świadczy
(—) Sekretarz

Do

Sądu Wojewódzkiego w Lublinie

Wydział IV Karny Rewizyjny

za pośrednictwem Sądu Rejonowego w Lublinie

Wydział IV Karny — sygn. IV Kp. 2/76

adwokata Władysława Siła-Nowickiego,

Zesp. Adw. Nr 24, Warszawa, ul. Bracka 20

obrońcy

Stanisława Kruszyńskiego, osk. w sprawie IV Kp. 2/76.

Rewizja

od wyroku Sądu Rejonowego w Lublinie z dnia 27 marca 1976 roku, doręczonego w odpisie 26 ub.m.

Jako obrońca Stanisława Kruszyńskiego zaskarżam w oparciu o przepisy art. 292, 293 § 1 i 387 pkt 1) kpk wyrok Sądu Rejonowego w Lublinie wnosząc o jego zmianę i uniewinnienie oskarżonego Stanisława Kruszyńskiego.

Uzasadnienie

Zaskarżony wyrok Sądu Rejonowego w Lublinie zapadł z obrazą przepisów prawa materialnego — art. 271 i art. 273 kk.

Pisanie listów do osób najbliższych — a jako adresatów listów pisanych przez oskarżonego Sąd Rejonowy mógł wskazać jedynie jego najbliższego przyjaciela Marka Stenzla, żonę Bogumiłę Kruszyńską i rodzony brata Jana Kruszyńskiego — jakkolwiek byłyby treść tych listów, nie wyczerpuje znamion występku z art. 271 kk.

Pogląd Sądu Rejonowego jest w sposób oczywisty sprzeczny z tezą pierwszą do art. 271 Komentarza do Kodeksu Karnego Bafii, Mioduskiego i Siewierskiego, Warszawa, 191. W listach zaś pisanych do osób najbliższych bez zamiaru ich rozpowszechniania zawsze wolno było w Polsce pisać co się komu podoba i wolno pisać co się komu podoba również obecnie.

Teza czwarta wspomnianego Komentarza do art. 271 pdkreśla ponadto, że sprawca musi mieć świadomość, iż rozpowszechniana przez niego wiadomość jest fałszywa. Z materiału dowodowego w sprawie niniejszej nie tylko nie wynika aby S. Kruszyński usiłował wprowadzić w błąd osoby, do których pisał, podawaniem świadomie nieprawdziwych wiadomości, ale wynika w sposób oczywisty, że o słuszności tego co pisze jest absolutnie przekonany i zupełnie pewny prawdziwości podawanych przez niego faktów.

Jeżeli chodzi o ocenę, czy tego rodzaju opinie, poglądy i przedstawione fakty podane w prywatnym liście do osób mogły wyrządzić poważną szkodę interesom PRL, to niżej podpisany wyrazić musi swoje własne przekonanie, że takie przypuszczenie uwłacza powadze Państwa Polskiego i jest wynikiem niezadawania sobie przez Sąd sprawy ze znaczenia i powagi naszego Państwa.

Zwrócić należy uwagę, że przesłuchani w tej sprawie świadkowie w sposób kategoryczny zaprzeczali jakiegokolwiek rozpowszechnianiu treści zawartych w listach oskarżonego, a skoro Sąd Rejonowy na str. 2 maszynopisu

uzasadnienia podaje, że Jan Kruszyński pokazywał korespondencję „innym osobom”, to należy nadmienić, że może tu być mowa tylko o jego żonie, a żona na pewno nie wyczerpuje pojęcia „nieograniczonego lub co najmniej szerokiego kręgu osób” o czym mówi teza pierwsza wspomnianego powyżej Komentarza.

Ogólne i niekonkretne sformułowanie uzasadnienia wyroku na str. 3 uzasadnienia, iż w jednym z listów oskarżony sugeruje adresatowi aby przepisał niektóre informacje celem przekazania innym osobom nie pozwala na dokonanie kontroli rewizyjnej, gdyż nie wiadomo o co konkretnie chodzi.

Oskarżony podaje w jednym miejscu fragment książki wydanej w Polsce, która przeszła przez legalną cenzurę i poleca jego przepisywanie i podawanie do wiadomości innych osób, lecz żadną miarą nie może to być uznane za czyn wyczerpujący znamiona występku z art. 271 kk.

Wspomniany ustęp uzasadnienia wyroku uznany być zatem musi za nieporozumienie.

Uzasadnienie wyroku nie podaje żadnego konkretnego faktu, który pozwałaby na przyjęcie kwalifikacji art. 273 Kodeksu Karnego.

Z tych wszystkich względów wyrok Sądu Rejonowego jako wydany z obrazą przepisów prawa materialnego winien ulec zmianie i wniosek o uniewinnienie Stanisława Kruszyńskiego, który mam zaszczyt przedstawić Sądowi Wojewódzkiemu, jest słusznym i zasadnym.

Ponadto zwrócić należy uwagę na ocenę postępowania organów ścigania w zakresie praworządności i to zarówno w zakresie konstytucyjnie zagwarantowanej tajemnicy korespondencji, jak i postępowania w tej sprawie noszącego znamiona pewnego rodzaju prowokacji. W błahej sprawie narusza się tajemnicę korespondencji, traktując w dodatku przepisy art. 198 § 3 i 3 kpk w sposób mocno niefrasobliwy. Ponadto postanowienie o zajęciu korespondencji zostaje wydane w dniu 18 czerwca 1975 r. Pierwszy zatrzymany list, wymieniony w uzasadnieniu wyroku, nosi datę 17 czerwca 1975 r. i następnie przez pełne cztery miesiące pozwala się prowadzić St. Kruszyńskiemu korespondencję, odnośnie której wydane zostało postanowienie o jej zajęciu w trybie art. 198 kpk i oczywiście bez ogłoszenia mu tego postanowienia. Wydaje się, że metody zwłaszcza w sprawie, w której trudno mówić o zagrożeniu interesów Państwa w stopniu uzasadniającym tak dalece posunięte przekreślenie zagwarantowanej Konstytucją tajemnicy korespondencji, będącej jednym z istotnych uprawnień każdego obywatela Państwa, muszą być uznane za niedopuszczalne z punktu widzenia praworządności.

Ponadto zadaniem organów ścigania jest likwidowanie, przecinanie działalności, którą uważa się słusznie czy niesłusznie za przestępczą i nie powinny one pozwalać rozwijać się tej działalności, którą później ocenia się jako wysoce szkodliwą dla interesów Państwa w celu wytoczenia komuś sprawy karnej i uzyskania argumentów pozwalających na jego skazanie.

Z tych wszystkich względów wnoszę jak na wstępie.

(—) S. SIŁA-NOWICKI
Adwokat

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Prof. Preobrażenski, bohater powieści Michaiła Bułhakowa „Psie serce”, ostrzega swego asystenta: „Niech was Bóg strzeże przed czytaniem sowieckiej prasy. Czy pan wie — mówił profesor — że u siebie w klinice przeprowadziłem trzydzieści obserwacji... Pacjenci, którzy nie czytują gazet czują się doskonale. Ci zaś, których specjalnie zmuszałem do czytania *Prawdy* — tracili na wadze... Mało tego, występowało obniżenie refleksów nerwowych, brak apetytu, depresja”. Asystent próbował oponować: Ale przecież nie ma innych gazet. „A więc nic nie czytajcie” — odpowiedział profesor.

Bohater powieści Bułhakowa postawił diagnozę już 10 lat temu, ale i dzisiaj jest ona całkowicie ścisłą: utrata wagi, depresja. Być może że czytelnicy *Prawdy* mają apetyt, ale zaspościć go jest coraz trudniej.

Zresztą być może, że czytelnicy sowieckich gazet w sierpniu 1976 stracili również i apetyt. Dwa główne tematy niepokoiły w okresie tego pięknego, letniego miesiąca propagandystów-dziennikarzy: zboże i Namibia. Od *Prawdy* do *Życia Wiejskiego*, od *Izwestii* do *Czerwonej Gwiazdy* — wszystkie pisma donosiły o oburzeniu obywateli sowieckich na okrutny terror, któremu poddany jest postępowy naród Namibii i o domaganiu się Wolności dla Namibii! Od tych wiadomości refleksy nerwowe czytelników niewątpliwie się pogarszały: przyjmowali je dosłownie — trzeba pomagać wolnościowym dążeniom Namibii — znów więc trzeba będzie płacić. Depresja stawała się tym bardziej głęboka, że razem z Namibią ukazywały się artykuły, hasła, deklaracje i listy Breżniewa o zbożu.

Latem każdego roku prasa sowiecka pisze o zbożu i o urodzaju: namawiają, proszą, grożą. Co roku wymyśla się najróżniejsze sposoby, by została wykonana — zdawałoby się najbardziej normalna w świecie — praca: żniwa. Latem każdego roku

przywódców sowieckich ogarnia przerażenie: nie starczy zboża. I często, bardzo często, ich obawy się potwierdzają. Katastrofalny nieurodzaj w roku ubiegłym był ciężkim uderzeniem dla gospodarki kraju. Za urodzaj w bieżącym roku wziął osobiście odpowiedzialność marszałek Związku Sowieckiego, Generalny Sekretarz KC, Leonid Breżniew.

W poprzednim moim „przeglądzie” wyliczyłem wszystkie sposoby których używali w ciągu ostatnich 45-ciu lat sowieccy przywódcy by uzyskać potrzebny krajowi chleb. W tym roku Breżniew chce zastosować „cud”, który nigdy partii nie zawiódł. „Rolnicy kubańscy” napisali list do Marszałka, Generalnego Sekretarza z obietnicą zdania zboża powyżej planu. Leonid Iljicz Breżniew odpowiedział im dziękczynnym pismem. Natychmiast wszystkie rejony, okręgi, republiki ZSSR poszły za przykładem Kubania, podwyższając swoje zobowiązania. Codziennie wszystkie pisma sowieckie publikują listy tego rodzaju. Robotnicy z gospodarstw wiejskich Uzbekistanu przyjęli z wielkim entuzjazmem pismo Generalnego Sekretarza KC KPZS, L. I. Breżniewa do rolników Kubania. Pracownicy kołchozów i sowchozów Uzbekiej Republiki przedyskutowawszy je, znaleźli rezerwy i zakreslili nowe, wysokie normy (*Prawda*, 15. 8. 76). Dalej mówi się, że w bież. roku Uzbekistan da państwu jeden milion ton zboża, „to jest o 465 tysięcy ton powyżej planu”.

Co to oznacza? Podejmuje się zobowiązania jeszcze przed żniwami? A więc kołchozy, nie znając jeszcze wyników zbiorów, zobowiązują się dać państwu czasami dwukrotnie więcej, niż zostało zaplanowane? A plany, jako zasada, są naciągnięte do ostatniego ziarenka. A więc jeśli urodzaj będzie normalny, to kołchozy oddadzą ponad plan to co mogłyby sprzedać po cenie wyższej niż państwowa, lub też rozdać kołchoźnikom. Jeśli urodzaj będzie poniżej zaplanowanego, to kołchozy oddadzą to, co powinny dać kołchoźnikom i ci będą głodować. Breżniewowski „cudowny środek” to stary wypróbowany środek stalinowski: wydusić z kołchoźników wszystko, do ostatniego ziarna.

3-go września Breżniew, przemawiając w Ałma Ata, ogłosił powszechną mobilizację do „bitwy o zboże”. W tym roku — oświadczył — „Kraj będzie miał zboże”. Breżniew pojechał do Kazachstanu dlatego, że 22 lata temu, jako stosunkowo jeszcze młody pupil Chruszczowa, zagospodarował dziewicze obszary stepów kazachskich, jak również dlatego, że w bież. roku oczekuje się tam dobrego urodzaju. Z Kazachstanem związane są bardzo poważne nadzieje. „W roku bieżącym — oświadczył Breżniew w Ałma Ata na zebraniu funkcjonariuszy partyjnych — Kazachstan da ojczyźnie 27 milionów ton zboża”. A potem, widocznie nie chcąc by mówiono że narzuca tu jakieś swoje liczby, Sekretarz Generalny KC zapytał słuchaczy: „Kto, towarzysze, podtrzymuje to zobowiązanie?”. I z wielką radością usłyszał z sali okrzyki: „Wszyscy!”. Tak oto lud pracujący Kazachstanu zobowiązał się pomóc Breżniewowi.

Nacisk na kołchoźników to pierwsza część „bitwy o zboże”. Drugą będzie nacisk na miasta. To już jest znacznie łatwiejsze. Wystarczy np. wydać instrukcję: „Wytuczne efektywnego wykorzystania mięsa i produktów mięsnych na rok 1976-ty”. Instrukcja przewiduje zmniejszenie ilości mięsa w przygotowywanych kiełbasach (a produkcja kiełbas wynosi prawie 40 % wszystkich wyrobów mięsnych w kraju). Ta — poufna! — instrukcja polegała do kiełbas dodawać wszystko, z jedynym warunkiem: żeby było tylko jak najmniej mięsa*. Wreszcie trzeci front „bitwy o zboże” — jedyny, na którym zwycięstwo jest z góry zapewnione: zakupy zboża za granicą. W myśl umowy, podpisanej w końcu 1975 roku, ZSSR ma prawo zakupu w USA, bez uprzednich porozumień, od 6-ciu do 8-miu milionów ton. Do 31 sierpnia 1976 roku zakupiono już na rachunek bieżącego roku 4,6 milionów ton zbóż.

Należy przypuszczać, że zarządzenia Breżniewa z bież. roku (dodatki dostawy kołchozów już od szeregu lat przestały być normą życia sowieckiego) wynikają z tego, że powstało zagrożenie na trzecim, amerykańskim froncie: „amerykańskie koła gospodarcze — pisze *Le Monde* (31. 8. 76) — przejawiają duży niepokój jeśli idzie o zdolności płatnicze kontrahentów z potwornym apetytem, jakimi stały się kraje komunistyczne”. Deficyt handlowy krajów socjalistycznych, który w 1975 roku wynosił 6,9 miliardów dolarów (przy 2,4 miliardach w 1974 r.), w 1976 wzrasta — mniej więcej — o 20 % w skali miesięcznej w porównaniu z odpowiednim okresem ub. roku. Nie można więc się dziwić, że komunistyczni przywódcy są zaniepokojeni: co to będzie jeśli ginący od kryzysu kapitalistyczny Zachód odmówi dawania pieniędzy kwitującym, nie dotkniętym kryzysem krajom socjalistycznego planowania.

Decyzja Breżniewa by wziąć za gardło kołchoźników jest dowodem tego strachu.

Albert Einstein do końca swego życia usiłował znaleźć jedyne prawo, jedną formułę, wyjaśniającą wszystkie zjawiska przyrody. Wielkiemu fizykowi to się nie udało, natomiast W. M. Saulczenko udało się wynaleźć jedną formułę wyjaśniającą zjawiska przyrody w państwie sowieckim. Ludzkość może się o tym dowiedzieć z niewielkiej pracy (ale — jak wiadomo — i teoria względności została wyłożona jedynie na kilku stronach) pt. „Ideologiczne dywersje imperializmu”, wydanej w 1976 roku przez wydawnictwo „Biełarus”. Sądząc z wysokości nakładu — tylko 7.000 egzemplarzy — książka W. M. Saulczenki jest przewidziana na użytek agitatorów, lektorów i dziennikarzy, to jest dla czytelników już przygotowanych, którzy następnie nieść będą świa-

* W PRL stosuje się to już od paru lat — patrz Memoriał Adama Wojciechowskiego (*Kultura*, nr 9/438 — wrzesień 1976, str. 68).

tło masom. W książce jest mnóstwo przykładów „dywersji” imperialistów wobec krajów socjalistycznych. Większość tych przykładów jest już znana, gdyż powtarzają się one we wszystkich publikacjach tego typu. Ale zawsze jest ciekawe raz jeszcze przeczytać o tym, jak np. „w dzień napadu Izraela na kraje arabskie zamaskowani syjoniści pokazali swoje prawdziwe oblicze. W Warszawie wyprowadzili na ulice zdezorientowaną i oszukaną młodzież studencką, rozwinęli w kraju antysowiecką, antysocjalistyczną, proizraelską propagandę. Na ich czele stanął zażarty wróg socjalizmu, syjonista Leopold Unger, któremu udało się zostać sekretarzem redakcji dziennika *Życie Warszawy*... Syjonistą okazał się filozof Adam Schaff i szereg innych pracowników frontu ideologicznego...” (str. 95). Wszystko to było poprzednio powtarzane wiele razy, ale, na skutek tych powtarzań, stało się dziś prawdą, nie wymagającą żadnych dowodów. Więc nie na powtarzaniu tych prawd polega zasługa W. M. Saulcenki. Jego odkryciem jest udowodnienie że u podstaw imperialistycznej działalności dywersyjnej leży wykorzystanie tzw. „formuły 2×2 ”. Okazuje się, że imperialistyczni dywersanci, podrywając ustrój socjalistyczny, podają fakty i informacje, które „doprowadzają słuchacza, czytelnika i widza do wywodów potrzebnych burżuazji” (str. 94). Przebiegli dywersanci, wykorzystując zasadę $2 \times 2 = 4$, rozkładają socjalizm. W. M. Saulcenko odrzuca to imperialistyczne równanie. Dokładny, socjalistyczny wynik równania 2×2 znają jedynie prawdziwi ludzie sowieccy. Tylko oni wiedzą jak rzadko pokrywa się to z wyliczeniami imperialistycznych dywersantów.

Odkrycie W. M. Saulcenki pozwala zrozumieć wiele rzeczy niejasnych dla licznych zagranicznych czytelników sowieckiej prasy. Tak np. historia, o której opowiada się w *Litieraturnoj Gaziecie* (nr 34) w artykule L. Wielikanowej pt.: „Namiętności wokół talonów”. W swoim czasie pisałem o interesującym wynalazku sowieckich ekonomistów: zaproponowano wszystkim którzy chcieli kupić „Królową Margot” Dumasa, albo „Bajki” Andersena, oddanie 20 kg makulatury. Było to dwa lata temu. Obywatele sowieccy przyjęli ten pomysł z entuzjazmem. Otrzymał książkę do czytania tylko za 20 kg makulatury! Inicjatorzy tego projektu nie podejrzewali, że w kraju jest tyle makulatury. Zaczęto znosić i znosić — książki (dzieła Lenina nie są przyjmowane jako makulatura!) i gazety. Taszczyli to osobiście do punktów zbiorczych, których było bardzo mało. Taszczyli to wiele razy, gdyż punkty te były często zamknięte: to na obiad, to na remanent. Za przyniesioną makulaturę otrzymywano talony. I tu zaczął funkcjonować system W. M. Saulcenki: 2×2 wynosi sumę, o wysokości której decydują najwyższe instancje. Ponieważ trudno było zebrać jednorazowo całe 20 kg, makulaturę przynoszono szereg razy i otrzymywano talony na 2, 5, 10 kg. Wkrótce jednak okazało się, że księgarnie przyjmują tylko talony na całe 20 kg. Dwa talony po 10 kg czy też 4 po 5 kg nie były przyjmowane. Wrogi system 2×2 został zdemaskowany. So-

wiecki „system” pozwolił makulaturę zebrać i niczego za nią nie dać.

W myśl imperialistycznego systemu $2 \times 2 = 4$ fotografie dzieci w wojskowych mundurach, strzelających z broni wojskowej, artykuły wychwalające szkolenie dzieci w sztuce wojennej, to wszystko jest „głoszeniem militarystyki”. Tak pisze się w sowieckiej prasie, gdy mowa o Chinach. Natomiast 2×2 przestaje równać się 4-em gdy mowa jest o młodzieży sowieckiej. W trzecim tygodniu sierpnia gazety podały entuzjastyczne informacje o finale „komsomolskiej wojenno-sportowej gry „Orlątko”. W ciągu tygodnia najlepsi z najlepszych, wyselekcjonowani we wszechzwiązkowych zawodach, chłopcy i dziewczęta — wojowali: strzelali, rzucali granaty, atakowali wroga itd. Gazety były wypełnione fotografiami młodych ludzi w mundurach i z bronią w ręku. „Grą” kierowali generałowie armii sowieckiej. Obserwowali ją również generałowie. Siedzący na trybunie gen. armii M. Kazakow wyraził pewne niezadowolenie na skutek braku „rozumienia konieczności współpracy i koordynacji różnych rodzajów broni przez „junoarmiejców”. Potem jednak dodał: „Ale przecież oni jeszcze nie są żołnierzami”. Chciałby żeby ci młodzi byli już żołnierzami, ale zgadza się trochę poczekać (*Komsomolskaja Prawda*, 22. 8. 76).

Militaryzacja młodzieży (dla dzieci istnieje osobna gra wojenna — Błyskawica) jest według oświadczeń kierowników „gry” formą „wychowania młodzieży”. Wychowania — jak twierdzą sowieccy propagandyści — do walki o pokój. W przedmowie do zbioru przemówień i artykułów L. Breżniewa, wydanych przez Książkę i Wiedzę w Warszawie, mówi się m.in., że „dowodem wysokiej oceny osobistego wkładu tow. L. I. Breżniewa w rozgromienie faszystów, a także następnie w utrwalenie pokoju i międzynarodowego bezpieczeństwa było przyznanie mu tytułu Marszałka Związku sowieckiego”. Troszcząc się o pokój uczy się dzieci walczyć, a za zasługi w „umocnieniu pokoju” nadaje się marszałkowskie tytuły. Tu znów działa „system” sowiecki.

I jeszcze jeden przykład. Moskiewskie wydawnictwo „Progress” wydało w języku francuskim zbiór materiałów i dokumentów „ZSSR w walce o pokój w przededniu wojny światowej — wrzesień 1938 - sierpień 1939”. W książce przytacza się dokumenty, które mają wykazać, że Związek sowiecki miał rację nie podpisując porozumienia z Francją i z Anglią; że to Anglia i Francja są winne nieudaniu się pertraktacji. W dokumentach tych nie ma nic nowego. Znowu stwierdzają, że Związek sowiecki, rozpoczynając pertraktacje, chciał zabezpieczyć przedpole na swojej zachodniej granicy: bazy w krajach bałtyckich, prawo przemarszu przez Polskę. Gdy się okazało, że Anglia i Francja nie mogą mu dać tego, czym nie dysponują — Związek sowiecki zwrócił się do Hitlera, który niezmiernie chętnie rozdawał to, czego jeszcze nie posiadał. W zbiorze nie ma niczego nowego, ciekawego, gdyż na 530-tu stronach ani razu nie wspomina się o porozumieniu między ZSSR, a Niemcami. 2×2 znów nie daje w rezultacie 4-ch.

Sowiecka „arytmetyka” znajduje coraz szersze zastosowanie w bratnich krajach. I mam tu na myśli nie tylko ekonomikę, ale i propagandę. Doskonałym przykładem może być historia, która miała miejsce w Pradze. Jej bohaterem jest znany już czytelnikom *Kultury* (patrz nr 3/342) czeski kapitan Czechowicz, kpt. Minarżik. Gdy bajki o koszmarnych przygodach dzielnego kapitana w legowisku wroga, drukowane w czechosłowackiej prasie, już się znudziły, zdecydowano zmontować film dokumentalny, który miał potwierdzić to wszystko o czym Minarżik pisał i mówił. I praska telewizja pokazała „Skandal w Rzymie”, film demaskujący powiązania b. dyrektora telewizji, Jiri Pelikana, jednego z czołowych działaczy „Praskiej Wiosny”, z monachijską radiostacją „Swoboda”. Widzom pokazano jak to gdzieś we Włoszech Mirażik spotkał się z Pelikanem i jak as wywiadu zmusił wroga do samokrytyki. Film powinien był udawać, że jest dokumentalny. I rzeczywiście widzowie rozpoznali w „Pelikanie” ucharakteryzowanego kierownika wydziału kadr Instytutu Naukowego, a we włoskiej kawiarni — praską kawiarnię „U szewca Mateusza”.

Złe języki mogłyby powiedzieć, że czescy kapitanowie Minarżicy pracują jak szewcy. Myślę, że nie na tym rzecz polega. Zadziałał tu system sowiecki: jakież to ma znaczenie kogo i gdzie filmują! Polecono wierzyć, że to Pelikan i Włochy. Trzeba wierzyć gdyż inaczej w tym wypadku 2×2 równałoby się zeru.



W sierpniowej prasie sowieckiej zwraca uwagę temat, któremu nie poświęcono ani jednego wiersza: Amerykanie na Marsie. A przecież na przestrzeni ostatnich 15-tu lat masę miejsca poświęcano zagadnieniom lotów kosmicznych, sputnikom i sprawom międzyplanetarnym. Budzono u sowieckich czytelników prawdziwe zainteresowanie kosmosem. I oto gdy człowiek potrafił wysłać na Marsa niezwykle skomplikowaną aparaturę i otrzymać zdumiewające fotografie — w prasie sowieckiej o tym głucho. Jak w grobie. Ponieważ sukces ten osiągnęli Amerykanie. Na miesiąc przed wylądowaniem Vikinga I na Marsie miesięcznik *Junost'* (nr 6) opublikował (niewątpliwie na skutek nie dbalstwa cenzora) fantastyczne opowiadanie o locie na Marsa Ja. Gołowanowa i Ju. Gusmana pt. „Kontakt”. Przeszło 10 lat temu ten sam Gołowanow także napisał opowiadanie o locie na Marsa. Było to w czasie pierwszych sowieckich Sputników i na Marsa leciał sowiecki statek z sowiecką załogą. W drugim opowiadaniu leci na Marsa statek „Gagarin”. Dowódca statku jest sowiecki generał Siedow, ale na trzech sowieckich członków załogi jest... trzech Amerykanów. I znowu jesteśmy w systemie sowieckiej „arytmetyki”. Początkowo 2×2 równało się 2, potem 3×3 równało się 3, a teraz w ogóle cyfry zniknęły razem z planetą Mars.

Dziwolągi, irracjonalność, które stają się swoistą logiką so-

wieckiego systemu, są coraz bardziej widoczne przede wszystkim dla ludzi sowieckich. Demaskują ten system przy pomocy satyry. Korespondent *Washington Post* w Moskwie, Peter Osnos, pisał niedawno o doskonałym żarcie zrobionym systemowi przez matematyka Jurija Gastiewa. Ojciec Jurija, Aliksiej Gastiew, stary bolszewik, utalentowany poeta i organizator Instytutu Pracy, został rozstrzelany w 1938 roku. Aresztowano również jego żonę i dwóch synów, w tym Jurija, który wyszedł po 5-ciu latach łagru z gruźlicą. W 1971 roku Jurij Gastiew obronił pracę habilitacyjną z zakresu nauk przyrodniczych na temat „Homomorfizmy i modele — logiko-algebraiczne aspekty symulacji”. Pracę wydano w nakładzie 5.500 egzemplarzy — była ona przeznaczona jedynie dla specjalistów z zakresu cybernetyki. Wśród tych specjalistów znalazł się jeden, specjalnie gorliwy. Przebadawszy 242 tytuły wykorzystanej przez autora literatury odkrył przede wszystkim dwóch dysydentów, których (nawiasem mówiąc) Jurij Gastiew włączył tam z przyjaźni. Potem jednak gorliwy specjalista zastanowił się nad bardzo dziwnym tytułem cytowanej pracy J. Cheyne'a i W. Stokes'a pt. „Oddech śmierci zwiastuje odrodzenie ducha”, marzec 1953. Nikt z cybernetyków i matematyków nie znał autorów tej książki. Po dokładnym zbadaniu wyjaśniło się, że i Cheyne i Stokes to irlandcy doktorzy, żyjący w XIX-tym wieku, którzy opisali specjalny rodzaj utrudnionego oddychania. Określenie „oddychanie Cheyne-Stokesa” oznacza w medycynie symptom bliskiej śmierci. Wyjaśniło się również, że w biuletynie o stanie zdrowia Stalina cytowano: oddychanie Cheyne-Stokesa. Jurij Gastiew w marcu 1953 roku przebywał w sanatorium dla gruźlików. Usłyszawszy biuletyn, jeden z pacjentów, lekarz, wykrzyknął: Cheyne-Stokes, to znaczy koniec! I od tego czasu Jurij Gastiew 5-go marca każdego roku pije z przyjaciółmi zdrowie Cheyne-Stokesa. Nie zadowolając się tym jednak zdecydował uczcić ich pamięć i dzień oswobodzenia ducha — w swojej pracy naukowej.

Tego mu nie wybaczone: system nie lubi ani żartów z siebie, ani wyśmiewania się z ojców-założycieli.

Adam KRUCZEK

W białoruskim Londynie

Przy okazji ostatniego pobytu w Anglii, odwiedziłem białoruski ośrodek w Londynie. Mieści się na dalekim północnym przedmieściu i stanowi, jak mi powiedział p. Jan Michaluk uprzejmie spotykając na stacji kolejki Woodside Park, coś w rodzaju dawnego miasteczka na Białorusi. Istotnie, tuż przy stacji była bóżnica, dookoła której skupili się Żydzi, a nieco dalej w części białoruskiej — ośrodek ojców Marianów z wydawnictwem *Bożym*

Słucham oraz internatową szkołą i wreszcie Dom Białoruski z Biblioteką im. Franciszka Skaryny, muzeum oraz archiwum w kilku połączeniach z sobą bliźniaczych kamieniczkach. „Cóż”, — powiedział mi nie bez pewnej dumy ksiądz Biskup Czesław Sipowicz — „rodacy nasi, dorabiają się na emigracji, nie żałują grosza na cele publiczne”. Słyszając to, mimowoli pomyślałem o POSK'u.

W bibliotece znajduje się trochę wczesnych druków białoruskich, wydawnictwa z okresu przed i podczas I-szej wojny światowej oraz drukowane w niepodległej Polsce i na emigracji; większość jednak stanowią bodaj wydawnictwa sowieckie. Wśród nich jest sporo prac napisanych przed rewolucją a wydrukowanych, lub przedrukowanych, po niej; zwracają uwagę estetycznie wydawane zbiorki młodych białoruskich poetów. Muzeum nosi charakter raczej folklorystyczny; w archiwum nie byłam, ale skądinąd wiem o trudnościach skompletowania i skupienia w jednym miejscu białoruskich dokumentów nawet stosunkowo świeżej daty. Instytucje te są stosunkowo młode i zbiory niezbyt duże, ale kompletowane i utrzymywane z dużym pietyzmem, w warunkach znacznie lepszych niż — powiedzmy — w dotychczasowej bibliotece polskiej w Londynie.

Podczas gościnie ofiarowanego mi podwieczorku, rozmowa dotknęła tematów politycznych. Reakcja na moje oświadczenie, że mam wewnętrzne sprzeciwy przeciwko uważaniu za cudzoziemców Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, czy nawet wschodnio-europejskich Żydów, nie była pozytywna: poza Żydami, eksterminowanymi podczas ostatniej wojny, wszyscy inni, a także Rosjanie i Łotysze, byli dla moich gospodarzy tylko „sąsiadami”, z którymi gotowi byli — po zaspokojeniu niekiedy bardzo daleko idących roszczeń terytorialnych — utrzymywać dobrosąsiedzkie stosunki. Nie sądząc aby była celowa rozmowa na temat trudności wykreślenia białoruskich granic czy też powstania i utrzymania się skłóconej ze wszystkimi sąsiadami niepodległej Białorusi, przeszliśmy na tematy raczej historyczne. I tu okazało się, że od mego byłego kolegi uniwersyteckiego dzieli mnie nie tylko różnica politycznych odczuć. Dawni białoruscy działacze, jak Antoni Łuckiewicz, Paweł Aleksyuk, Aleksander Własow, Bronisław Taraszkiewicz i jego przyjaciel Sylwester Wojewódzki, byli dla mnie żywymi ludźmi i o niektórych z nich potocznie się mówiło *per* „Bronek” czy „Sylwek”; dla Księdza Biskupa były to tylko postacie historyczne znane z tego co o nich następnie pisano. A cóż dopiero mówić o młodym pokoleniu, urodzonym często już na emigracji; uważając się za białoruskich patriotów i niepodległościowców, wielu z nich nie mówi biegło po białorusku. Niedawno na jednym z publicznych zebrań w Australii okazało się, że obecny premier rządu emigracyjnego Alfred Urbański znacznie lepiej mówi po białorusku niż jego białoruscy krytycy i oponenci. Pisały o tym gazety białoruskie, ale prasa polska nie wspominała.

Przy pożegnaniu otrzymałem kolejny XI zeszyt *The Journal of Byelorussian Studies* oraz nowowydaną po angielsku (wspólnie z Uniwersytetem w Sheffield) gramatykę białoruską P. J. Mayo; było to dowodem, że pomimo przedwczesnej śmierci Auberona Herberta (*Kultura*, 1975, Nr. 1-2/328-9) Towarzystwo Anglo-Białoruskie swej działalności nie zaprzestało. W ogłoszonym w *Journalu* sprawozdaniu rocznym za 1974-75, następca Herberta na stanowisku prezesa, John Jolliffe, podkreślał, że po przeszło 20 latach formalnego istnienia T-wo A-B definitywnie przekształciło się z początkowego dobroczynnego towarzystwa pomocy Białorusinom w Wielkiej Brytanii w całkowicie dojrzałe towarzystwo naukowe (*a fully fledged academic Society*). Liczba jego członków w ciągu ostatniego roku wzrosła o dwóch Anglików i dwóch Białorusinów i wynosi 38 osób. Pomimo iż nakład *Journalu* wzrósł do 800 egzemplarzy, towarzystwo odczuwa pewne trudności finansowe w związku z gwałtownym wzrostem kosztów wydawniczych. Kolejny dziewiąty

kurs 6-ciu odczytów rocznie odbył się w bezpłatnie udzielanej sali Domu Białoruskiego; odczyty wygłosili: Biskup Sipowicz o XVII-wiecznym słowiańsko-łacińskim rękopisie liturgicznym, znajdującym się w zbiorach Biblioteki im. Skaryny; G. Picarda o Antonim Łuckiewiczu jako tłumaczu na białoruski Nowego Testamentu i Psalmów; o. A. Nadson o wczesnych drukach białoruskich znajdujących się w bibliotekach zachodnich; P. Mayo o białoruskiej gramatyce; J. Dingley o etno-genezie narodu białoruskiego; pani Sh. Akiner o tatarskich osiedlach na Białorusi. W *Journalu* ogłoszono odczyt P. Mayo oraz rozprawy J. Zaprudnika ze Stanów Zjednoczonych o białoruskich posłach do II-giej rosyjskiej Dumy oraz J. Krajcara, T.J., o ostatnich księżkach na Shucku i ich stosunkach z Zachodem; recenzje z 5 księzek wydanych w Mińsku i jednej w Kanadzie, liczącą 356 pozycji „Wybraną bibliografię o Białorusi” oraz białoruską kronikę w kraju i zagranicą za 1974.

Wiktor SUKIENICKI

Londyn w czerwcu 1976

ZAPRENUMERUJ **“AN
POLITYCZNY
KWARTALNIK EKS”** do ocenzonej prasy
A N E K S
w Polsce

W nr. 12-tym m.in.: Nigdy nie publikowany wywiad z Antonim Stonimskim; Ważny zbiór esejów ośmiu autorów krajowych *O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce — ze Wstępem Leszka Kołakowskiego*; A. Chmielewska: *List do przyjaciół*; Cz. Krzysztofor: *Katolicyzm a sprawa polska*; M. Korybut: *Refleksje o opozycji*; J. Walecki: *O niebezpieczeństwie politycznej neutralizacji dewocyjnych katolików w Polsce*; i inn.

CZERWIEC 1976: Komentarze W. Brusa, A. Smolara, S. Gomułka; Relacje naocznych świadków wydarzeń w Radomiu, Gdańsku i Płocku; Protesty i apele.

Upřednio w nr. 11-tym m.in.: ZMIANY W KONSTYTUCJI PRL — A. Smolar: *Przeciwko legalizacji bezprawia*; *Zbiór dokumentów*; S. Gomułka: *Uwagi do planu 1976-80*; Zb. Brzeziński: *Stosunki międzynarodowe — kryzys i przemiany*; S. Morawski: *Cenzura wobec sztuki*.

Rocznie — 4 numery — ok. 640 stron: Skr 36, \$ 10, £ 4.
Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przysyłać na adres: —

A N E K S, P. O. Box 23057, 750 23 UPPSALA,
SWEDEN.

Sprawy i troski

Polityzacja Polonii francuskiej

Zacznijmy od definicji! Przez „polityzację” rozumiemy udział Polaków w życiu politycznym Francji: głosowanie przy wyborach, przynależność do partii politycznych, piastowanie mandatów z wyboru na różnych szczeblach. Wstępem do „polityzacji” jest oczywiście budzenie się zainteresowania sprawami publicznymi Francji.

Okres międzywojenny

Sprawy Polaków we Francji w latach 1919-1939 mają już bardzo obfitą literaturę. Będzie tego chyba ponad sto pozycji, wydanych przed wojną (w tym sporo prac doktorskich). Po wojnie wydano jeszcze więcej pozycji dotyczących tego okresu, pióra Polaków i Francuzów¹.

Ale były to opracowania dotyczące emigrantów, obywateli polskich, którym nie tylko nie wolno było zajmować się polityką francuską, ale nawet należeć do syndykatów. Dla naszego tematu te liczne źródła są najczęściej mało użyteczne. Warto byłoby może napisać o akcji polskich partii politycznych — zwłaszcza opozycyjnych — na terenie emigracji we Francji, ale nie jest to celem niniejszego artykułu.

Naturalizacje były rzadkie, choć ilość ich rosła z upływem czasu. Na opóźnianie tego procesu wpływała z jednej strony biurokracja francuska (wielka ilość papierów + koszt) jak i nacisk polskich konsulatów, prasy i opinii publicznej, które w akcie przyjęcia obywatelstwa państwa francuskiego widziały zdradę narodu polskiego. Nacisk ten był bardzo silny,

1. Trzy instytuty krajowe poświęcone sprawom Polonii zagranicznej wydają wiele książek i opracowań dotyczących Polonii francuskiej; nie wszystkie można uznać za prace naukowe.

mimo że dotyczył pokolenia, które urodziło się Polakami, ale z obcymi paszportami.

Młode pokolenie, mające prawo do obywatelstwa francuskiego z tytułu urodzenia się we Francji (co wymagało jednak deklaracji wobec sędziego pokoju), bardzo rzadko osiągnęło wiek wyborczy (wówczas, i do 1974 roku — 21 lat) przed wybuchem drugiej wojny światowej. Toteż „polityzacja” Polonii francuskiej, rozpoczęta częściowo przez komunistów w ramach ruchu oporu, mogła się rozwinąć dopiero po uwolnieniu Francji na jesieni 1944 roku.

Lata powojenne

W ciągu kilku lat po zakończeniu działań wojennych (1945-1950) „polityzacja” rozwijała się powoli i jednostronnie. Były to bowiem lata wyboru: zostać czy wrócić? Z jednej strony, propaganda reżymu za powrotem do kraju nie tylko uchodźców wojennych, byłych jeńców wojennych czy więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, ale i starych, przedwojennych emigrantów. Z drugiej, wpływy polskiego Londynu, przeciwdziałające repatriacji i obiecujące zorganizowanie „państwa na wygnaniu”. Władze francuskie, mające swoje własne kłopoty wewnętrzne (wprowadzeni przez gen. de Gaulle do rządu komuniści zostali z niego usunięci przez socjalistę Ramadier dopiero w maju 1947 roku) rzadko interweniowały, a raczej liczyły punkty w tej rozgrywce. Niektóre źródła podają liczbę 74.000 Polaków we Francji, którzy w tym okresie wrócili do kraju. (Repatriacja gomułkowska nie osiągnęła wielkich wyników na tym terenie, bo wielu repatriantów z lat powojennych zdołało w międzyczasie wrócić do Francji i opowiadało o swoich losach). Jednocześnie wystawnicy polskiego Londynu organizowali na terenie francuskim partie polityczne na wzór tych, jakie kwitły na Wyspach Brytyjskich.

W tym zamieszaniu niewielu dostrzegło, że wchodzącymi w wiek wyborczy Polakami we Francji zainteresowała się żywo Francuska Partia Komunistyczna (F.P.K.) mająca w swoim ręku trzy atuty decydujące: aktywistów mówiących po polsku, środki materialne i techniczne oraz — co chyba najważniejsze — dialektykę problemu polskiego we Francji. Wykorzystując struktury odziedziczone po *résistance* z lat 1941-1944, F.P.K. dysponowała ludźmi zaprawionymi w agitacji politycznej i jej oddanymi. Mogła liczyć na pomoc reżymowej ambasady i konsulatów, których personel był liczny i przeszkolony i w tych latach bardzo często wywodził się ze starej emigracji. Toteż w owym czasie powstały różne organy prasowe F.P.K. przeznaczone dla Polaków z obywatelstwem francuskim, jak „Biuletyn Informacyjny w języku polskim wydawany przez Francuską Partię Komunistyczną”; były również rubryki w języku polskim w różnych pismach partyjnych i syndykatów C.G.T. (np. „Le Sous-Sol Lorrain”), nie

mówiąc już o ulotkach przy każdej okazji. Komuniści wiedzieli dobrze, że zwracając się do Polaków nie należy atakować Kościoła, że trzeba „bronić” granicy na Odrze i Nysie (w tym celu stworzyli nawet specjalną organizację „Oder-Neisse”). W pierwszych powojennych wyborach do rad gminnych (1947) w miejscowościach zamieszkałych przez Polaków umieszczali na swoich listach polskich kandydatów, czasem nawet nie członków Partii. Wszystko to w okresie kiedy inne partie polityczne Francji (z wyjątkiem może socjalistów S.F.I.O. w Nord i Pas-de-Calais) mało się interesowały tą klientelą wyborczą, której liczebność rosła z każdym rokiem. Dużą winę ponoszą tu „jakobini” wszelkiego autoramentu (są oni we wszystkich partiach tego kraju), którzy mają do wyborcy podejście prawnika (paszport), a nie socjologa (pochodzenie, kultura).

Powstanie „Komitetu Wyborczego Polaków Naturalizowanych”

Grono ludzi myślących politycznie i znających zarówno życie polityczne Francji jak i polską rzeczywistość zdawało sobie sprawę z faktycznego monopolu na polskich wyborców, jaki bez trudu zdobyła F.P.K. Trzeba było mu się przeciwstawić, ale oczywiście na terenie wybranym przez przeciwnika, a więc wyborczym. Wstępem do jakiegokolwiek działania było znalezienie partnerów, a więc zainteresowanie niekomunistycznych partii politycznych problemem polskich wyborców.

W tym celu powstał na początku roku 1953 „Komitet Wyborczy Polaków Naturalizowanych”. Początkowy jego skład był zupełnie przypadkowy i ograniczył się do regionu paryskiego; z uczestników pierwszego zebrania Komitetu w jego późniejszej akcji zostało tylko trzy osoby! Nazwą Komitetu odpowiadała ówczesnej rzeczywistości: wśród wyborców jeszcze było wtedy więcej naturalizowanych niż urodzonych we Francji, a pierwszym zadaniem stworzonego organu było przygotowanie wyborów do rad gminnych w marcu 1953 roku.

Stworzenie Komitetu było zadaniem... ze wszystkimi niewiadomymi! Nie było wiadomo czy przetrwa po wyborach marcowych, nie było wiadomo czy znajdzie działaczy zainteresowanych akcją polityczną, jak będzie przyjęty przez francuski świat polityczny i przez społeczeństwo polskie.

Założyciele traktowali Komitet jako organ *ad hoc* i nie starali się od początku tworzyć ram statutowych kiedy jego przyszłość nie była pewna. Natomiast ustalili zasady polityczne, na których oparli swoją akcję. Nie były one ani liczne (zasady to jeszcze nie program!), ani odzwierciedlające jakąś ideologię. Odzwierciedlały raczej tzw. chłopski rozum.

Komitet podejmował się bronić interesów społeczności polskiej we Francji metodami politycznymi, a więc przez udział w wyborach, kontakty z różnymi partiami i z administracją państwową. Zadeklarował, że nie jest związany z jakąkolwiek

partią polityczną francuską, a skupia Polaków o różnych poglądach z wyjątkiem komunistów. Jego zalecenia wyborcze były od początku niezmiennie, jak można stwierdzić czytając kolejne ulotki Komitetu od 23 lat. Zachęca on do udziału w głosowaniu, gdyż abstynencja wyborcza była wówczas — i w pewnym stopniu pozostała — dużą przeszkodą w polskiej akcji politycznej. (*Udział w głosowaniu nie jest tajemnicą!*). Zaleca niegłosowanie na listy komunistyczne i faszystujące; z biegiem lat do tego doszły listy lub kandydaci skrajnej lewicy (trockiści, maoiści itd.). Wzywa do oddawania głosów na listy lub kandydatów, których pozytywny stosunek do potrzeb — zwłaszcza kulturalnych — społeczności polskiej jest znany i poparty dowodami. Namawia do kontaktu z kandydatami przed wyborami i przedstawiania im problemów jakie stają przez Polakami w danym okręgu, to znaczy do negocjacji.

Rzecz jasna, jeżeli na liście nie-komunistycznej jest kandydat Polak Komitet wzywa do udzielenia mu poparcia, aby zachęcić partie do wystawiania polskich kandydatów. Te — stale obowiązujące — zasady oraz aktualne potrzeby społeczności polskiej we Francji przypomina Komitet przed każdym głosowaniem (wybory lub referenda) w liście do sekretarzy generalnych wszystkich partii z którymi utrzymuje kontakt; tekst listu jest *identyczny* do wszystkich adresatów². Jak z tego widać, Komitet z reguły nie wskazuje na kogo głosować, ale raczej określa warunki jakie powinien spełniać najbardziej odpowiadający naszym potrzebom kandydat. Wychodzi on z założenia, że zdobywaniem głosów polskich — zaciągając związane z tym zobowiązania — powinni się zajmować zainteresowani (partie, kandydaci), a nie Komitet. Oczywiście, sytuacja się zmienia kiedy, najczęściej w drugim głosowaniu (*ballotage*), głosujący mają do wyboru między kandydatem (lub listą) komunistycznym lub popieranym przez komunistów, a nie-komunistą, bez względu na jego przynależność partyjną.

Przed każdym głosowaniem Komitet wydaje ulotkę dostosowaną do okoliczności. W ostatnich latach ulotki Komitetu stały się dwujęzyczne. Nie mają one na celu ułatwienia czytania ich przez młode pokolenie, znające język ojczysty tylko w mowie (nauka polskiego obejmuje tylko minimalny procent młodzieży), ale raczej przedstawianie spraw polskich społeczeństwu francuskiemu i szukanie wśród niego sprzymierzeńców do obrony wspólnych interesów. Ale — rozdzielając wyraźnie swoją rolę *informatora* o potrzebach polskich wyborców od roli kandydatów i partii *szukających ich głosów* — Komitet namawia zainteresowanych do wydawania ulotek po polsku, przez nich oczywiście firmowanych, i służy pomocą techniczną w redagowaniu tekstów. W czasie każdej kampanii wyborczej jest takich ulotek kilka lub kilkanaście.

2. Ci sami adresaci, a także administracja dostają także analizę wyników wyborów na odcinku polskim.

Opisywanie historii działalności Komitetu przez 23 lata jego istnienia, nie jest celem tego artykułu i przekroczyłoby znacznie jego ramy. Ponieważ istnieją archiwa, kiedyś, na ich podstawie, można będzie dokładnie odtworzyć wszystkie akcje Komitetu i jego wkład do polityzacji Polonii francuskiej. W wielkim skrócie możemy powiedzieć, że z upływem lat sieć współpracowników się rozrastała, a między jedną kampanią wyborczą a drugą Komitet stawał się instytucją interwencyjną, starającą się załatwiać sprawy które innymi drogami nie mogły być załatwione. Ponieważ procent pomyślnych wyników interwencji był duży (ok. 80%), a były one bezpłatne, ilość ich — i różnorodność — rosła. Komitet wychodził z założenia, że każda partia polityczna, ale także każde ministerstwo powinno mieć „polską teczke”. Innymi słowy wiedzieć, że Polacy we Francji to już nie jest „emigracja”, ale stale rosnąca siła wyborcza, którą obecnie określa się na ok. 500.000 głosów. Fakt ten Komitet przypominał swoim rozmówcom przy każdej okazji.

Wróćmy na chwilę do warunków od których zależała ciągłość akcji Komitetu. Czy znajdują się *działacze*, oddani tej sprawie? Okazało się, że się znaleźli i to w dużej mierze wśród młodego pokolenia urodzonego we Francji. Nie zapominajmy, że pierwsze roczniki urodzonych we Francji osiągnęły już pięćdziesiątkę, a urodzeni po wojnie — lat trzydzieści. Tym ostatnim, jeżeli mają trochę inteligencji i ambicji szerszej działalności, nie wystarczają już tradycyjne na tutejszym terenie organizacje młodzieżowe: Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży i harcerstwo, nawet na szczeblu instruktorskim. Większość przeszła do organizacji francuskich, niektórzy zrobili próbę działalności politycznej w barwach polskich. Jak obliczył znający się na rzeczy popularny działacz w Północnej Francji — Edward Papalski, wszystkie polskie organizacje nie-komunistyczne obejmują tylko 3% Polaków w tym kraju. Dodajmy, że te zorganizowane trzynaście procent, to w olbrzymiej większości ludzie po czterdziestce, a chyba i po pięćdziesiątce. Reszta, w najlepszym wypadku, chodzi luzem czasem jest zwabiona przez komunistów polskich lub francuskich albo wreszcie asymiluje się, przerwawszy wszelkie kontakty z Polską i polskością. Polonia francuska weszła w trzecie pokolenie: przestała być masą złożoną z górników i robotników fabrycznych czy rolnych. W ogłaszanych przez dzienniki spisach studentów, którzy uzyskali dyplomy wyższych uczelni spotyka się czasem nazwiska polskie. Ale, poza rzadkimi wyjątkami, nikt tych ludzi nie zna i — prawdę mówiąc — nikt się nimi nie interesuje. A to właśnie oni są miarą promocji socjalnej Polonii francuskiej. Polowanie na młodych inteligentów, którzy wyszli ze świata robotniczego ale nie stracili z nim kontaktu, było jednym z zadań Komitetu. Częściowo się to udało, ale sprawa pozostanie jeszcze przez lata na porządku dziennym!

Drugim warunkiem przetrwania Komitetu było jego *przyjęcie przez francuski świat polityczny*. Sprawa nie była łatwa! Polacy stale przedstawiali się jako „emigracja”, co w uchu Francuza

znaczy „cudzoziemcy”. Nawet ci, którzy zawodowo stykali się z Polakami co dzień, po latach dopiero odkrywali że są oni również wyborcami. Przykładów można cytować bez liku! Na przykład mer miejscowości we Wschodniej Francji, a jednocześnie radca tego kantonu w samorządzie departamentalnym (*conseiller général*), z zawodu lekarz i dyrektor szpitala fabrycznego, znał większość swoich polskich podopiecznych z nazwiska, ale dopiero z listu Komitetu dowiedział się, że są oni także jego wyborcami; niestety było to już za późno, bo komuniści wiedzieli o tym wcześniej! Toteż nawiązanie kontaktu z partiami i wytłumaczenie im pożytku, jaki mogą mieć z zainteresowania się wyborcami polskimi i ich potrzebami nie było łatwe i wymagało dwu rzeczy: dialektyki i techniki. Znaczy to, że należało w sposób zrozumiały dla Francuzów wytłumaczyć im, że natura nie znosi pustki i że albo oni albo ich przeciwnicy zajmą się polską klientelą, że społeczność polska we Francji ma więcej wspólnego z Baskami czy Bretończykami niż z Portugalczykami, bo jest złożona w swej większości z obywateli francuskich³ i jest fenomenem trwałym a nie przejściowym. Z drugiej zaś strony, wybory to kwestia cyfr i proporcji. Trzeba więc było spisać gminy, kantony i okręgi parlamentarne, w których Polacy przedstawiają pewną siłę wyborczą. Taki spis został zrobiony: objął ok. 800 gmin w 45 departamentach Francji. Zadość uczyniwszy dialektyce i technice, można było zacząć rozmowy na różnych szczeblach. Z sekretarzem generalnym partii rozmawiało się o problemach ogólnych, nie zapominając o sytuacji w Polsce. Z merem gminy rozmawiało się o potrzebach miejscowych Polaków; z tym bywały trudności, bo wielu „działaczy” nie było w stanie jasno przedstawić czego brakuje naszej społeczności. Rozmów takich działacze Komitetu przeprowadzili setki. W sztabach partyjnych i na niższych „szczeblach dowodzenia” Komitet stał się instytucją znaną, nawet dla tych którzy dla jego działalności nie przejawiali wielkiego entuzjazmu. Ale Francuzi szanują *présence!*

Wreszcie ostatni warunek przetrwania: *przyjęcie przez społeczeństwo polskie*. Ten był najcięższy! Komitet miał przeciw sobie nie tylko F.P.K. i reżymową ambasadę, ale i polski Londyn, prasę i większość tradycyjnych organizacji. Trzeba było płynąć pod prąd i trwać to wiele lat. Ale Komitetowi „komandosi” byli pełni zapału i przekonani, że jeżeli się chce uratować młodzież, to społeczność polska musi uzyskać we Francji swoją pozycję; do tego można było dojść tylko drogą akcji politycznej. W miarę jak oddalała się wojna, tracił na wartości argument „biliśmy się za Francję”. Gaullistowska polityka „otwarcia na Wschód” skierowała uśmiechy francuskich nie-komunistów ku

3. Ilość Polaków we Francji obliczamy na 800.000 — F.P.K. mówi o milionie; tę samą liczbę wymienia minister Spraw Wewnętrznych Michel Poniatowski w jednej ze swoich książek. Z tego na 1 stycznia bież. roku było tylko 86.000 nie-obywateli francuskich (tzn. obywateli P.R.L. i uchodźców).

ambasadzie reżymowej. Ale żadna polityka nie odebrała Polakom kartek wyborczych, których ilość stale rosła. Należało więc wykorzystywać fakt, że są momenty kiedy Polacy są stroną dającą i od nich w pewnej mierze zależy decyzja. Takimi momentami są właśnie wybory i referenda. Poza kilkudziesięcioma politycznie myślącymi ludźmi, którzy od początku poparli akcję Komitetu, pierwsi zrozumieli to ludzie młodego pokolenia. Toteż, w miarę upływu czasu, wrogość do akcji Komitetu w środowiskach tradycjonalistycznych malała. Jedni zamilkli, drudzy dołączyli się do akcji, która zaczynała dawać wyniki. Wielu jednak „ojców emigracji” trudno było przekonać, że polskie getto, z którego ucieka młodzież ma niewielkie widoki na przyszłość. Trzeba dodać, że Komitet nie podejmował walki ze swoimi początkowymi przeciwnikami. Wiedział, że czas pracuje na korzyść głoszonych przezeń tez i proponowanych metod pracy. Ilość Polaków w radach gminnych rosła i — co ważniejsze — byli wśród nich działacze społeczni, świadomi tego że aby uratować polski dorobek trzeba zrobić coś innego niż akademie ku czci... Dziś, w kartotekach Komitetu zanotowanych jest ok. 850 polskich nazwisk, ale brakuje jeszcze kilku „polskich” departamentów. Mówimy wyraźnie: „polskich nazwisk”. Na ile ci ludzie czują się jeszcze Polakami przeważnie nie wiadomo. Większość z nich zasiada w radach gminnych na wsiach, a wieś to „dzikie pola” Polonii francuskiej. Na przykład w departamencie Aisne, czysto rolniczym, jest 163 nazwisk polskich w radach gminnych, a nie istnieje żadna polska organizacja. Przyjrzywszy się bliżej temu problemowi dochodzi się do smutnego wniosku: poza nielicznymi wyjątkami (np. Ostricourt, Nord) tam gdzie działają polskie organizacje, tam nie ma polskich radnych. Dlaczego? Wydaje się, że po prostu hierarchia ważności jest inna: w jednych miejscowościach ambicją jest zostać prezesem byłych polskich kombatantów, w drugich — radnym gminnym.

Ostatnie lata Komitetu

Każda kampania wyborcza powiększała grono działaczy Komitetu i jego sympatyków. Krytyki się ograniczały do tych, którzy zaczynali rozumieć, że są odpowiedzialni za obecny — niewesoły — stan społeczności polskiej we Francji.

Jeżeli chodzi o francuski świat polityczny, to Komitet przeżył dwie Republiki, IV-tą i V-tą, i kilkanaście rządów o różnym zabarwieniu politycznym, nie tracąc kontaktu z żadnym z nich.

Kilku działaczy Komitetu dostało krzyż kawalerski *Ordre du Mérite* za swoją działalność; był to oficjalny i publiczny wyraz uznania dla pracy Komitetu. Wybory do Zgromadzenia Narodowego w 1973 roku miały być ostatnią kampanią przeprowadzoną pod jego firmą. Nadszedł bowiem czas na zreformowanie struktur akcji politycznej, dostosowując ją do nowej rzeczywistości. Wiadomo było już od szeregu lat, że kampanie wyborcze, które

przyczyniły się do uświadomienia Polakom-obywatelom francuskim ich roli politycznej we Francji — już nie wystarczają: trzeba było stworzyć ośrodek działania politycznego pracującego permanentnie. Innymi słowy, przejść od Komitetu grupującego coraz to inną ekipę ludzi dobrej woli, bez żadnych ram formalnych do organizacji o charakterze politycznym (nie „społecznym”), działającej na bazie statutu, odpowiadającego potrzebom nowego pokolenia. Projekt statutu był gotów na jesieni 1973 roku; rozpoczęły się nad nim dyskusje na spotkaniach działaczy Komitetu, w różnych stronach Francji. W tym momencie śmierć Prezydenta Pompidou zmusiła Komitet do nowej mobilizacji w bardzo krótkim okresie czasu. Jak zwykle, przed pierwszym głosowaniem (pierwszą turą, jak mówią Francuzi) Komitet wydał swoją ulotkę, przypominając swoje hasła, o których pisaliśmy wyżej. W drugim głosowaniu (dwa tygodnie później) pozostał wybór między François Mitterand, związanym z komunistami, a Valéry Giscard d'Estaing. W poprzednich wyborach prezydenckich, kiedy konkurentami byli dwaj antykomuniści Komitet pozostał neutralny. Tym razem stało się inaczej (choć grupa socjalistów polskich stanęła po stronie Mitteranda), ale inicjatywa wyszła nie od Komitetu, lecz z otoczenia Giscard d'Estaing. Uzgodniono, że kandydat nie związany z komunistami wystosuje list do swoich polskich wyborców, a Komitet ten tekst zaopatrzy w swoją aprobatę. Tak się też stało. Po raz pierwszy w historii Polonii francuskiej kandydat na najwyższy urząd w państwie uznał istnienie polskiej grupy narodowej wśród obywateli Francji. Dajmy, że większość jaką został wybrany Valéry Giscard d'Estaing nie osiągała liczby głosów polskich przy wyborach. Ten list kandydata na Prezydenta stał się niejako kontraktem między nim a polskimi wyborcami. I punktem wyjścia do rozmów z administracją oraz partiami wchodzącymi do „większości prezydenckiej”.

Kiedy nadeszły wybory kantonalne (do *conseil général*, co odpowiada samorządowi wojewódzkiemu) przygotowania do likwidacji Komitetu były już w toku.

Wspólnota Polsko-Francuska

24 kwietnia 1976 roku odbyło się na ratuszu w Wersalu pierwsze zebranie członków-założycieli, którzy — zgodnie ze statutem — stanowili skład pierwszej Rady Naczelnej nowej organizacji. Inaczej niż to miało miejsce z Komitetem, skład tego grona nie był bynajmniej przypadkowy, ale ustalony w czasie różnych zebrań działaczy Komitetu. Rada obejmuje przedstawicieli wszystkich regionów Francji, wszystkich klas wieku, wszystkich zawodów. Wśród jej 17 członków jest sześciu urodzonych we Francji. W pięciosobowym Zarządzie stanowią oni większość: 3 na 2. W założeniach organizatorów prezesem miał być działacz

urodzony we Francji; nie udało się to tym razem, ale stanie się to w niedalekiej przyszłości.

Nowa organizacja postawiła sobie na najbliższy rok dwa główne cele: 1 — przygotowanie do udziału Polaków do wyborów do rad gminnych, w marcu 1977 roku (mobilizacja wyborców, przygotowanie kandydatów) i 2. — uzyskanie nowych baz prawnych i budżetowych dla reorganizacji nauczania języka polskiego na poziomie szkoły podstawowej; w tym celu stworzona została Komisja Nauczania, która — w porozumieniu z zainteresowanymi tym problemem czynnikami polskimi i francuskimi — przygotowuje odpowiednie projekty. (Nie należy zapominać, że po dwu latach starań i akcji zbierania podpisów, zainicjowanej przez Edwarda Kozika, Komitet uzyskał wprowadzenie języka polskiego jako 1-szego lub 2-go języka nowożytnego przy maturze: dekret z stycznia 1975 roku).

Wspólnota Polsko-Francuska ma w swych celach statutowych: 1. — utrzymanie więzi z narodem polskim w Kraju oraz 2. — ze skupiskami polskimi poza jego granicami. Pierwsze dlatego, aby nie zostawiać komunistom i ich organizacjom monopolu na kontakt z Krajem, odcinając się jednocześnie od reżymu. Drugie, aby wyciągnąć praktyczne wnioski ze spotkania „Polonia 75” i przygotować się do następnego: „Polonia Jutra”, w Toronto, w 1978 roku.

Założyciele Wspólnoty starali się wyciągnąć właściwe wnioski z sytuacji, w której obecnie znajduje się Polonia francuska. Stworzyli więc organizację o charakterze politycznym i ponadpartyjnym, jaka nie istniała dotychczas. Nie było ich celem tworzenie „masówek” i skupianie w szeregach Wspólnoty wielkiej ilości miłych i porządnych członków, którzy po podpisaniu deklaracji i zapłaceniu składki czekają na poświęcenie sztandaru i akademii 3-go Maja. Z natury rzeczy, skład liczebny Wspólnoty będzie ograniczony do ludzi, którzy na szczeblu lokalnym, regionalnym czy państwowym — przyjmą odpowiedzialność za powierzony im odcinek pracy. Stąd przewidziana w statucie instytucja członków wprowadzających (*parrainage*). Charakter akcji politycznej nie wymaga operowania masami przez 365 dni w roku (do francuskich partii politycznych należy w sumie ok. 2% ludności, nawet jeżeli przyjąć liczby ogłaszane przez samych zainteresowanych). Nowa organizacja nie jest konkurentem już istniejących, ani nie zamierza się ustawiać jako czynnik nadrzędny. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że tylko czterech członków Rady nie jest działaczami jednej z istniejących organizacji. Cele organizacji są jasno sprecyzowane w jej statucie i umyślnie w *pełnym tekście* (art. 2) zamieszczone w Journal Officiel z 19. III. 1976 r. Ich wykonanie zajmie Wspólnotcie długie lata!

Trudności nie brakuje, ani ze strony polskiej, ani ze strony francuskiej. W swoim obecnym stanie organizacyjnym Polonia francuska nie jest w stanie uratować instytucji, których istnienie jest warunkiem jej przetrwania (szkolnictwo, znane instytucje kulturalne), gdyż nie posiada ani środków finansowych, ani dos-

tępu do ośrodków decyzji we Francji. Zainicjowany przed dwoma laty pod hasłem „skończyć z żebractwem, zacząć gromadzić pieniądze” Fundusz Kultury Polsko-Francuskiej proponował inne od tradycyjnych składek (niepłaconych) i kwest wśród zawsze tych samych (najbiedniejszych) ludzi metody zbierania funduszy, ale — jak dotychczas — uzyskać niewielkie poparcie ze strony Polonii. Do ośrodków decyzji szuka się dostępu „przez kuchnię”, licząc na polskie sentymenty polityków o lechickich nazwiskach.

Trudności ze strony francuskiej również nie są małe. Mimo że Wspólnota nie przerwała kontaktów z francuską Partią Socjalistyczną, ewentualne zwycięstwo stronnictw „wspólnego programu” może postawić przyszłość instytucji i organizacji polskich pod znakiem zapytania. (Przypomnijmy, że w czasie gdy Thorez był wice-premierem w rządzie gen. de Gaulle statut S.P.K. podpisało tylko dwu Polaków i kilku Francuzów). Nawet obecna większość rządowa kontynuuje gaullistowską politykę „otwarcia na Wschód”, co praktycznie — na odcinku wewnętrznym — daje takie wyniki, jak wizyta Prezydenta Republiki w ambasadzie PRL 22. VII. 1975 roku, znana afera pomnika Polaków, którzy walczyli o wolność Francji, dawanie nazwisk ministrów i członków parlamentu takim organizacjom jak kierowana przez komunistów „France-Pologne”, co wprowadza zamęt w umysłach polskich wyborców; argumenty „konieczności dyplomatycznych” nie przemawiają do nich. Tym więcej, że ambasada bierze żywy udział w komunistycznej kampanii wyborczej: w okresie wyborów zjawiają się we Francji niezliczone „Mazowsza”, „Śląski”, „Lubliny” itp., które śpiewają i tańczą w ośrodkach gdzie Polacy głosują, nie mówiąc już o licznych odwiedzinach urzędników konsulatów w domach polskich wyborców.

Jedną z zasad akcji wspólnoty jest — jak już wspomnieliśmy — zasada obecności: muszą nas znać ci wszyscy, którzy — na tym czy innym szczeblu — mają udział w decyzjach nas dotyczących! Dlatego też Zarząd Wspólnoty, przy udziale członków Rady i miejscowych działaczy składa wizyty Prefektom interesujących nas departamentów i regionów, a działacze lokalni odwiedzają merów swoich gmin.

Dnia 21 czerwca 1976 roku Zarząd Wspólnoty został przyjęty — w imieniu Premiera Jacques Chirac'a przez sekretarza stanu — René Tomasini. Biuro premiera, znane powszechnie pod nazwą „Hôtel Matignon” wydało o tym oficjalny komunikat. Po raz pierwszy w historii Polonii francuskiej Polacy przedstawili Premierowi Republiki swoje sprawy.

Czy Polonia francuska się „upolityczniła”? Zdaje się, że — jeżeli chodzi o ludzi poniżej lat 50-ciu — nie ulega to żadnej wątpliwości. Czy potrafi wykorzystać atuty, które ma w rękę? Przyszłość na to odpowie!

Jerzy JANKOWSKI

O polskich zjazdach naukowych

Trzy ostatnie zjazdy zorganizowane pod egidą Polskiego Instytutu Sztuk i Nauk w Ameryce (Nowy Jork 1966 i 1971, Montreal 1975) przywróciły Instytut do życia. Zjazdy dały możliwość aktywnego udziału ludziom, którzy poprzednio tylko przyglądali się z życzliwością, z daleka, działalności Instytutu. Zmiana to zasadnicza w swoich konsekwencjach dla instytucji, której groziło wymarcie.

Wielodyscyplinarny charakter zjazdów upodabnia te imprezy do zjazdów *American Association for the Advancement of Science* i stanowi ich atrakcyjność raczej niż ujmę i zachęca do szerszego udziału i obfitszego nadsyłania referatów. Ilość rejestracji z kolei decyduje o możliwościach pokrycia kosztów korespondencji, druku obwieszczeń i programów oraz ewentualnej publikacji sprawozdania ze zjazdu czy pełnych tekstów referatów.

W powyższej ocenie charakteru zjazdów różni się w opinii z dr. Ostrowskim (*Kultura* nr 12/339), który wolałby widzieć na zjeździe tylko sesje plenarne z referatami przygotowanymi na zaproszenie, wygłaszanymi w dużej sali i połączonymi z dyskusją przygotowaną również na zaproszenie.

Ograniczenie ilości referatów do kilkunastu, silnie obniżyłoby frekwencję zjazdów, gdyż wielu uczestników jedzie na nie nie tylko po to by usłyszeć co inni mają ciekawego, względnie nowego do przedstawienia, lecz również by podzielić się z innymi swoimi własnymi osiągnięciami. Przy ograniczeniu ilości referatów, przynajmniej połowa motywacji do udziału w zjeździe odpadnie dla wielu potencjalnych uczestników. Ograniczenia w przyjmowaniu referatów powinny zatem być oparte na zasadzie ich poziomu i treści, a nie ilości. Istnieje poza tym w Stanach Zjednoczonych dość silna, choć nie sprecyzowana tendencja, że na zjazdy jedzie się by być uczestnikiem tj. referentem, raczej niż tylko słuchaczem. Ten aktywny udział zapewnia zjazdowi żywotność.

Obserwując teraz różne podobne organizacje amerykańskie można bez przesady stwierdzić, że ich głównym celem, na który wydają gros swoich wysiłków i finansów jest organizowanie zjazdów i wydawanie publikacji z nimi związanych. A zatem dostarczają swoim członkom publicznego forum, na którym następuje wymiana myśli, oraz sposobność spotkania i poznania ludzi o podobnych zainteresowaniach. Wszystkie te funkcje są bardzo użyteczne i brak innej dogodnej metody zaspokojenia tych potrzeb. Dlatego to inicjatywa Instytutu Nowojorskiego jest tak pożyteczna. Będąc inicjatywą stosunkowo świeżej daty nie posiada jeszcze dostatecznego zasobu doświadczenia i to zapewne tłumaczy trudności z publikacją sprawozdań.

O ile wolno zasięgnąć z doświadczeń innych bardziej zasiadających instytucji, jak np. IEEE, publikacja streszczenia referatów byłaby ułatwiona, gdyby Instytut wymagał nadesłania streszczeń w określonym terminie przed zjazdem i napisanych na czysto na maszynie w określonym formacie, gotowym do sfotografowania. Koszty publikacji składają się wtedy z kosztów fotoreprodukcji i druku okładek. Być może całą tę procedurę można zakontraktować u organizacji, która ma w tym lepsze doświadczenie i w konsekwencji niższe koszty.

Przebiegając w myślach zjazdy zawodowe w których brałem udział muszę stwierdzić, że dyskusje na sesjach plenarnych, jak sugeruje dr Ostrowski, są zazwyczaj utrudnione o ile chodzi o słuchaczy na sali, chyba że są ograniczone do kilku osób na podium, tzw. „panel”. W dyskusjach z sali, po referacie, słychać zazwyczaj tylko odpowiedzi prelegenta, a i te muszą być z reguły krótkie ze względu na ograniczony czas. Nie pomaga tu nawet tak doskonałe techniczne wyposażenie sali jak to, które widziałem ubiegłego kwietnia na Pierwszej Europejskiej Konferencji nuklearnej w Paryskim Centrum Konwencyjnym przy Porte Maillot. Dyskusje między prelegentem a słuchaczami wymagają tego co się tu określa jako *face-to-face contact* i dla tego są naprawdę możliwe tylko w małych salach, a i tak często przenoszą się po sesji na korytarz. Dobranie sali do popularności prelegenta i rozmiarów zainteresowania jego referatem to swego rodzaju sztuka, jak to słusznie zauważył dr Ostrowski w swoich uwagach na temat montrealskiego referatu Jana Nowaka. Tego rodzaju decyzje, to poza selekcją nadesłanych referatów, bodajże najważniejsza funkcja komitetu organizacyjnego.

Wśród przygotowań przedjazdowych wczesne i szerokie rozesłanie drukowanych zaproszeń do udziału (*call for papers*) i obwieszczeń w prasie nie mało może się przyczynić do sukcesu całego przedsięwzięcia. Przygotowanie obwieszczenia, druk i koszty przesyłki oraz zgromadzenie odpowiedniej listy adresatów wymagają starannego przygotowania, a może i pożyczki z banku na pokrycie kosztów.

Ta strona przygotowań do ostatniego zjazdu wypadła dosyć słabo. Ja, na przykład, dowiedziałem się o terminie nadsyłania referatów i adresie przewodniczącego odpowiedniej sesji tylko dzięki temu, że będąc w Nowym Jorku samochodem, by odebrać na lotnisku Kennedy teściów przyjeżdżających do nas z wizytą z Argentyny, wstąpiłem do Instytutu w drodze powrotnej. Dzięki temu terminu referatów nie przeczyłem. Myślę jednak, że wielu potencjalnych referentów dowiedziało się o Zjeździe za późno, aby w tej sprawie coś zdziałać.

Na marginesie powyższych uwag chciałbym poruszyć sprawę innej inicjatywy Instytutu, która odpowiednio rozbudowana dawałaby atrakcyjności szerszemu kołu polsko-amerykańskiej inteligencji. Mam tu na myśli wydany przez Instytut „Register of Polish American Scholars, Scientists, Writers and Artists”, New York, 1969. Zawiera on nazwiska, stopień naukowy i kilka linii-

kowy skrót danych zawodowych 1034 Amerykanów polskiego pochodzenia. Jest to zatem załączek „*Who-Is-Who Among Polish-Americans*”. Poszerzenie tej publikacji i wydanie jej w formie innych *Who-Is-Who* na podstawie subskrypcji i fotoreprodukcji odpowiednio poszerzonych danych biograficznych dałoby Instytutowi szerszy kontakt ze środowiskiem Amerykanów polskiego pochodzenia.

Rozbudowa tego wydawnictwa wymaga poszerzenia kryteriów kwalifikujących do włączenia do takiego słownika biograficznego. Obok kryteriów stosowanych w „Register”, a mianowicie dyplomu, stanowiska akademickiego i publikacji, należy dodać kryterium uznania różnych grup społeczeństwa amerykańskiego dla talentu organizacyjnego, duszpasterskiego lub politycznego wyrażone przez wyznaczenie, względnie wybranie na eksponowane stanowiska. Włączyłoby to do takiej publikacji kongresmanów stanowych i federalnych, sędziów, kler, przemysłowców, wyższych urzędników stanowych i federalnych oraz wojskowych wyższych stopni.

Zachęcenie do nadsyłania nazwisk i danych biograficznych do takiego wydawnictwa, względnie kandydatur, wymaga odpowiedniej kampanii informacyjnej w prasie, lub przez bezpośrednie kontakty Instytutu. Zapewnienie, że impreza jest poważna potrzebuje ustalenia terminu wydania, zapewnienia podstawy finansowej przez subskrypcje, lub pożyczkę bankową, oraz zorganizowania patronatu komitetu ludzi o znanych w społeczeństwie amerykańskim nazwiskach, względnie organizacyjne oparcie o jedno z istniejących wydawnictw typu „*Who-Is-Who*”.

Koncentrując swój wysiłek organizacyjny i finansowy na planowanie zjazdów i publikowanie wydawnictw z nimi związanych działalność Instytutu stanie się bardziej widoczna.

Przekształcenie funkcji Instytutu z wegetatywnej w usługową przez dostarczanie inicjatyw i ram organizacyjnych dla powyższych imprez może umożliwić Instytutowi dalszą działalność, oraz — miejmy nadzieję — bardziej solidną podstawę finansową.

Jacek JĘDRUCH

Pittsburgh, marzec 1976

List z Londynn

Szanowny Panie Redaktorze,

O mały włos nie skompromitowałam się triumfalnym wraskiem „polonik”, a powodem była sfatygowana książeczka, którą znajomy rusycysta i bibliofil wyłowił na straganach East Endu.

Bóg jeden wie jak tam popadła. Przeszłość miała bujną: zdołała ją dziewiętnastowieczne pieczęcie jakiejś rosyjskiej biblioteki i sygnatury nabazgrane fioletowym atramentem sugerującym domowy wyrób z chemicznego ołówka. Znam się na rzeczy, maczałam w tym palce na Sybirze z przekleństwami.

Szpargał wpadł mi w oko frapującą nazwą „Kozielsk”, zwie się bowiem *Istoriczeskoje opisanje Kozielskoj Wwiedenskoj Optinoj Pustyni*, cz. II: *Opisanje skita*, Petersburg 1847. Autor: Lew Kawelin.

Kozielsk — wrota Katynia i miejsce narodzin jednej z ważnych polskich Madonn: Matki Boskiej Kozielskiej czasem zwanej katyńską (co dla mnie z powodów teologicznych brzmi szyderczo). Mam naturalnie na myśli tę ogólnie znaną nr 1, dłuta Tadeusza Zielińskiego, która od wojny rezyduje w Londynie, a której sytuacja nasuwa kilka znaków zapytania. Obraz interesuje mnie nie jako przedmiot kultu, tylko cenny zabytek historyczny. Ta jego ranga nakłada na opiekunów ściśle określone zobowiązania, o czym dalej.

Wracam do archimandryty Kawelina, który stawiał pierwsze kroki na duchownej niwie jako *jeromonach* w kozielskim *skicie* czyli pustelni pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, zanim w latach 1860-tych wypłynął na mętne wody cerkiewno-carskiej dyplomacji w Konstantynopolu i Jerozolimie. Przeglądając książeczkę uprzytomniłam sobie jak mało wiemy o Kozielsku i jego słynnym klasztorze — nasza katyńska literatura poświęca im minimum uwagi. A przecież są niezgorsze powody do zainteresowania.

Rajd po bibliotekach przyniósł nowe materiały: przede wszystkim onegoż Kawelina *Istoriczeskoje opisanje Kozelskoj Wwiedenskoj Optinoj Pustyni* (3-cie wydanie, Moskwa 1876), L. I. Denisowa *Prawosławnyje monastyri Rossijskoj Imperii* (Moskwa 1908) oraz nowszy rarytas: N. N. Anisimow i W. N. Sorokin, *Kozelsk* (Tuła 1967), drobiazgi na razie pomijam. Przy tym ciekawostka: fotografia ogólnego widoku kozielskiego klasztoru pod wezwaniem wprowadzenia Matki Boskiej do świątyni, potocznie zwanego Optiną, na której u Denisowa można go oglądać w całej przedrewolucyjnej krasie, jest przedrukowana bez żadnych komentarzy u Anisimowa i Sorokina (nawet drzewa i linia lasu na horyzoncie ta sama), jakby to był widok współczesny. Jedyna różnica: w przedruku troszkę ucięto po bokach, a za to na pierwszym planie dodano pole czy łąkę, ale to drobiazg — znamy lepsze hokus-pokus na dokumentalnych fotografiach. Zastanawia tylko, czemu w opisie Kozielska z roku 1967, w którym można oglądać aktualne widoczki, umieszczono zabytkowe zdjęcie klasztoru. Czyżby dlatego, że jak

inne zabytki cerkiewne przeszedł ogólnie znane Przeobrażenia Socjalistyczne, które potem okazały się *niekulturowe*, jak w niektórych wypadkach, gdy zabytek był już nazbyt wysokiej klasy?



Kozielsk zjawia się w źródłach pisanych w roku 1146 i w początkach swych dziejów należał do drobnych a nietrwałych ksiąstewek nim sam został ośrodkiem księstwa kozielskiego i w roku 1238 wstąpił się bohaterską obroną przed Tatarami. W XV-tym wieku bywał w rękach litewskich, nim wreszcie Iwan III przyłączył go na stałe do Księstwa Moskiewskiego. Tenże Iwan (jak twierdzi T. Żychliński w *Złotej księdze szlachty polskiej*) przepędził z Kozielska jego ostatniego kniazia, Tytusa Fedorowicza, którego Kazimierz Jagiellończyk przygarnął i zapatrzył na Litwie. Od jego dwu synów poszły rody Puzynów i Ogińskich piszących się „z Kozielska”.

Początki klasztoru sięgają czasów Iwana III i znane są tylko z legendy. Archiwa klasztorne zaczynają się w roku 1670 i Kawelin przypuszcza, że ich najstarsza część padła ofiarą litewskiego *razorenia* czyli Dymitriady i burzliwych czasów, które po niej przysły. Srogo ucierpiał wtedy również Kozielsk, który jesienią 1610 zajęli Polacy i, jak twierdzi Anisimow i Sorokin, wybili 7 tysięcy ludności (czy w ogóle mogło jej tam tyle być?), ograbili i spalili miasto. Później Kozielsk odmówił przysięgi na wierność Władysławowi i podczas wyprawy na Moskwę zajął go „wojewoda” (jak go zwą ci panowie) Czapliński — pewnie chodzi o sławnego lisowczyka Stanisława, który w 1617-18 operował w kałużskiej ziemi. Po tych wypadkach miasto do końca stulecia nie mogło przyjść do siebie.

Założycielem monasteru miał być tamtejszy zbój Madej imieniem Opta, herszt rozbójników grasujących w rozległych lasach kałużskiej ziemi. Ujrawszy światło cnoty postrzygł się w mnichy i stąd jego fundację nazwano Optiną. Denisow twierdzi, że ta nazwa pochodzi od *obszczyj* i oznacza, że początkowo żyli tam wspólnie mnisi i mniszki. W każdym razie Opta wybrał miejsce wyjątkowo malownicze: głęboką dolinę z łąkami i jeziorami, którą wije się rzeka Żizdra, a widnokrąg zamykają rozległe bory. W XIX-tym wieku jadący po kałużskim trakcie lubili podziwiać klasztor w całej krasie chramów, murów i baszt jako jeden z najpiękniejszych widoków tamtych stron. Ale te splendory należały do przyszłości, na razie było tu biednie, tyle że garstka mnichów zdołała przeżyć i dopiero po „smutnym czasie” zaczęła porastać w dary: ziemie, rybne stawy, młyny, lasy i łąki, a wraz z nimi w niekończące się zwady z mieszczanami z Kozielska. W roku 1689 zaczęto budować pierwszą murowaną cerkiew Wprowa-

dzenia Matki Boskiej, carowie Iwan i Piotr Aleksiejewicze wspomogli zbożne dzieło i żyło się coraz lepiej, aż nadeszła wojna szwedzka i onże Piotr zaczął z kolei wyduszać z klasztoru podatki. Wróciła dawna bieda, do której nijak nie pasował nowy pięciokopulasty sobór ze sławną ikoną przedstawiającą Wprowadzenie, i przycupnięte przy nim domki wyludniały się coraz bardziej, zwłaszcza odkąd ukaz Katarzyny z roku 1764 ograniczył ilość mnichów do siedmiu. Dla mieszczan nastał dobry czas i nawet okoliczni chłopcy rozhulali się jak dziadowskie bicze: bezczelnie cięli klasztorny las, łowili klasztorne ryby, spasali łąki, konie nawet wyprowadzili z mniszej stajni, a w letnie wieczory hulali po klasztornych daczach i wrzeszczeli pieśni zakłócające służbę Bożą. Kto wie co by było, gdyby nie wkroczyła Opatrzność w osobie Platona metropolity kałużskiego i moskiewskiego. Nawiedziwszy w 1796 roku Optinę zastał ją zapuszczoną, drewniane domki pogniłe, a w nich tylko trzech czerńców ledwo mogących utrzymać razem ciało i duszę. Postanowiwszy ratować, naznaczył jej głową *jeromonacha* Abrahama, skromnego ogrodnika w pienoszkim klasztorze, w którym wyczuł talenta przywódcy i budowniczego. Odtąd zaczął się szybki rozwój Optiny, któremu kres miała położyć Wielka Październikowa. Posypały się dary, nawet car podrzucił 300 rubli i podniósł stan klasztoru do 30 braci. Mając oparcie w metropolicie Platonie i świeckich dobrodziejach, Abraham przykrócił rozhulanych sąsiadów, odrestaurował stary sobór i wywłaszczył zeń gnieźdzące się kawki, których wrzask i niechlujne obyczaje bezczęściły święte obrzędy, a naoczni świadkowie stwierdzili, że z tej okazji wywieziono ze świątyni kilka wozów ptasich gniazd. Co czyniwszy przystąpił do budowy dwu nowych cerkwi i zastępowania drewnianych ruder murowanymi budynkami. Rozkwitł kult Bogurodzicy, a szczególnie zasłynęła cudami ikona Kazańska (cudem odkryta i uzyskana od *pomieszczycy* Saburowej) królująca w nowej świątyni i uzdrawiająca dusze i ciała coraz liczniej ściągających pielgrzymów. Po niej osiedliły się tu i inne ważne Bogurodzice: Władimirska oznaczająca się bogatą sukienką, a także działająca cuda. Poślednich nie zliczyć, a co dopiero masy fresków ilustrujących życie i śmierć Matki Boskiej. Może był w tym wyższy rzeczy porządek, że ostatnią z serii ważnych Madonn kozielskich została ta polska i papieżnicka.

Gdy w roku 1817 świątobliwy starzec Abraham umierał w wieku lat 58, jego klasztor kwitł coraz bujniej, a dochody i majątek rosły bez zakłóceń. Wyprawa napoleońska przeszła bokiem i przyszłość zapowiadała się doskonale. Biskup Filaret z Kaługi, który szczególnie upodobał Optinę, założył w lesie nie-

opodal pustelnię św. Jana Chrzyciela, która z kolei jeła dostarczać wybitnych ihumenów macierzystemu domowi. Prócz świątobliwości oznaczali się niezwykłą u pustelników zapobiegliwością o rzeczy doczesne, toteż obok dóbr coraz szerzej rozrzuconych po kraju: pól, lasów, łąk, rybnych stawów, młynów i chutorów, w samym klasztorze przybływały nowe cerkwie i kaplice, murowane budynki „do życia” i „do gospodarstwa”, refektarze, gościnne domy dla pobożnych różnych kategorii, końskie *dwory*, szpital, biblioteka i wreszcie drukarnia tłocząca religijną literaturę, a mniejsze i większe Madonny otrzymały bogate sukienki. Coraz nowe zezwolenia podnosiły stan klasztoru i „element” też był coraz lepszy: w roku 1875 było 150 mnichów i nowicjuszy, a wszyscy piśmienni „z wyjątkiem dwu ślepych i jednego zgrzybiałego”, a pustelnia wstawiała się świętymi starcami, do których lud zbiegał się jak do proroków i cudotwórców. W wiek XX-ty zbójcecka fundacja wkroczyła jako jeden z ważnych klasztorów Imperium, z sześcioma murowanymi chramami, 133 mniachami i 168 nowicjuszami. Tym tragiczniejszy był jej upadek, gdy zabłysło Słonko Rewolucji.

Zjeżdżali tu znani ludzie, wśród nich pisarze. Bawił Gogol, Dostojewskij mieszkał w osobnym domku i za model starca Zosimy w *Braciach Karamazowych* miał mu posłużyć słynny ojciec Ambroży, do którego ciągnęły tłumy pobożnych i ciekawych. Był wśród nich Tołstoj, który odbywał z nim długie dyskusje na tematy religijne. Nawiedził klasztor cztery razy, ostatni raz przed samą śmiercią, co opisała Zofia Tołstoj (*Tołstowski jezdogodnik*, Moskwa 1913). Osobliwie wypadł drugi pobyt, w 1881, gdy pisarz przybył piechotą z Jasnej Polany (5 dni marszu) w „niebieskiej chłopskiej koszuli, kamizeli i łapciach. Przyjęli go ze zwykłym lekceważeniem za prostaka... dali maleńki, brudny pokój z pluskwami i przez nie napastowany nie mógł spać przez dwie noce, choć był zmęczony podróżą... Jadł w ogólnym refektarzu... kilku ludzi ze wspólnej miski”, ale wkrótce hrabiego rozpoznano i ugoszczono jak należy. U Anisimowa i Sorokina wersja tych wypadków jest o wiele barwniejsza i odpowiednio wroga Przeżytkom Religijnym, a własne wulgarnie poglądy na te sprawy próbują oni wmusić Tołstojowi. Jak jednak stwierdza żona pisarza, w rodzie Tołstojów Optina cieszyła się szacunkiem, który wpajano również dzieciom, pogrzebano tu dwie kuzynki, a Lew Nikołajewicz traktował starców z respektem.

Gdy Proletariat został Dyktatorem i jego ojczyzna przeszła do socjalistycznej fazy rozwoju, klasztor chcąc nie chcąc musiał się w nią włączyć. Jego Socjalistyczne Przeobrażenie zaczęło się w marcu 1918 roku, gdy zjazd sowietów kozielskiego *ujezda*

uchwalił wyłączenie *pomieszczyków* i przekazanie ziemi chłopom. W Optinie powstała komuna rolnicza, którą zlikwidowano w 1922 roku, zdaje się przez niedobitki mnichów, którzy — jak twierdzą autorzy *Kozielska* — próbowali ją obrócić we wspólnotę religijną. Na ziemiach klasztornych założono teraz sowchoz poświęcony hodowli bydła i sadownictwu, który bodajże istnieje dotąd. W samym klasztorze w latach 1927-30 mieściła się szkoła dla chłopskiej młodzieży, następnie dla sowchozowych dzieci, a także powstał tu dom wypoczynkowy im. Gorkiego. Uroczyście zaproszono w roku 1935 jego patrona, ale ten odpisał: „Nie mogę przyjechać, Maksymycz postarzał i słaby. Ale znam wasze strony i wraz z wami zachwycam się nimi. Rzecz główna: wykorzystać je dla dobra Człowieka”.

A więc wykorzystywano: jak widać, nasi jeńcy przyjęci zostali luksusowo, skoro umieszczono ich w pensjonacie, ale o tym epizodzie Anisimow i Sorokin nie wspominają. Następnym wypadkiem, o jakim nas informują, jest wtargnięcie do *Kozielska* faszystowskich drapieżników 8 października 1941 roku. Zachowywali się okropnie jak wszędzie, niczego nie uszanowali i nawet — strach powiedzieć — „trzymali konie w Błagowieszczeńskiej cerkwi”! Tak gospodarzyli 81 dni, a gdy wróciła w te strony sowiecka władza, w mieście powstał szpital wojenny, czemu zawdzięczamy ostatni, daj Boże, „polski” epizod w jego dziejach: mianowicie leczył się tu Kostia Rokossowski. Po Wojnie Ojczyźnianej Optina kontynuowała swą oświatową i wypoczynkową działalność. Założono w niej *dietdom* dla sierot wojennych, a gdy te dorosły, jego miejsce zajęło technikum rolnicze kształcące „traktorzystów-maszynistów szerokiego profilu”. Co dalej — nie wiadomo, warto tylko zaznaczyć, że (jak stwierdza *Ogoniok*, nr 17/1960) po wojnie *Kozielsk* wszedł w nową fazę ogólnej pomyślności: „Naród poweselał, ubrał się, w sklepach zjawiały się różne towary spożywcze i przemysłowe. Teraz już nie musi się ganiać po cukier, masło i kiełbasę do Kaługi albo nawet do Moskwy... Są towary w sklepach i bazar potaniał. Zajdziesz do piekarni — widzisz różne gatunki białego chleba”. Żeby już niczego nie brakło, także dla duszy, wychodzi gazeta *Kozielska prawda*, działa oddział Kałużskiego Wieczornego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu, Szkoła Ateizmu i szereg mniej wzniosłych instytucji naukowych, a dom kultury mieści się naturalnie w cerkwi, choć nie wiadomo, czy tej od koni.

Doprawdy: „Życ stało się jaśniejsze, weselej”.



Gościł u nas młody naukowiec z Polski o chwalebnie rozległych zainteresowaniach. Pożerał naturalnie trefną literaturę, od-

krył z niej istnienie obrazu Matki Boskiej Kozielskiej i zapragnął go widzieć, przy czym nie ukrywał wzruszenia na myśl o zobaczeniu rzeczy związanej, aczkolwiek pośrednio, z Katyniem.

W najbliższą niedzielę wiozę go do polskiego kościoła św. Andrzeja Boboli, sama go chętnie zwiedzę. Jakoś nie było dotąd okazji, choć dawno chciałam zobaczyć witraż ku czci gen. Andersa, który swego czasu wywołał tyle hałasu (i echo idzie dotąd), gdy na Pocytnych Łamach ośmielił się go skrytykować prof. Marian Bohusz-Szyszko. Fachową opinię podnieśiono do godności bluźnierstwa (co typowe dla naszej mentalności, gdy krytyka tak czy owak zatrąca o rzeczy kościelne, również i nie-dogmatyczne). Teraz przekonuję się naocznie, że jednak Profesor był bardzo oględny, bo witraż jest niezwykle szpetny, zapiera dech i ćmi oczy kakofonią skłóconych barw i linii. Panuje nad wnętrzem, w którym gdzieś skromnie przycupnął słynny obraz. Otóż to — gdzie?

Ludzi dużo, właśnie przerwa między mszami. Chodzimy tam i z powrotem i szukamy tego, o czym swemu gościowi już opowiedziałam. Znam obraz ze Środkowego Wschodu i lat powojennych, gdy tu rezydował w Brompton Oratory. Mam go w oczach: przeważa naturalny kolor lipowego drzewa, trochę wodnistych farb — niebieska, terakota, biała. Całość bardzo jasna. Szukamy więc, a on się dziwi: czemu rzecz tej rangi nie jest na głównym ołtarzu? Nie mam pojęcia i chcę pytać o drogę, gdy w mroku bocznej nawy dostrzegam jeszcze mroczniejszą wnękę, a w niej na ołtarzyku prostokątny, bardzo ciemny kształt. Już mam odejść, gdy oko wyławia z tej nocy znajome linie — czyżby to to? Może być, ale zmienione do niepoznanania, zasmarowane — o ile można w tych warunkach zgadnąć — ostrą czerwienią, szafirem, błękitem i pozłótką à la oleodruk. Właśnie przechodzi kościelny i zapewnia nas, że to Matka Boska Kozielska. Jakaś inna, może kopia? Nie, prawdziwa, Zielińskiego.

Masz niespodziankę! Kto to zrobił? Nie wie, to było dawno. Zachodzę w głowę: może sam autor? Ze wzmianek w prasie wiadomo, że Tadeusz Zieliński mieszka w Londynie i trudni się sztuką kościelną. Może stare drzewo ikonostasu potrzebowało konserwacji, trzeba było restaurować liche sowieckie farby? No tak, ale przeciętnie rozbagnięci ludzie rozumieją, co obowiązuje przy konserwacji obiektów historycznych, więc skąd ten karnawałowy kostium Kozielskiej Madonny? Nie, to chyba jednak nie autor obrazu — z tego, co o nim pisali, wiadomo że fachowiec. Więc kto?

Przychodzi grzebać w naszej makulaturze religijnej — i dalej nie wiadomo. Za to wypływają ciekawe szczegóły. Dostarcza ich pisemko *Marianum w służbie*, którego okładkę zdobi repro-

dukcja dzieła Zielińskiego i jeszcze innego obrazu Matki Boskiej, oba w otoczeniu napisu „Matka Boska Zwycięska z Kozielska modł się za nami”. Jednym słowem *dwie* Kozielskie Madonny!

Zaskakujące — ale zaraz: przypominam sobie, że przed laty na prowincji byłam świadkiem „nawiedzenia” tamtejszej polskiej parafii przez kozielski — jak zapowiedziano — obraz. Ludzie powszechnie znali obraz Zielińskiego z reprodukcji w prasie i obrazków, a wielu też z czasów wojny, tym większe było więc zaskoczenie, gdy ich oczom objawił się całkiem inny, malowany. Patrzyli po sobie, ale posłusznie modlili się, wyciągali portmonetki — Matka Boska ta sama, choć różne wersje. Jak to się stało, niech wyjaśni *Marianum*.

Pismo poświęciło szereg artykułów w nr. 5/6 (1967) i nr. 1 (1968) kozielskim Madonnom, ale wśród autorów rzuca się w oczy nieobecność źródła pierwszorzędnej wagi i chyba łatwo dostępnego — Tadeusza Zielińskiego. Dowiadujemy się, że twórcą Instytutu czy też Koła Religijno-Rycerskiego Marianum był we wczesnych latach 1930-tych Tadeusz Birecki z Wilna, który kontynuował swą religijną działalność jako jeńiec w Kozielsku (naturalnie z drugiego, po-katyńskiego rzutu) i że z tego kręgu pochodzą oba obrazy. Na zamówienie Bireckiego (czy w tych warunkach można coś „zamawiać”?) Zieliński wyrzeźbił swój obraz na desce ze starego ikonostasu, a za natchnienie posłużył sponsonowany fresk w jednej z klasztornych cerkwi przedstawiający cudami słynącą Matkę Boską z Żyrowic koło Słonimia, co by wskazywało na jakieś kontakty między mnichami z Optyny i unickimi bazylianami w Żyrowicach. Drugi obraz, też dla „Rycerzy”, miał namalować na płótnie Michał Siemiradzki, bratanek sławnego Henryka. Któż by pomyślał, że jeńcy mieli płótno, pędzle i farby! Po wyjeździe z Kozielska obraz Zielińskiego zdobył kaplicę sztabową w Buzułuku i Jangi-julu i z wojskiem opuścił Sowiety. Obraz Siemiradzkiego z częścią kozielskich jeńców trafił na półwysep Kola, wraz z nimi po „amnestii” do 5-tej dywizji i wreszcie do Jerozolimy. Obecnie, o ile wiem, znajduje się w parafii polskiej w Brighton.

Tyle *Marianum*. Po przeczytaniu artykułów czuję pewien niedosyt: czemu tak często wracają do autentyczności obrazu malowanego na płótnie, a nr 5/6 (1967) zamieszcza nawet formalne oświadczenie ks. N. Dubrawki z Joliet, Illinois, że był w Kozielsku naocznym świadkiem powstawania obrazu Siemiradzkiego? Po co to, jeśli fakt jest faktem?

Sprawa nie wydaje mi się błaha. Nie chodzi przecież o stronę kultową, o lojalności i preferencje czcicieli obu obrazów. To nie rozgrywki między rywalizującymi Madonnam na włoskiej prowincji. Rzecz ma znaczenie historyczne, ale obawiam się, że

za wiele bym chciała, gdy nawiedza mnie marzenie, że wreszcie miarodajni i bezpośredni świadkowie zechcą wyjaśnić trzy kwestie dla nas i dla potomności:

— Czemu obraz Siemiradzkiego jest tak mało znany, skoro jest równie autentyczny jak obraz Zielińskiego?

— Kto i na jakiej podstawie zdecydował maskaradę obrazu Zielińskiego?

— Czemu tak cenna pamiątka religijna, historyczna i patriotyczna w sercu polskiego Londynu (tego, który wreszcie doprowadza do realizacji budowę pomnika katyńskiego, aczkolwiek z napisem tak wypranym z treści, że od biedy mogłaby go zaaprobować Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa) jest od lat ukrywana w ciemnym kącie?

A przy tym, Panie Redaktorze, chciałabym jeszcze czegoś, choć to już zbytek bezczelności: żebyśmy choć raz zachowali się w tych sprawach jak ludzie kulturalni i, miast rozdierać szaty z wrzaskiem „bluźni”...

Grażyna NOWAK

Apel POSK-u

Każda polska organizacja czy instytucja, każde przedsiębiorstwo i każda osoba może pomóc w miarę swych możliwości:

- stając się członkiem POSK'u, wpłacając jednorazowo £ 10;
- stając się fundatorem POSK'u wpłacając jednorazowo £ 250 lub po £ 50 rocznie lub po £ 1-25 miesięcznie przez pięć lat. Po wpłaceniu całej sumy otrzymuje dyplom Fundatora POSK'u i nazwisko zostanie umieszczone na pamiątkowej tablicy Fundatorów POSK'u w gmachu POSK'u;
- wpłacając dobrowolny dar każdej wysokości;
- członkowie POSK'u wpłacając dodatkowe udziały po £ 10;
- fundatorzy POSK'u podnosząc swoje wpłaty;
- organizując imprezy na POSK;
- SPORZĄDZAJĄC ZAPISY TESTAMENTOWE NA POSK.

Czeki, P.O., M.O. prosimy wystawiać na POSK i przesyłać do: POLSKIEGO OŚRODKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO, 9 PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7. INB.

Członkiem fundatorem POSK'u może być każda osoba, małżeństwo, przedsiębiorstwo, organizacje zbiorowe.

Członkostwo i fundatorstwo może być wielokrotne.

Straty kultury polskiej

Antoni Słonimski i jego ojczyzna

W krótkim nekrologu zamieszczonym przez Redakcję *Tygodnika Powszechnego* zaraz po śmierci Antoniego Słonimskiego, czytamy: „Ponad pół wieku jego utwory towarzyszyły dziejom Polski. Księga jego twórczości... obecna będzie... nie tylko na półkach bibliotek, ale i w rękę nieprzeliczonych rzesz czytelników współczesnych i przyszłych. Pewność, że tak się stanie płynie nie tylko z przekonania o artystycznej i intelektualnej randze spuścizny po Antonim Słonimskim, ale również z świadomości jak dużą ma ona wartość moralną. Był człowiekiem odważnym i prawym, oddanym do końca swych dni sprawie humanizmu w najlepszym jego kształcie. Wiara w niezwykłą i wrodzoną godność człowieka oraz płynące z niej konsekwencje dla życia indywidualnego i społecznego, wycisnęła szlachetne piętno na wszystkim co pisał i czynił”.

Tak pisze o zmarłym pismo bliskie Prymasa Polski, jedyny w kraju głos wierny aspiracji tego *pays réel*, który w ustroju ludowej demokracji nie ma możliwości aspiracji swych ani sformułować, ani tym bardziej głosić, gdyż sejm, sądownictwo, związki zawodowe, masowe środki przekazu, nie reprezentują obywateli, nie odzwierciedlają opinii publicznej, a wręcz przeciwnie służą utwierdzeniu władzy warstwy rządzącej, polskiego *pays légal*. Można zatem sądzić, że ten hołd oddany Słonimskiemu odpowiada miejscu na jakie sobie zasłużył (nie wahajmy się przed tym określeniem) „w oczach Narodu”.

Ale czy młody czytelnik *Tygodnika Powszechnego*, robotnik, chłop czy nawet student, nie znający dobrze dziejów Polski i jej literatury w latach międzywojennych, nie odniesie wrażenia czytając ten nekrolog, że taką właśnie pozycję miał Słonimski nieprzerwanie w naszym kraju „ponad pół wieku”? Czy może odgadnąć, że Słonimski był przed wojną zniechęcony przez ruch utożsamiający się właśnie z „Narodem” i przez olbrzymią większość katolickiego kleru i katolickiej opinii?

Odpowiedź na ten rzekomy paradoks znajdziemy w wierszu Słonimskiego z 1938 roku, który tu trzeba zacytować w całości:

DWIE OJCZYZNY

*W Twojej ojczyźnie karki się zgina
Przed każdą władzą,
Dla zwyciężonych — wzgarda i ślina,
Gdy ich na kaźń prowadzą.*

*W Twojej ojczyźnie, gdyś hołdy składał
Przed obce trony.
W ojczyźnie mojej, jeśli ktoś padał,
To krwią zbroczony.*

*W ojczyźnie Twojej do obcych w wierze
Bóg się nie zniża.
Moja ojczyzna świat cały bierze
W ramiona krzyża.*

*W Twojej ojczyźnie sławnych portrety,
Tom w etażerze.
W mojej ojczyźnie słowa poety
Oprawne w serce.*

*Chociaż Ci sprzyja ten wieczór mglisty
I noc bezgwiezdna,
Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,
Jeśli jej nie znasz?*

Wiersz ten zwrócony wówczas przeciw barbarzyństwu endecyjskich bojówek, przeciw Ciemnogrodowi zachowuje dziś całą swą aktualność, z tym, że należy kaźnie Hitlera zastąpić kaźniami Stalina, „Boga” zaś spaczoną ideologią. Ostatnia zwrotka spaja oba okresy jedną klamrą, gdyż to nie endecy wygnali w latach 1968/1969 tyłu Polaków żydowskiego pochodzenia czy (żeby zacytować świetne sformułowanie Józefa Lewandowskiego) „Żydów polskiego pochodzenia” z tej ziemi ojczystej, ale komunistyczna władza, która istotnie ową ziemię znać przestała. Nie było zatem „dwóch Słonimskich”, ale były i są „dwie ojczyzny”, jedna tolerancyjna, ale walcząca z niesprawiedliwością, druga fanatyczna i oportunistyczna zarazem, z tym że o przynależności do jednej, albo do drugiej stanowią bardziej rodowody moralne niż ideologiczne.

Antoni Słonimski wcześniej przeczuwał, że miał się stać w Polsce „Gwelfem dla Gibelinów, Gibelinem dla Gwelfów”. Świadczy o tym choćby ten wczesny, krótki wiersz z roku 1920:

BUNT

*Że się me serce byle czym przeczula
I że mam w słowach pasję oczywistą,
W monarchii będę rewolucjonistą,
A w republice będę wielbił króla.*

Nie chodzi tu, rzecz jasna, o zwykły *esprit de contradiction*, i należy to rozumieć głębiej, pod „Monarchią” podstawiając spaczenie tradycji, pod „Republikę” spaczenie rozumu. Walka Słonimskiego z „Monarchią”, to jego niezgoda na wyzysk, ucisk, nierówność społeczną, rasizm w przedwojennej Polsce. Walka Słonimskiego z „Republiką”, to jego odważna postawa, od roku 1955, wobec ustroju który pogardza jednostką, przeczy źródłom sztuki i mitu i zastępuje je sakralizacją ideologii wyprowadzonej z racjonalizmu, co równa się wypaczeniu obu stref świadomości i poznania, jak i „odrzeczywistnieniu” ludzkiej egzystencji. Nic dziwnego, że w piśmie bardziej dla owej „Republiki” oficjalnym, jakim jest „Literatura”, czytamy we wspomnieniu o Słonimskim, że „szydził z głupoty i obskurantyzmu, piętnował nietolerancję, tępił przejawy faszyzmu i rasizmu, głosił przewagę rozumu i wolnej myśli”, zaś jego lata powojenne skwitowane są dyskretnym żalem nad czasem „gdy błędził, gdy zmęczonym wzrokiem widział już nie dość przenikliwie”.

W „Monarchii” służył Słonimski rozumowi. W latach „Republiki” odkrył natomiast to, co Leszek Kołakowski (którego tak lubił i cenił) nazwał „obecnością mitu”. Zawsze ciekawy postępów nauki i technologii, napisał Słonimski dwa wiersze o podobnym założeniu, które oddziela ćwierć wieku i które się nawzajem uzupełniają. Pierwszy to z roku 1935, „DOKUMENT EPOKI”:

*W puszcze ołowiu zostaną konserwy.
Śliska błona filmowa „Dziennik Paramountu”.
Skok z piętnastego piętra. Nowy tank. Manewry.
Prawdziwy trup Chińczyka z mandzurskiego frontu.*

Następuje seria innych zbrodniczych czy absurdalnych migawek z owych lat i wreszcie ostatnia strofa:

*Nowy pancernik wypływa ze stoczni.
Zboże się pali, kawa w morze leci.
W przyszłości, gdy się taki obraz uwidoczni,
Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw.*

Kanwą wiersza z roku 1959 pt. „NIEPOGODZONY” jest tym razem inny, bardziej nowoczesny dokument:

Szybko cofnięta taśma dyktafonu
 Słów naszych szyk umowy rzuca w nieistnienie,
 W galopujący bełkot. Gdy patrzę na smugę
 Światła i cieni nie widząc ekranu,
 Niepogodzony z bezsenssem istnienia,
 Czy zdołam znaleźć jeden punkt, z którego
 Można by obraz i dźwięk chwycić pełny?

Z dalszego ciągu tego wiersza jasno wynika, że poeta nie poprzestaje już na wierze w rozum i postęp, że stawka o którą mu chodzi jest innej natury:

Niepogodzony z bezsenssem istnienia
 Choćbym zdołał pochwycić wszystkie pozaziemskie
 Fale, obrazy, słowa, melodie i znaki,
 Co przenikają mury, jak duch Króla-Ojca,
 Prostudusznym Bernardem będę, nie Hamletem,
 Który umiał odczytać wezwanie zza świata...
 Niepogodzeni z bezsenssem istnienia,
 Z krzywdą i zdradą, lękiem i cierpieniem,
 Duchom podobni, dzwoniąc tańcuchami,
 Przenikamy przez mury nowych Elsinorów,
 Aby zbrodnię prawdziwym nazywać imieniem,
 Straszyc warty królewskie i przemijać cieniem...

Tego rodzaju serii, idących od prób oparcia pasji moralnej na racjonalizmie do uznania niezbędnej potrzeby oparcia wartości na innych podwalinach jest w poezji Stonimskiego wiele. Był on, rzecz prosta, zawsze zafascynowany tworzywem jakim są dla poety słowa; w roku 1923, w wierszu „RYMY” pisał jeszcze żartobliwie:

Sądzę, że każdy mi to z panów przyzna,
 Że inaczej by poszła droga poetycka
 Gdyby na przykład do słowa „ojczyzna”
 Nie było rymu „blizna” i „mielizna”,
 Lecz — dajmy na to — „sól attycka”.

W roku 1946 pisał w wierszu „SŁOWA”:

Jak ksiądz, co wiarę stracił, a jeszcze powtarza
 Słowa niegdyś mu święte, klęcząc u ołtarza...
 Tak ja te słowa składam, powtarzam nieszczerze
 Święte słowa młodości, w które już nie wierzę...

Piszę: rozum i miłość, i w tle za słowami
 Światła szukam, a tylko mrok mam przed oczami.
 I na próżno tę ciemność chcę wygnąć sprzed powiek,
 I nie mam innej broni, jak to słowo: człowiek.

Jeśli niegdyś chciał rymować słowo „ojczyzna” ze szczyptą attyckiej soli, jakże inna jest jego postawa w napisanym niemal czterdzieści lat później wierszu „LAMUS” (1959):

Ach, wrócić do lamusa, wrócić na poddasze.
 Wydobyć z zapomnienia, ze stosu szarzyzny
 Poczciwe słowa „prawość” i „miłość ojczyzny”.
 Pozostać w słowach dawnych, bo to słowa nasze,
 Jak w ubraniach ubogich, czystych, choć niemodnych...

Inną jeszcze serię stanowią wiersze w których poeta stopniowo oddala się od młodzieńczych rojeń o internacjonalizmie. W wierszu „PIORA” z roku 1923, łudził się jeszcze Stonimski, że ma naturę kosmopolity:

Wszędzie odnajdę mą ziemię ojczystą,
 Każdy chleb będzie mym rodzinnym chlebem.

Ale już w 1938 roku pisze w wierszu „DO PRZYJACIOŁ
 W ANGLII”, którzy namawiają go do wyjazdu z Polski, gdzie wznagają się ataki na niego, gdzie został pobity przez oenerowskich bojówkarzy:

W mieście moim rodzinnym czasami jak złodziej
 Pod ścianą biegnę chyłkiem, ścigany kamieniem.
 Dlaczego nie przyjeżdżam i nie mieszkam z wami?
 Smutna to jest historia. Osądzcie ją sami.
 Może Niemiec porzucić swój kraj, jeśli woli
 Może nim gardzić, bo go nie widział w niewoli.
 Ale jak nam uciekać, nam którzy wolności
 Kraju swojego długo czekali w młodości,
 Nam, którzy z dawnych Polaków cierpieniem
 Jedną żyli rozpaczą i jednym marzeniem.

O powrocie poety do Polski z wojennej emigracji zdecydowało właśnie to głębokie przywiązanie do rodzinnej mowy i rodzinnego miasta. W wierszu „ADRES” (1958) ten motyw wsparty jest już nowym zaangażowaniem moralnym i politycznym. Prosi w nim przyjaciół z Zachodu, aby go nie szukali za granicą:

Inne mi dano miejsce pobytu,
 Przepisz pozostałe litery
 Z pism zesłowiecznych zeszytu
 I zaadresuj: Warszawa-Jesień
 I datę postaw: listopad czy wrzesień.
 List dojdzie.

O najgorszych latach stalinizmu i swojej wówczas postawie miał później napisać poeta prosto i szczerze:

„Że byłem kiedyś małoduszny
 Że kiedyś brakło mi odwagi
 I że milczałem wbrew sumieniu
 Umierający chcę być nagi
 Chcę zrzucić z siebie ciężar duszny
 I raczej spocząć w zapomnieniu.

W pięknej homilii wygłoszonej podczas Mszy żałobnej poświęconej Słonimskiemu w kościele Św. Krzyża 8 lipca 1976 roku przypomniał ks. Jan Twardowski ten wiersz i ciągnął:

„Tak pisał poeta, ale chyba nie o sobie. Niepodobna o nim zapomnieć. Przecie Ojczyzna — to naród i groby, a jeśli naród traci pamięć — traci życie”.

Odwagą, rozumem i niezawodnym zmysłem moralnym zasłużył Antoni Słonimski — wybitny poeta, dramaturg, kronikarz, na naszą wdzięczną, serdeczną pamięć. Ale dobrze również świadczy o narodzie i dobrze rokuje na jego przyszłość, że na jednego ze swych czołowych przywódców duchowych w czasach „nocy bezgwiezdnej” wybrał poetę i filozofa pełnego tolerancji i humoru, racjonalistę, który siłą rozumu przejrzał ograniczenia właskiego racjonalizmu i doszedł do określenia swej postawy tymi słowami parafrazując Kanta: „Niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie, ale także niebo gwiazdziste we mnie, a nade mną prawo moralne”.

K. A. JELEŃSKI

Uwaga! Uwaga! NOWY ADRES :

Polska Księgarnia Wysyłkowa — Polish Book Store

FRANCISZEK ORZECZOWSKI
 Slavonic BOOKS

2036 Chestnut Street, Philadelphia, Pa. 19103. USA.
 Telefon: 215-96-30-120.

Posiada na składzie wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych, Wiadomości londyńskich, Aneksu i Krzyżówki*. Rozszerza usługi na języki słowiańskie i bałtyckie (wydawcy proszeni są o oferty i katalogi).

ANTYKWARIAT kupuje stare polskie książki, obrazy, monety, medale.

Katalogi na żądanie.

Kronika kulturalna

Rozważania o literaturze zwanej emigracyjną (6)

London w okresie wielkich kryzysów politycznych (1941-1945)

Do daty zawarcia umowy Sikorski-Majskiej (30. VII. 1941) pisarzy polskich poza Krajem obowiązywała niemal jednakowo rozumiana postawa niepodległościowa, której fundamentem było przeświadczenie o konieczności i możliwości powrotu do granicy wschodniej z roku 1939. Liczono na unieważnienie umowy Ribbentrop-Mołotow i będącego jej konsekwencją wrzesniowego rozbioru Polski, którego przypieczeniem były sławetne „plebiscyty” sowieckie. W roku 1941 „napaść hitlerowskich Niemiec na ZSSR” dorzuciła Aliantom „sojusznika” równie potężnego jak kłopotliwego. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rosją przez Rząd gen. Sikorskiego stworzyło nową sytuację przyjętą z miejsca z poważnymi znakami zapytania przez znaczny odłam opinii publicznej nie dającej się uspokoić wymijającymi istotę problemów zapewnieniami. W środowisku londyńskim zawrzało. W narastających z każdym dniem konfliktach odegrali ważną, niemal decydującą rolę pisarze o znanych ogółowi nazwiskach, którzy wystąpili w roli publicystów politycznych na łamach *Wiadomości Polskich* i w licznych pośpiesznie wydawanych broszurach. Głosy ich docierały szerzej od wypowiedzi wrzesniowych politycznych publikowanych w pismach poszczególnych stronnictw. Dlatego trudno jest oddzielić literaturę od publicystyki politycznej w tym właśnie okresie, choć było to możliwe wcześniej (1939-1941), gdy pisarze nie angażowali się bezpośrednio w wielkie spory o właściwą strategię w kampanii wrzesniowej, winę za klęskę czy niefortunne posunięcia rządowe.

Wczesną, jeśli nie najwcześniejszą, reakcją na „ugodę czy rozejm polsko-rosyjski” był artykuł Zygmunta Nowakowskiego pt. „Kiwerowa Górka” ogłoszony w *Wiadomościach Polskich* już

10 sierpnia 1941 roku tj. w 11 dni po zawarciu umowy Sikorski-Majskij. Tytuł artykułu nawiązywał do tzw. rozejmu w Kiwerowej Horce pod Jamem Zapolskim z roku 1580, który — jak określił to prof. Konopczyński „na cały wiek powściągnął moskiewskie parcie ku ujściu Dźwiny, ale nie rozstrzygnął całej kwestii inflanckiej”, był rozwiązaniem połowicznym i na daleką przyszłość niebezpiecznym. Za jedyny pozytywny aspekt obecnej umowy uznał Nawakowski szansę uwolnienia zesłańców przebywających jeszcze wówczas „loco tajga czy loco step”. Obok artykułu, w głosach prasy angielskiej, przytoczono wypowiedź amb. Majskiego, który bez ogródek oświadczył, że sprawa granic będzie uregulowana „gdy nadejdzie czas budowania nowej Europy na zasadzie samostanowienia narodów”.

Reakcja tzw. „Strattonu” na artykuł Nowakowskiego była piorunująca. W jesieni tegoż roku Fundusz Kultury Narodowej wstrzymał wypłacaną dotąd *Wiadomościom* subwencję miesięczną w wysokości £. 113 a redakcja została odpowiednio skarcona, co tylko pobudziło ją do dalszego dociekania prawdy o istotnym znaczeniu paktu. Z musu podwyższono prenumeratę, ale nie wpłynęło to ujemnie na popytność tygodnika, który rozchodził się w nakładzie ok. 7.000 egz. — i tylko ograniczenia w przydziale papieru nie pozwoliły na dalsze jego zwiększenie.

Z perspektywy już ponad trzydziestolecia wyłania się jasno jak drastycznie różne były oceny sytuacji politycznej na sprawę rosyjską. Tak np. W. A. Zbyszewski sądził w roku 1940, że Polacy są w stanie „złamać imperializm rosyjski”. „Zrobiliśmy to w roku 1920 — my sami jedni” (*Wiadomości Polskie*, Nr 29, 1940). Ksawery Pruszyński spodziewał się w lecie 1941 roku rozbicia Związku Sowieckiego przez Niemców, w czym widziałby „dobrze zasłużoną karę”. Nie tylko Mackiewicz, ale i... Stonimski sądzili, iż byłoby najlepiej gdyby „cała siła wojskowa Europy mogła skupić się w ręku niewątpliwego *gentleman'a*, jakim jest król angielski” (*Wiadomości Polskie*, Nr 21, 1940). Nieliczni tylko politycy czystej krwi, jak np. Ciołkosz, wcześniej dostrzegli zaród przyszłych dramatycznych konfliktów, atakując sowiecką wersję „samostanowienia narodów”. Możliwości niekorzystnej dla Polski interpretacji umowy Sikorski-Majskij stwierdzili na gorąco Stanisław Mackiewicz i Ignacy Matuszewski, domagający się odważnie odsłonięcia całej prawdy bez kurtuazyjnego przesłaniania jej, by nie drażnić Wielkiej Brytanii. Ale nawet tak wytrawny polityk jak Herman Lieberman łudził się, że podpisanie umowy przekreślało pakt Mołotow-Ribbentrop i unieważniało zabór wrześniowy.

Koła rządowe starały się przesunąć punkt ciężkości na ratowanie ludzi już zwolnionych i dalsze poszukiwania pozostałych a w szczególności oficerów, którzy — jak okazać się miało w niedalekiej przyszłości — spoczywali już snem wiecznym w sąsiedztwie obecnego pomniczka ku pamięci „niewolników polskich” wymordowanych w Katyniu.

Początkiem gwałtownej wymiany poglądów były reportaże

z Rosji Ksawerego Pruszyńskiego. Podchorąży z Coëtquidan, uczestnik kampanii norweskiej, opuścił w roku 1941 Anglię przeobrażony przez prof. Kota w pracownika Biura Prasowego Ambasady Polskiej. Ambasador Kot, który oczekiwał od niego reportażowej wersji wydarzeń. Pruszyński był w Rosji przez niecały rok, uruchomił tygodnik „Polska”, ukazujący się od grudnia 1941, przechorował się na tyfus płamisty — a po powrocie do Londynu zaczął ogłaszać w *Wiadomościach* cykl artykułów o doświadczeniach z okresu udziału w pracach „ekspedycji ratowniczej”, jaką była w jego pojęciu Ambasada. Zanim zaczęły się ukazywać owe reportaże niejedno się jednak w Londynie odmieniło.

Nie tylko zresztą w Londynie. Krąg pisarzy przebywających w wolnym świecie poszerzył się i wzbogacił na skutek zwolnienia z więzień i łagrów sowieckich kilkudziesięciu autorów, co zasadniczo zmieniło obraz ogólny literatury poza Krajem. Wśród owych „suplementów” byli m.in.: Zdzisław Broncel, Władysław Broniewski, Józef Czapski, Marian Czuchnowski, Waclaw Grubiński, Gustaw Herling-Grudziński, Anatol Krakowiecki, Herminia Naglerowa, Beata Obertyńska, Teodor Parnicki, Halina Pilichowska, Wiktor Weintraub i wielu innych. Wszyscy oni włączyli się do współpracy w pismach wydawanych w wolnym świecie i podjęli dalsze inicjatywy na ruchomych miejscach postoju.

Nawiązali nadto kontakty z Londynem pisarze rozrzucony po różnych krajach, a więc np. Kazimiera Hłakowiczówna (Węgry), Józef Łobodowski (Hiszpania), Marian Hemar (ówczesna Palestyna), Melchior Wańkiewicz (j.w.), Jerzy Stempowski (Szwajcaria), Jerzy Paczkowski (Francja) i in.

Na terenie ZSSR pismom reprezentującym stanowisko londyńskie przeciwstawiły się służalcze wydawnictwa Związku Patriotów Polskich: *Nowe Widnokreśli* i *Wolna* (sic!) *Polska*. Pierwsze z nich zaczęło wychodzić już w roku 1941 we Lwowie i przetrwało, wydawane w Moskwie, do stycznia 1946. Wśród współpracowników „Nowych Widnokreśli” figuruje szereg nazwisk pisarzy czynnych następnie w Kraju a więc: Jerzego Borejszy, Mieczysława Jastruna, Tadeusza Peipera, Juliana Przybosia, Jerzego Putramenta, Lucjana Szenwalda, Adama Ważyka i innych. (*Nota-bene* pismo jest dziś w Kraju raczej przemilczane a bibliografia jego zawartości nie została bodaj dotąd ogłoszona).

W Londynie wytworzyła się na przełomie 1941/42 sytuacja dość osobliwa i bardzo powikłana. *Wiadomości Polskie* a zwłaszcza ich rzeczywisty redaktor, Mieczysław Grydzewski, niemile były widziane w kołach rządowych a ich rzekomo prostanacyjny charakter nie przypadł w szczególności do smaku prof. Kotowi, mającemu zasadniczy głos w sprawach prasowych. Powodem tej niechęci były ponadto częste na łamach pisma protesty przeciw cenzurze i ograniczeniom wolności słowa a przede wszystkim ostra krytyka polityki oświatowo-kulturalnej Rządu w cotygodniowych felietonach Zygmunta Nowakowskiego, podpisującego *Wiadomości* w charakterze oficjalnego redaktora. Wszem wobec

głosił on przecież do niedawna, że gen. Sikorski wyruszył we wrześniu 1939 roku ze Lwowa do Paryża za jego radą. To należało już do przeszłości. Obecnie „Nowakosio” reprezentował niewygodną Generałowi opozycję.

Krnąbrnym *Wiadomościom* postanowiono wówczas przeciwstawić pismo literackie „prorzadowe” wydawane przy pomocy rządowej. Oficjalna wersja głosiła, iż będzie to miesięcznik, wchłaniający materiały, które nie mogą pomieścić się w *Wiadomościach* lub których autorzy szukają możliwości polemiki z „gwiazdoram” tego tygodnika.

Redaktorem tego nowego miesięcznika został Antoni Słonimski, czynny na łamach *Wiadomości* do połowy lipca 1941 roku tj. do czasu podpisania umowy Sikorski-Majskij. Ostatnim i wymownym śladem jego kontaktów z pismem Grydzewskiego jest zamykający ostatecznie współpracę a ogłoszony w październiku 1941 roku wiersz pt. „Pozdrowienie dla Władysława Broniewskiego” zakończony strofą:

*„Twoje to będzie dzieło i tobie podobnych,
Że się z gruzów podźwignie znów Rzeczpospolita,
Że na gruzach Warszawy, na zgłiszczach żałobnych
Nasz Londyn waszą Moskwę po polsku przywita”.*

Tu przypomnieć wypada, że Słonimski, jako autor „Alarmu” i Skamandryta, który nie wyruszył (choć mógł) za Ocean lecz pozostał w Londynie pod bombami, cieszył się (podobnie jak Baliński) wielką popularnością, popartą wrodzoną mu umiejętnością nawiązywania kontaktów z otoczeniem. W pierwszym roku londyńskich *Wiadomości* należał do czołowych nie tylko poetów ale i esecistów, których nazwiska decydowały o fantastycznym wprost powodzeniu pisma. W *Walce o mgłę* w nrze z 2 marca 1941 roku deklarował się jako przeciwnik wpływów zarówno komunistycznych jak hitlerowskich, „pisarz lewicowy i raczej sympatyk P.P.S.” i snuł marzenia o przyszłej („nowej”) Polsce, stanowiącej ważny element „wielkiego zjednoczenia Europy nie rozdartej granicami”. W ostatnim dłuższym artykule pt. „O wojnę ludów” (13. VII. 1941), tuż przed wycofaniem się z *Wiadomości* wypowiadał pogląd, iż głównym celem toczącej się wojny „musi być troska o człowieka”. „Piszemy o nędzy sowieckiej, o deportacjach — dowodził — ale nie mówimy o rzeczy od prześladowań niebezpieczniejszej — o życiu które kształtuje młodzież polską pod władzą komunistyczną”. „Jedna jest tylko siła moralna — ciągnął dalej — która nie wchodzi w żadne kompromisy ani z nikczemnym egoizmem prohitlerowskim, ani z barbarzyństwem bolszewickim. Tą siłą jest socjalizm i humanitarny demokratyzm anglo-amerykański”. Widział także alternatywę negatywną. Że oto „bolszewizm zaleje Europę wyniszczoną wojną i wraz z hasłami pokoju nieść będzie hasła społeczne. Komunizm rosyjski sięgnie po władzę nad światem, i wielkie dzieło przebudowy łatwo może wpaść w ręce ponurych sowieckich totalistów”...

Po artykule tym, który mógłby ukazać się jako manifest redakcyjny otwierający *Nową Polskę* Słonimski zamilkł na pół roku a w kwietniu 1942 ukazał się pierwszy zeszyt redagowanego przez niego miesięcznika. Pismo służyć miało „polskiej myśli demokratycznej i postępowej”, co współpracownicy interpretowali, że tak powiem, „po staremu”. Jako sygnał aprobaty rządowej ukazał się na pierwszym miejscu artykuł prof. Kota o „Nauce polskiej w okresie rozbiorów” — polska wersja odpowiedniego rozdziału doskonałej broszury tego przecież nie tylko kiepskiego polityka ale i wielkiego uczonego — „Five centuries of Polish science and learning”. Sam Słonimski ograniczył się do ogłoszenia fragmentu dramatu wierszem pt. „Profesorowie” — i do końca ogłaszał w *Nowej Polsce* zadziwiająco mało.

Mocną stroną pisma była jego część czysto literacka. Tu znalazły się pierwodruki długich fragmentów „Kwiatów polskich” Tuwima, powieści Kuncewiczowej „Zmowa nieobecnych”, „Srebrnych orłów” Parnickiego, dramat Stefani Zahorskiej „Smocza 13”, „Cud biednych ludzi” Hemara, najlepsze opowiadania Pruszyńskiego (który tu drukował „Matkę Boską Mikulińską” a w *Wiadomościach* najbardziej kontrowersyjne artykuły), cykl opowiadań krakowskich Karola Estreichera, który złożył się na tomik „Nie od razu Kraków zbudowano”, — fragmenty wymyślnej prozy Stefana Themersona („Wykład profesora Mmaa”) i w in. Tu także Józef Czap.(ski?) drukował „Dwa spotkania” a Topolski reprodukował genialny rysunek „Polacy w Rosji. Wrzesień 1941”. Słynny wiersz Broniewskiego „Kasztan” o drzewie pod oknem więzienia lwowskiego ukazał się tu także, wespół z wielu innymi. Wspomnienie Ksawerego Pruszyńskiego o aresztowaniu Ehrlicha i Altera kończyło się wymownym zdaniem: „Wyszli w ciemną, grudniową rosyjską noc. Nie mieli z niej wyjrzeć już nigdy”.

Nim zorientowałam się lepiej w sytuacji, po późnym przybyciu do Anglii w lecie 1942 roku, gdy *Nowa Polska* wychodziła już obok *Wiadomości*, wytworzyłam sobie przekonanie, iż moje opowiadania („Od Tążyny”, „Woda z Niemna”, „Maj w Krzemieńcu”) nadają się właśnie na łamy *Nowej Polski*, podczas gdy do *Wiadomości* pisać należy artykuły typu „Biblioteki polskie pod okupacją niemiecką”. Jest to jednak miarą rzucającego się upolitycznienia się *Wiadomości* dawniej „Literackich” a w Londynie „politycznych i literackich”.

Z przytoczonych przykładów, a mogłoby ich być znacznie więcej, wynika, że *Wiadomości Polskie* i *Nowa Polska* opierały się na zbliżonych zespołach współpracowników, ogłaszających swe utwory zależnie od stanu tek redakcyjnych, rozmiarów utworu — a nawet rodzaju ilustracji. *Wiadomości* reprodukowały np. materiały fotograficzne, *Nowa Polska* nęciła rysunkami Janiny Konarskiej, Feliksa Topolskiego, Stefana Themersona i Ad. Kossowskiego. Numer *Nowej Polski* zamykający rok 1942, przyniósł obok artykułu Edwarda Raczyńskiego pt.

„O nową politykę europejską”, przemówienie Sir Stafford Crippsa o „Rozwoju chrześcijaństwa” i na wstępie, kursywą, niemal modlitwą z „Książ narodu i pielgrzymstwa” z wymownym wezwaniem: „Módlmy się, aby nam danem było dożyć nowej wiosny ludów, owej chwili rzadkiej w dziejach, gdy w blasku objawionej prawdy ginie małość i nienawiść, gdy niebo i ziemia drży od gromów a serca ludzkie przrenika dreszcz nowej wiary i nowej nadziei”. Poza niepokojąco częstymi apostofofami do „nowego” trudno było wówczas dopatrzeć się zapowiedzi dalszego biegu wypadków. Mogły to być przecież aluzje do amerykańskich wizji powojennego świata, których roztrząsaniu poświęcała *Nowa Polska* wiele miejsca.

Tymczasem na widowni pojawił się znowu Ksawery Pruszyński. W *Wiadomościach Polskich* z 4 października 1942 r. ukazała się zapowiedź serii reportaży z Rosji z wrażeniami z rocznego pobytu w Kujbyszewie. Artykuł pierwszy pt. „Wobec Rosji” wysuwał, w powołaniu się na koncepcje Dmowskiego wyraźnie aprobowane przez Pruszyńskiego, wizję przyszej Polski opartej o „niebieską Odrę i szary kaszubski Bałtyk”, z „zachodnią częścią Prus Wschodnich”, polskim Wrocławiem i Opolem. Zdaniem Pruszyńskiego „Dmowski byłby najlepszym naszym ambasadorem w Rosji. Jego wyjazd tam wywołałby nieopisaną wściekłość Berlina, zmusiłby Niemcy do wielu, wielu rzeczy”, „świat by się przyzwyczajał do myśli, że nasza granica zachodnia z traktatu wersalskiego była krzywdą nie dla Niemiec, ale dla Polski”. Sądził iż obudzona na skutek toczącej się wojny rosyjska „nienawiść do Niemców, to uczucie nowe, masowe i szczególnej mocy. Zapada ono bardzo głęboko w ziemię rosyjską: będzie ono posiewem pod bujny, historyczny plon”, gdyż „użyźnia glebę pod porozumienie” z Polakami.

Artykuł Pruszyńskiego wywołał spontaniczną ripostę Zygmunta Nowakowskiego w formie apelu do „Kochanego Ksawerego” z próbą uświadomienia mu złowieszczym podtonem umowy Sikorski-Majskij. W ślad za Nowakowskim tezy artykułu zakwestionowali: Zbigniew Grabowski, Tadeusz Kiersnowski, Krzysztof Nienaski (= W. A. Zbyszewski), Władysław Wielhorski, Ryszard Wraga (= Jerzy Niezbrzycki) a nawet, w pierwszej fazie, Stanisław Grabski, stojący jeszcze twardo na gruncie traktatu ryskiego. Słusznie przeto pisze Ciołkoszowa (w rozdziale o publicystyce „Literatury polskiej na Obczyźnie”, II, 179), że „linia podziału przeszła przez wszystkie polskie ugrupowania polityczne, stąd w publicystyce emigracyjnej tego okresu zajmowali odmienne stanowiska i zwalczali się wzajemnie ludzie z tych samych stronnictw politycznych, zaś bronili identycznych postulatów w zakresie stosunków polsko-sowieckich publicyści, których poglądy we wszystkich innych sprawach nie tylko różniły się, ale wręcz były sobie wrogie”. Przy optymistycznej interpretacji umowy stało otoczenie gen. Sikorskiego i jeszcze po latach starali się jej bronić Stroński i Kukiel, ten ostatni w dyskusji na temat znaczenia terminu „amnestia” użytego w stosunku do

deportowanych do Rosji członków Polskich Sił Zbrojnych z kampanii wrześniowej. Niebezpieczeństwa widział jasno Ignacy Matyszewski (artykuł „Wola Polski” w *Wiadomościach Polskich*, nr 81 z 1941 i „Zasady” w nowojorskim *Nowym Świecie*, nr 18-23, 1941). Ujmował rzecz bez ogródek: podpisanie umowy było „straszliwym błędem”. Podobnie ale bardziej emocjonalnie wypowiadał się Stanisław Mackiewicz w broszurze pt. „Październik 1941”.

Pruszyński sumitował się dwukrotnie. Naprzód w odpowiedzi na audycje sowieckiej Radiostacji im. Kościuszki, która skwapliwie podchwyciła wygodne jej tezy. Domagał się by na zrobiony przez Polaków krok w kierunku porozumienia Rosja odpowiedziała zwolnieniem oficerów z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. 14 marca 1943 ogłosił ponadto na łamach *Wiadomości Polskich*, z którymi wówczas już nie współpracował dramatyczny list do Redakcji, odzeganujący się od „myśli o jakichkolwiek ustępstwach terytorialnych na rzecz Rosji od granic 1939 roku” i zapewniający, że „nasze ziemie wschodnie są [mu] tak samo drogie jak dla każdego Polaka i bez nich nie widzi Polski”.

Tak więc najbardziej kontrowersyjne artykuły, drażniące zarówno Anglików jak i basujący im Rząd Polski ukazywały się w *Wiadomościach* lub w formie „brozurowego miesięcznika” Stanisława Mackiewicza (Cata) działającego w pojedynkę. *Nowa Polska* trzymała się na uboczu, wyraźnie powstrzymując się od udziału w dyskusji. Na przemian z *Wiadomościami* drukowała nadal wiersze Balińskiego, Broniewskiego, Hemara, Janty, Łobodowskiego czy Pawlikowskiej, reportaże wojenne Fiedlera, por. Herberta (= Janusza Meissnera), Pomiana, jenieckie Janty i Mariana Piotrowskiego, artykuły ekonomiczne Grossa itp. Ujawnieniem talentu poetyckiego były wiersze Bogumiła Andrzejewskiego, właściwie docenione przez Tymona Terleckiego w eseju „O poezji żołnierskiej”, dotyczącym ponadto Ryszarda Kiersnowskiego, Pawła Moskwy, Józefa Miłobędzkiego i Jana Rostworowskiego. (Nie dostrzegł jednak Terlecki Stefana Borsukiewicza).

Ostrze cenzury skierowało się przeciw *Wiadomościom*, które coraz częściej ukazywać się zaczęły z białymi plamami, zwłaszcza gdy w orbicie stosunków polsko-sowieckich znalazła się sprawa Katynia. Oliwy do ognia dolewały ataki Zygmunta Nowakowskiego na Fundusz Kultury Narodowej („Kaganiec oświaty”) i ogół „kierowników naszej, jakże skołatanej nawy”, określonych mianem ludzi „o wyjątkowo stępionej wrażliwości” i rządzących „w absolutnej próżni”. W tej atmosferze „czynniki rządowe” nie opierały się likwidacji niewygodnego im pisma, gdy Anglicy wystąpili z inicjatywą odebrania *Wiadomościom* przydziału papieru upozorowanego oszczędnościami wojennymi. Bezpośrednim powodem był bojowy artykuł Nowakowskiego pt. „O drugie nie” wypowiedziany się zdecydowanie przeciw akceptacji linii Curzona. Numer następny z 6 lutego 1944 był ostatnim przed przerwą, która trwała do 7 kwietnia 1946 roku, gdy ukazał się Nr 1 *Wiadomości* tzw. „bezprzymiotnikowych”.

Nowa Polska korzystała nadal z przydziału papieru i ukazywała się bez przeszkód ze strony cenzury. W orędziu noworocznym, pióra prawdopodobnie redaktorskiego, sformułowano postulat „nowej idei”, zalecający zapomnienie Jagiellonów i przedmurza i wskazujący drogę do „nowej Polski, która i socjalizm z jego żądaniami dla mas pracujących i ruch chłopski z jego ambicją dźwignięcia się w górę i ambicję inteligencji, by wpływać na rządy państwem jest w stanie zaspokoić”. Równocześnie występuje tam jednak krytyka Związku Patriotów Polskich, który „siedział beczynnie, gdy lud i żołnierz polski bił się z Niemcami”. Zastrzeżenia te jednak wyraźnie osłabły w okresie Powstania Warszawskiego, sprowadzone do pobożnego życzenia, by Armia Czerwona wyzwoliła bezboleśnie Warszawę. Pismo przeszło kompletnie na stronę Rządu Warszawskiego po cofnięciu uznania Rządowi R.P. na Wygnaniu. Ukazywało się jednak nadal w Londynie do stycznia 1946 bojkotowane przez większość dawnych współpracowników, prenumeratorów i kolporterów emigracyjnych.

W obrazie literatury polskiej poza Krajem zarówno *Wiadomości* jak *Nowa Polska* są pismami o zasadniczym znaczeniu. Łączą je nie tylko nazwiska poszczególnych pisarzy ale nawet publikowanie na przemian fragmentów tych samych utworów (np. „Kwiatów polskich” Tuwima). Rzuca się jednak w oczy, iż w *Nowej Polsce* nie drukowali swych wierszy np. Lechoń i Wierzyński. Nie pisywali do niej także Mackiewicz, Matuszewski i, oczywiście, Nowakowski.

Środowisko londyńskie, przy całej jego wadze i niewątpliwym prymacie, nie było już jednak jedyną reprezentacją literatury polskiej poza Krajem. Na widowni ukazał się nowy zespół pisarzy związanych bardziej z teraźniejszością a złączonych wspólnotą losu żołnierskiego, oparty o Drugi Korpus i jego miejsca postoju.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Na tym przerywamy druk fragmentów książki Marii Danilewicz ZIELIŃSKIEJ. Książka ukaze się niebawem — pod tym samym tytułem — w Bibliotece „Kultury”.

Polemiki

Uniwersalizm, zaściankowość i Wirpsza

W swym ferworze walki o uniwersalizm literatury polskiej W. Wirpsza (*Kultura*, nr 7-8, 1976) dopuścił się mówiąc łagodnie wielu uproszczeń w ocenie znaczenia i roli tradycji literackiej, a jego końcowy wniosek: broń Boże nie porównujemy wielkich pisarzy polskich z rodzinnymi marnościami w rodzaju Mickiewicza, bo to im zaszkodzi, brzmi wręcz humorystycznie. Oczywiście Wirpsza pisze ze stanowiska pisarza a nie krytyka, a jak wiadomo te dwie kategorie ludzi dosyć często różnią się w spojrzeniu na literaturę. W danym wypadku widać to wyraźnie z uwagi „nie bardzo rozumiem, po co ta cała manipulacja (tzn. porównywanie Gombrowicza z Mickiewiczem — E.M.), skoro *Trans-Atlantyk* znakomicie się bez Mickiewiczowskich paraleli i paranteli w świecie ostawa”. Tym niemniej od Wirpszy, który nie stroni przecież od „krytyk”, wymagać można bardziej rozsądnej i wnikliwej postawy wobec poruszonego przezeń na łamach *Kultury* problemu.

Przed wszystkim dziwne się wydaje, że Wirpsza kwestionuje prawo krytyka do „manipulacji” czyli wyboru tematu. Niedawno uczestniczyłem w konferencji z „udziałem towarzyszy radzieckich”; jeden z nich, należący do młodszej generacji „uczonych” i nie obznajomiony z panującymi na Zachodzie obyczajami oburzał się z powodu dopuszczenia pewnego referatu do sesji. Chodziło mu o prawomyślność ideologiczną. Został on upomniany przez starszego kolegę z delegacji, profesjonalnego i opatentowanego już wojażera, takiego od stacjana, jak to się w żargonie bokserkim mówi, „pokazówek” z badaczami literatury na Zachodzie. Podzielał on oburzenie młodszego kolegi, ale różnił się w taktyce: będąc gościem nie wypada zabraniać, a trzeba polemizować i *szczegol'nut'* liberalizmem. Nie robię żadnych aluzji, ani nie czynię porównań między stanowiskiem krytyków sowieckich a postawą Wirpszy. W pierwszym wypadku chodzi bowiem o „czystość ideologiczną”, w drugim zaś o uniwersalność literatury polskiej. Niezależnie jednak od tego czy się postawi pytanie

„po co?” lub „nie trzeba” czy „nie wolno” w sytuacji, kiedy się oponenta nie rozumie i nie potrafi z nim dyskutować, bo nie dostaje właściwych argumentów skutek będzie ten sam: ograniczenie naszych możliwości poznawczych i zubożenie wariantów interpretacyjnych. A przecież urok literatury polega właśnie na tym — na ustawicznym odczytywaniu na nowo jej poszczególnych dzieł. W tym miejscu warto przypomnieć dobrze znany truizm: utwory, które niegdyś uchodziły za arcydzieła z biegiem czasu straciły na wartości, przeszły do klasy dzieł drugorzędnych i odwrotnie. To samo prawo obowiązuje w nauce, w badaniach historyczno-literackich, teorii literatury.

„Grzechem” Jeleńskiego i Chwina, autorów ciekawych zresztą artykułów o Gombrowiczu, jest to, że ośmielili się porównać *Trans-Atlantyk* z taką przeciętnością jak *Pan Tadeusz*. Wirpszy nawet na myśl nie przychodzi o jakie tu porównanie chodzi, co takie porównanie znaczy i dlatego to, co powinno być poczytane obu autorom za plus uznaje on za minus. Podpiera przy tym swoje stanowisko odwołaniem się do badań porównawczych. „Każdy, jako tako obznajmiony z techniką badań porównawczych — ciągnie Wirpsza — wie, że tego rodzaju analogii w literaturze współczesnej znaleźć można wiele. Odniesieniem dla *Ulisesa* Joyce'a i *Śmierci Wergilego* Brocha jest *Odyseja*. Ale to dzieje się w wymiarach uniwersalnych, bo Homer jest uniwersalny”. Ale właśnie na podstawie przytoczonego cytatu ośmielam się zakwestionować czy Wirpsza jest nawet „jako tako” obznajmiony ze stosowaną we współczesnej komparatystyce techniką badań naukowych. Płacze pojęcia, podstawia jedno słowo pod drugie i gromi kogo się da za zaściankowość i „głupstwa”. Bo przecież czasownik „porównać” nie znaczy jeszcze udowodnić czyjąś wielkość lub małość, lecz także może oznaczać wyjaśnienie genezy, wytlumaczenie pochodzenia czegoś, bez wartościowania zestawionych danych i o to przecież chodzi zarówno Jeleńskiemu jak i Chwinowi.

Dwa porównane zjawiska niekoniecznie muszą pozostawać ze sobą w związku przyczynowo-skutkowym. Dowód na to znajdziemy u samego autora, który doszukuje się podobieństwa między M. Stirnerem a Gombrowiczem, chociaż sam nie jest pewny czy Gombrowicz rzeczywiście znał twórczość Stirnera i czy „był pod jego wpływem” (ach, wciąż te wpływy!). I mimo to, że sam Gombrowicz dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że pozostaje w jakimś tam sensie dłużny Mickiewiczowi, to jednak Wirpsza koniecznie chce porównywać autora *Trans-Atlantyku* ze Stirnerem a nie Mickiewiczem, bo pierwszy uniwersalny, a ten drugi zaściankowy i może zaszkodzić wielkości Gombrowicza. Doprawdy dziwna to logika! Mówię tu o tym dlatego, gdyż pragnę zwrócić uwagę na to, że sygnalizowana przez Wirpszę metoda techniki porównania trąci już dziś myszką i nowoczesna komparatystyka wyraźnie od niej stroni. Owszem, zestawianie poglądów czy chwytów artystycznych dwu pisarzy, którzy na siebie nie oddziaływali wciąż się uprawia, ale najczęściej, — szcze-

gólnie, gdy dyskutuje się ten problem w wymiarze diachronicznym, — staje się ono okazją do popisów erudycyjnych i niczym więcej. Nie wyjaśnia ono bowiem tego, co się nazywa *procesem literackim* czy *ewolucją literatury*. Po drugie, źle by było, gdyby jedną wielkość zestawiać można było tylko z inną znakomitością. Rozumiał to dobrze T. S. Eliot, kiedy pisał o roli i znaczeniu pisarzy drugorzędnych w dziejach literatur narodowych. Otóż w tym konkretnym wypadku nie chodzi nawet o udowadnianie wielkości czy małości Gombrowicza, bo to dziś nie wymaga dowodów, ale o *ujawnienie źródeł inspiracji z jakich czerpał ten pisarz*. Krytykowanie więc wyżej wymienionych autorów o zestawianie Gombrowicza z „małym”, „zaściankowym” poecią Mickiewiczem jest w tym wypadku jakimś zupełnym nieporozumieniem. Zatrzymajmy się jednak przez chwilę na pytaniu czy pisarz wielki może znaleźć bodźce dla swej twórczości u pisarza przeciętnego, co nie oznacza, że niżej podpisany Mickiewicz za takiego uważa. Schemat jaki rysuje się przed nami z wywodów Wirpszy prowadzi do odpowiedzi negatywnej. Wielkość rodzi wielkość, rozwój literatury przebiega gładko i bez sprzeczności. Cała literatura polska z wyjątkiem Kochanowskiego i Norwida jest zaściankowa i nie trzeba jej przywoływać w zestawieniu z wielkimi imionami. Ale właśnie w tym miejscu logicznie nasuwa się pytanie: jak to się stało, że ta pustynia literacka wydała w dwudziestym wieku takich pisarzy jak St. I. Witkiewicz, B. Schulz, Cz. Miłosz, W. Gombrowicz, T. Różewicz? Czy zawdzięczają to takim oazom jak Jan z Czarnolasu i Norwid? Czy zjawili się oni jak przysłowiowy *Deus ex machina*, czy też wyrosli wyłącznie z obcej pożywki? Dochodzimy tu do fundamentalnego pytania, jakie zadać sobie musi każdy parający się literaturą: w jakim stosunku pozostają te osiągnięcia wobec tradycji literatury polskiej? Moim zdaniem zbyt długo pozostaje ten problem na szczeblu roztrząsań teoretycznych (książka Michała Głowińskiego o stosunku J. Tuwima do tradycji literackiej jest tu bardzo interesującym i chwalebny wyjątkiem), a zbyt rzadko staje się przedmiotem konkretnych studiów. A przecież jest to sprawa istotna, bowiem dotyczy nie tylko literatury, ale i całej kultury polskiej. Zastugą Chwina i Jeleńskiego jest to, że pokusili się o przedstawienie na jednym odosobnionym, ale także ważnym przykładzie istniejących wewnątrz literatury polskiej współzależności. Literatura nigdy nie jest prostą, obojętną wobec siebie sumą tekstów, lecz żywym organizmem ząbajającym się ze sobą w sposób subtelny i często niedostrzegalny wartości artystycznych i treściowych. Jej rozwój nie odbywa się na zasadzie przekazywania pałeczki sztafetowej od jednej wielkości do drugiej, lecz na ustawicznym ścieraniu się różnych, często sprzecznych ze sobą tendencji. Dziś, w świetle nowych badań literackich nie ma już wątpliwości, że pisarze średniego lotu mogą dać początek zjawiskom artystycznym o zasięgu i wartości ich przerastających; a więc nawet jeśli założymy, że Mickiewicz to zaściankowa miernota, problem podjęty przez obu autorów jest

uzasadniony. Skoro już powołujemy się tu na komparatystykę, to warto odnotować, że wypracowała ona dziś dosyć bogate i wyrafinowane metody badania związków literackich. Można więc mówić o pozytywnym nawiązywaniu do przeszłości i kontrowersyjnym (negatywnym), o jawnym i ukrytym, o diachronicznej i synchronicznej współzależności tekstów literackich. W interesującym nas tu wypadku chodzi oczywiście o nawiązywanie kontrowersyjne (negatywne) które bardzo często znajduje swój wyraz w parodii i Jeleński słusznie takiego właśnie określenia używa, kiedy próbuje nam wytłumaczyć sens paraleli między *Panem Tadeuszem* a *Trans-Atlantykem*. Oznacza to, że wartości, które przez późniejsze pokolenia uznane zostały za ujemne inspirować mogą właśnie dzięki negatywnemu do nich nastawieniu. Każdy pisarz w taki czy inny sposób osaczony jest mnogością tekstów literackich, bogactwem rodzimej tradycji kulturalnej i nie może być z tej tradycji wyłączony niezależnie od tego jaka jego ranga pisarska. Rzecz zrozumiała, że nie wyklucza to pojęcia ponadnarodowych związków literackich, tego co się powszechnie nazywa literaturą światową, słowem jedno nie wyklucza drugiego. Tam gdzie rzeczywiście fakt pokrewieństwa między np. Gombrowiczem (czy każdym innym pisarzem) a polską tradycją literacką da się ustalić — trzeba o tym pisać i nie bać się, że obniży to rangę artystyczną tego czy innego pisarza. Gdyby tak istotnie było, gdyby porównanie jakiegoś pisarza z polską przeszłością literacką przynosiło artyście ujmę — źle by to świadczyło o artyście. O ile mi wiadomo, fakt znalezienia nici łączności między Faulknerem a... Sienkiewiczem (ujawnionej, o ile dobrze pamiętam przez samego Faulknera) nie przyczynił się do strącenia pierwszego z piedestału wielkich pisarzy dwudziestego wieku.

Piszę o tym wszystkim nie dlatego, abym się kierował fałszywie pojętym patriotyzmem czy oburzeniem z powodu „szargania narodowych świętości”. „Świętości”, o ile rzeczywiście są autentyczne, obronią się same, natomiast poglądy w rodzaju tych jakie głosi Wirpsza nie tylko przekreślają poważny wysiłek krytyków i historyków literatury, lecz przedstawiają w fałszywej perspektywie ewolucję literacką i jako takie muszą się spotkać ze stanowczym sprzeciwem. Tu nie chodzi o pytanie „Mickiewicz wielki czy mały”, ale o zagadnienie szersze, a mianowicie czy literatura polska zdolna jest oddziaływać jako bodziec, jako inspiracja twórcza. Właśnie stanowisko Wirpszy, pozornie „świątę”, „o szerokich horyzontach” wpędza nas niemal przymusem w zaściankowość i prowadzi nieuchronnie do samobójstwa kulturalnego.

Edward MOŻEJKO

Partykularyzm czubka kielka

Ponieważ Edward Możejko uraczył mnie opowiadką sowiecką, więc godzi się odplacić pięknym za nadobne. Żona wypuszczonego z ZSSR matematyka ukraińskiego Pljuszcza opowiada, jak to rozmawiała o swoim mężu z lekarką specjalnego zakładu psychiatrycznego. Lekarka owa twierdziła, że Pljuszcz ma „urojenia matematyczne”, gdyż chce na siłę stosować metody matematyczne w medycynie. „Jako lekarz wiem doskonale — powiedziała — że medycyna z matematyką nie ma nic wspólnego”. Biedaczka nie zdawała sobie widać sprawy z tego, że mierząc temperaturę i puls pacjenta, licząc białe i czerwone ciała krwi czy ustalając ciśnienie tętnicze nic innego nie robi, jak tylko stosuje matematykę w medycynie. A teraz zastrzegam się — podobnie jak Możejko wobec mnie — że nie zamierzam go zrównywać z lekarzami specjalnych zakładów psychiatrycznych w Związku Sowieckim.

Błąd w rozumowaniu Możejki ma odwrócone niejako (w rozumieniu logiki, nie ideologii) podobieństwo formalne z zapewnieniami owej lekarki, że matematyka z medycyną nie ma nic wspólnego. Mianowicie: Możejko nie zdaje sobie sprawy z tego, że tak jak matematyka odgrywa wobec medycyny rolę nauki pomocniczej, tak komparatystyka stanowi wobec hermeneutyki jedynie podpórkę. Odwrócenie tego jest chyba niemożliwe, a co najmniej byłoby jałowe. Stojąc na tym stanowisku i pytając „po co?”, wcale nie chciałem powiedzieć, jak usiłuje to wmówić czytelnikom Możejko, że „nie wolno” albo „nie można”. W jaki sposób mój dyskutant do takiego wniosku doszedł, jest dla mnie tajemnicą. Rzec tylko chciałem, że *tak* zastosowana komparatystyka w tym konkretnym przypadku („Transatlantyk” — „Pan Tadeusz”), to góra, rodząca mysz. Wadomo przecież np., że wielki monolog wstępny w „Fauście” Goethego jest miejscami wręcz dosłownie zerżnięty z analogicznego monologu w „Fauście” Marlowe’a, ale przecież jeszcze z tego nic nie wynika, jak również z tego, że „Faust” Goethego jest miejscami zaprzeczeniem „Fausta” Marlowe’a. To się nawet nie nadaje na proseminarium. Jeśli w tym miejscu zakończymy badanie obu tekstów, to będziemy tyle wiedzieli o Marlowe’ie i Goethem co i wprzód i cały wysiłek pójdzie na marne. Są odniesienia? — A juści, są. Na to wystarczy cytować na cytoku.

Jeśli pisałem o „każdym, jako tako obznajmionym z techniką badań porównawczych”, to oczywiście z kontekstu wynika, że użyłem tego wzrotu w sensie ironicznym, czego Możejko nie uchwycił. Wiem, czym się komparatystykę jada, ale wiem także, jak smakuje, tudzież, ile w niej treści pożywnych. Komparatys-

tyka daje jedynie surowiec, który można (albo i nie) w innych obszarach badania i wykładni spożytkować; a to znaczy: język komparatystyki przystoi traktować jako język-objekt, który dopiero w którymś z metajęzyków doznaje legitymacji. Diachronia i synchronia, jak wiadomo już dzisiaj, są wzajemnie sprzężone. Możejko wszakże, jako mąż uczony, powinien wiedzieć, że de Saussure mówił także o panchronii i w tym widział sedno sprawy; ale panchronia leży już poza zasięgiem badań porównawczych. Nie chodzi przecież o takie oczywistości, że jedno się zazębia z drugim albo że drugie następuje po pierwszym, tak jak nie chodzi o to, że „Eugeniusz Onegin” Puszkina jest poniekąd kalką „Beppo” Byrona (tu nawet jesteśmy blisko ukochanej przez Możejkę synchronii). A dalej nie chodzi o to, żeby powiedzieć, że Abraham zrodził Izaaka, Izaak zaś Jakuba i braci jego — w sensie pozytywnej czy negatywnej tradycji. Wykreślanie najbardziej niekiedy poplątanych poziomo i pionowo drzew genealogicznych, oto jedyne wyniki, jakie daje *na sobie samej poprzestająca komparatystyka*, która koniec końcem ujawnia się jako bardziej tylko skomplikowana „wpływologia”. Dopiero na innych płaszczyznach badania i obcowania z dziełem sztuki dokonuje się jego ogląd, interpretacja i kontemplacja. I wtedy właśnie komparatystyka zostaje przesunięta na właściwe miejsce: do narzędziowni. Ani mikroskop, ani teleskop nie są metodą, lecz instrumentem.

W tym to właśnie sensie pisałem, że rozprawki Chwina i Jeleńskiego w gruncie rzeczy niewiele dla zrozumienia Gombrowicza wnoszą. Ustalają jedynie odniesienie „Transatlantyku” do „Pana Tadeusza”, wykazują, jak pisze o tym Możejko, że Mickiewicz jest dla Gombrowicza tradycją negatywną. To prawda, ale prawda błaża. A nadto prawda na eksport się nie nadająca — nie dlatego, że tak „nie wolno” czy że tak „nie można”, ale dlatego, że poza Polakami oraz tymi nie-Polakami, co się po seminariach zajmują badaniem osławionego czubka kiełka, nikt tego nie zrozumie. Dlatego pytałem: po co?

Teraz jeszcze parę szczegółów, prostujących groteskowe nieporozumienia. Gdzież to ja powiedziałem, że Mickiewicz to „marny pocina”? Napisałem tylko, że „Pan Tadeusz” i zakończenie Wielkiej Improwizacji są zaściankowe. Określenia zaś „zaściankowy” i „uniwersalny” nie są tożsame z „gorszy” i „lepszy”. W jednym wypadku mamy przecież do czynienia z określeniem zasięgu działania (także i potencjalnego), w drugim z określeniem wartości artystycznej. O tym drugim nie napisałem ani słowa; jeśli użyłem epitetu „zakalcowaty”, to tylko w tym sensie, że *każdy* długi poemat z natury rzecz ma zakalcowate miejsca — „Herman i Dorota” Goethego jest to utwór o wiele bardziej zakalcowaty, niż „Pan Tadeusz”. Zapytuję: czy Możejko nie może sobie wyobrazić czyjegoś zdania, że A jest gorsze od B i zarazem A jest uniwersalne, B natomiast zaściankowe? — Jeśli nie, to ręce opadają.

Dalej: gdzież to ja powiedziałem, że Max Stirner jest uniwersalny? — Przewrotnie go cytując, chciałem jedynie wykazać, że istnieje w myśli europejskiej tradycja egocentryzmu; teraz dodam, że egoistycznego anarchizmu Stirnera nie lubię, natomiast ta sama postawa u Gombrowicza jest mi bliska, ponieważ ogranicza się do sztuki. — Co do wieku dwudziestego w literaturze polskiej: napisałem przecież *expressis verbis*, że ten problem wyłączyłem z moich rozważań; nieuzasadnione są chyba pretensje Możejki, że nie napisałem, czego nie napisałem. I wreszcie: sprawa Kochanowskiego i Norwida wykracza zdecydowanie poza ramy ulotnego artykułu — ten problem wymaga raczej księgi.

Istnieje pewien groźny partykularz, a jest to partykularz wąskiej specjalizacji, gdzie pracuje się już tylko choćby nie wiem jak wyrafinowaną dedukcją. Trzeba mieć czasem śmiałość rzutu indukcyjnego, aby się wyrwać z ciasnoty dedukcji tam, gdzie wiedzie nas ona do „czubka kiełka”. Smutny to partykularz: Gombrowicz będzie tam zrównany z Mniszkówną, choćby na zasadzie odniesień „Opętanych”, tłum zaś karłowatych Salierich nie pozwoli nam dosłyszeć wielkiej muzyki Mozarta.

Witold WIRPSZA

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Estafeta nie jest czasopismem, ale antologią redagowaną przez Bohdana Stobelskiego i Wacławsława Dawydenko. Stobelski, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, jest jednym z redaktorów tygodnika *Homin Ukrainy*, pisze wiele o ukraińskich problemach kulturalnych, a w szczególności omawia sztuki plastyczne.

W obu tomach znajdują się artykuły, eseje, wiersze i opowiadania. Reprezentowana jest cała gama twórczości ukraińskiej, nie wyłączając nawet przekładów. Nie brak i plastyki. I tak w tomie pierwszym są reprodukcje prac grafików i malarzy: Wołodymyra Walasa, Mychajła Kusznira, Antona Maliuci i rzeźbiarza Mychajła Czereśniowskiego, a w tomie drugim znakomitego malarza Seweryna Boraczuka ze znanej grupy Kapistów (Komitet paryski — grupa polskich artystów, która przez lata pracowała w Paryżu) i rzeźbiarza Hryhorija Kruka, ucznia znakomitego polskiego rzeźbiarza Konstantego Laszczki z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. O artystach i ich twórczości oraz o stanie twórczości literackiej na Ukrainie pisze w obu tomach Bohdan Stobelski. Reprezentowani są wyłącznie autorzy i artyści emigracyjni. Obok nazwisk znanych najdujemy też szereg nowych a z informacji wynika, że są to pisarze urodzeni na emigracji, wychowani w szkołach obcojęzycznych, którzy jednak opanowali również język swoich rodziców.

W tomie I-szym reprezentowani są następujący autorzy: M. Arkas, W. Hawryluk, S. Hałamaj, A. Hładynowycz, S. Horak, M. Harmasz, O. Kercz, I. Kowaliw, A. Kossowska, W. Kulisz, M. Kusznir, R. Kuchar, W. Łasowski, O. Łysak, O. Z. Łysak, S. Naumowycz, W. Makar, L. Połtawa, N. Rypeckij, B. Romanenczuk, B. Stobelski, J. Tys, O. Chmurowycz, I. Czajkowski, I. Szankowski i A. Szum. W drugim zaś tomie obok kilku wyżej wymienionych są i nowi autorzy: O. Bahij, R. Baboń, W. Biła, W. Borodacz, W. Hajdariwskij, A. Humecka, S. Hurko, W. Kamberford, D. Kozij, W. Kulisz, J. Kurdyduk, Z. Łazowski, M. Łazowska, M. Łoza, S. Łomaczka, N. I. Pazuniak, O. Pawliw, I. Pełenska, O. Stefanowycz, M. Szczerba i W. Janiw. Zwiększyła się lista autorów, a wraz z tym i objętość i treść tomu. Pierwszy liczy 254 stron, a drugi 315.

W drugim tomie znajduje się ciekawa pozycja „polska”, a mianowicie zarys bibliograficzny Wasyla Borodacza pt. „Ukraińska Powstaniec Armia w polskich drukowanych przekazach”.

Autor ocenia absolutnie wszystkie publikacje ze stanowiska ukraińskiego nacjonalisty lub co najmniej stronnika Ukraińskiej Powstańczej Armii. Krytyka jego jest więc nie tylko bardzo ostra, ale też jednostronna. Mimo, że w odnotowanych i omawianych przez Borodacza pozycjach wiele jest tendencyjnych czy miejscami zafalszowanych, to jednak znajdują się w nich i bardzo ściśle dane, dotyczące pewnych operacji i to nie tylko militarnych.

Autor odnotował zarówno opracowania dokumentarne, wśród których wymienia gen. I. Bluma: *Z dziejów wojska polskiego w latach 1945-1948*, referat Wiesława Szoty: „Siły Zbrojne R.P. w walce z reakcyjnym podziemiem zbrojnym w latach 1945-1948”, opublikowany w tomie zbiorowym pt. *20 lat ludowego wojska polskiego i dwa dalsze studia Szoty w pracy zbiorowej pt. 1944-1947. W walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce*. Omawia prace *Ukraińskie nacjonalistyczne podziemie zbrojne: zarys powstania i działalności, Działania jednostek ludowego wojska polskiego przeciw zbrojnemu podziemiowi* oraz studium T. Plonowskiego *Bój pod Jablonką*. Borodacz uważa, że największą wartość ma praca Bluma, która jest też najciekawsza, ale oczywiście również tendencyjna.

Następnie omawia wspomnienia i beletrystykę o tematyce związanej z walkami UPA i na końcu publicystykę, rejestrując artykuły opublikowane na łamach następujących pism: *Gazeta Ludowa, Gazeta Morska, Głos Ludu, Granica, Na Straży Demokracji, Polska Zbrojna, Robotnik, Rzeczpospolita*,

Książki

Reprezentacyjna publikacja

Plany i ambicja różnych grup emigracyjnych — zresztą nie tylko emigracyjnych — często przekraczają realne możliwości. Właściwie można by nawet zaryzykować twierdzenie, że tak jest zawsze, ale bądźmy wyrozumiali. Emigracja ukraińska jest zarówno liczelnie jak i pod względem organizacyjnym poważna. W niektórych krajach jest zasiedziła od okresu poprzedzającego drugą Wojnę Światową, co oczywiście oznacza iż posiada mocne zaplecze. Specyficzne warunki polityczne spowodowały, iż na emigracji znaleźli się wybitni przedstawiciele inteligencji ukraińskiej, zarówno z obszarów należących do imperium sowieckiego jak i do Polski. Pracowali oni w uczelniach, w zakładach naukowych, publikowali swoje prace, wydawali czasopisma itp.

W Kanadzie emigracja ukraińska była i jest znaczna i odgrywa rolę na różnych płaszczyznach. W latach powojennych, wraz z przybywaniem nowych emigrantów, element ukraiński powiększył się i umocnił. Znaczenie wyraźniej aniżeli poprzednio wybijają się teraz na pierwszy plan problemy polityczne, zagadnienie wolności i niepodległości narodu ukraińskiego oraz położenie Ukraińców na obszarze etnicznym, znajdującym się niemal w całości w granicach Związku Sowieckiego.

Według danych powszechnego spisu ludności grupa ukraińska liczyła w 1921 roku 106.721 osób podczas gdy polska — 53.403, a w 1971 roku grupa ukraińska wzrosła do 580.660, a polska do 316.430. Ilość wszelkiego typu publikacji ukraińskich w Kanadzie jest nieproporcjonalnie wyższa od polskich, co oczywiście wynika również z faktu, że o ile na Ukrainie sowieckiej nie publikuje się wielu dzieł klasycznych, to ukazują się one w Polsce; poza tym Ukraińcy nie posiadają tak wielkiego i rozbudowanego wydawnictwa jak Instytut Literacki w Paryżu, obok którego działa jeszcze kilka mniejszych wydawnictw jak Veritas, Orbis, Polska Fundacja Kulturalna, Oficyna Poetów i Malarzy.

W Kanadzie i Stanach Zjednoczonych istnieje Stowarzyszenie Literatów i Artystów Ukraińskich oraz kilka mniejszych pokrewnych zrzeszeń. Jednym z tych ostatnich jest Stowarzyszenie Działaczy Ukraińskiej Kultury (Asocjacja Dijacziv Ukraińskoj Kultury) w Toronto. W 1970 roku ukazał się jako organ tego stowarzyszenia numer pierwszy czasopisma *Estafeta* (Sztafeta). W zamierzeniu miał to być w najbardziej niesprzyjających warunkach rocznik. Niestety, mimo że w następnym tomie jako rok wydania figuruje 1974, ukazał się on znacznie później.

Wojskowy Przegląd Historyczny, W Służbie Narodu, Za Wolność i Lud, Żołnierz Polski Ludowej, Życie Warszawy, Żołnierz Wolności.

Brodacz zaznacza, że zarejestrował artykuły z prasy warszawskiej, a pominął prowincjonalną, w której również ukazywały się artykuły dotyczące UPA, i podkreśla że bibliografia jego nie jest kompletna, ale mimo to dostatecznie obrazuje „ukraiński cień” padający na PRL.

Wielka szkoda jednak, że żaden autor nie opublikował dotychczas zestawienia bibliograficznego innych publikacji dotyczących problemów ukraińskich, jakie ukazały się w Polsce i na emigracji. Mogłoby to niewątpliwie dostarczyć wiele interesującego materiału, który pozwoliłby na wyciągnięcie pewnych wniosków o wzajemnym nastawieniu polsko-ukraińskim.

B. H.

Nadesłane nowości wydawnicze

MIREWICZ (Jerzy, Ks. T.J.). *Zapomniani współtwórcy Europy*. Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. Księga Jezuici, Londyn, 1976; cena £ 3.00 plus porto).

DREWNOWSKI (Jan). *O myśl polityczną*. Str. 100. (Wyd. Odnova, Londyn, 1976).

BUCA (Edward). *Vorkuta*. Tłumaczenie z polskiego Michał Lisinski i Kennedy Wells. Str. 352 i 4 nlb. (Wyd. Constable and Co., Ltd., London, 1976; cena £ 5.95).

Ltd., London, 1976; cena £ 5.95).

DUERRENMATT (Friedrich). *Upadek*. Tłumaczenie S. A. Owsianko. Str. 55 i 1 nlb. (Wyd. Konfrontation, AG., Zürich, 1976).

SCHRAMM (Carl J.). *United States Strategies for World Hunger*. Str. 20. (Wyd. Canadian Institute of International Affairs, Toronto, Ont., seria: Behind the Headlines, volume XXXV, No 1, 1976).

MICEWSKI (Andrzej). *Das Deutschlandbild in der katholischen Pu-*

blizistik Polens 1969-1974. Str. 89 i 1 nlb. (Wyd. Chr. Kaiser Verlag, München, 1976).

Programma Polskiego Obiedinienija Storonnikow Niezawisimosti. Warszawa 1976. Tłumaczenie na język rosyjski. Str. 31 (Wyd. Overseas Publications Interchange Ltd., London, 1976).

NYŻANKIWSKYJ (Bohdan). *Swjato na oseli*. Powieść. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Ukrainian Writers' Association „Slovo”, Nowy Jork, 1975).

CZUBATYJ (Mykoła, prof.). *Istoria chrystyjanstwa na Rusi-Ukraini*. Tom II, czastyna I (1353-1458). Str. 263 i 3 nlb. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym - Nowy Jork, 1976).

Bohostovia. R. 1974, tom XXXVIII. Str. 272 i 4 nlb. (Wyd. Ukrainśke Bohosłowske Naukowe Towarystwo, Rzym, 1974).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-8-76

Instytut Geografii Zagospodarowania Przestrzennego PAN opracował atlas przemysłu Polski. Obejmuje on 150 map i jest przeznaczony dla potrzeb planowania i zarządzania. ■ Prasa PRL podaje, że w roku 1980 ukaże się na rynku 300.000 kolorowych polskich telewizorów. Dotychczasowa produkcja była bardzo mała. W roku 1975 wyprodukowano jedynie 30.000 aparatów. ■ Nieoceniony W. Machejek, redaktor *Życia Literackiego*, w swym felietonie „Z mojego obserwatorium” z 8. 8. br. pisze: „POWSTANIE WARSZAWSKIE. W tę rocznicę jeszcze raz potwierdzamy sobie pietyzm dla patriotycznych czynów i ofiar oraz rośnie podziw dla narodu, który jakże dużo tracił, żeby na krwawych gruzach wspaniale budować”.

10-8-76

W Warszawie zmarł, w wieku lat 60, Wincenty Kraśko, sekretarz KC PZPR, członek Rady Państwa, poseł na Sejm PRL, prezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

14-8-76

W Warszawie zmarł, w wieku 73 lat, Kazimierz Golde, dziennikarz.

18-8-76

W Warszawie zmarł Julian Kulski, wiceprezydent m.st. Warszawy w latach 1935-1939.

20-8-76

Sąd Najwyższy PRL ustalił, że odsprzedaż z zyskiem samochodów nabytych za bony Banku P.K.O. stanowi przestępstwo (w wypadku, jeśli bony te zostały skupione w celu odsprzedaży z zyskiem nabytych za nie towarów). ■ Ministerstwo Zdrowia PRL podaje, że 80 tysięcy alkoholików wymaga leczenia szpitalnego. Tymczasem Polska dysponuje jedynie 2.400 łóżkami szpitalnymi na oddziałach odwykowych. ■ W PRL wprowadzono sprzedaż cukru na kartki. Cena kilograma wynosi zł 10,50. Cukier bez kartek można nabywać w cenie zł 26 za kilogram w specjalnie wydzielonych sklepach.

24-8-76

Władze PRL odmówiły Władysławowi Bartoszewskiemu, sekretarzowi polskiego Pen Klubu, paszportu, Z tego powodu cała polska delegacja, solidaryzując się z Bartoszewskim, odmówiła wyjazdu na międzynarodowy Kongres Pen Klubu w Londynie. ■ Zarządzenie nr 2 prezesa Głównego Urzędu Ceu z dn. 31. 1. 1976 r. ogłoszone 28. 2. 1976 r. w *Biuletynie Urzędowym „S”* GUC nr 2 podaje na str. 15 spis wydawnictw, których publikacje podlegają szczególnie wnikliwej kontroli. We Francji są to: „Christian Bourgeois — Editeur”, „Galerie Lambert” — Paryż, „Institut Literacki” — Paryż, „Libella” — Paryż, „Librairie Polonaise” — Paryż, „Presses Universitaires” — Paryż, „Syndykat Dziennikarzy Polskich” — Paryż, „Związek Polskich Federalistów” — Paryż. Przy „Galerie Lambert”, „Libelli” i „Librairie Polonaise” zaznaczono, że specjalizują się w działalności wysyłkowej; działalność wydawnicza jest uboczną formą ich działania. W Anglii wymieniono: „Gryf Publications Ltd.” — Londyn, „Oficyna Poetów i Malarzy” — Londyn, „Orbis Polonia” — Londyn, „Polonia Book

Humor krajowy

Nauczycielka w szkole każe Jasiowi opowiedzieć bajeczkę o kotkach. Jaś: — „Było sobie kotków siedem — sześć partyjnych, bezpartyjny jeden”. Nauczycielka pochwaliła Jasia i kiedy do szkoły przyszedł inspektor wywołała Jasia i kazała mu bajeczkę powtórzyć. Jaś: — „Było sobie kotków siedem — bezpartyjnych sześć, a partyjny jeden...”. — „Jako Jasiu, zawołała nauczycielka, mówiłeś przecież przeciwnie! — „Tak, proszę pani, ale kotki już podrosły i przejrzały...”.

Gierek na wsi wstępuje do chłopca i pyta: — „A gdzie twoje krowy?”. — „A wypożyczyli ode mnie do PGR-u, bo tam dziś jakiś dygnitarz przyjechał na inspekcję” — usłyszał odpowiedź.

Podobno Kirszenstein-Szewińskiej mają odebrać złoty medal olimpijski za niedozwolony doping. Mianowicie na mecie znaleziono 5 kg cukru...

Dziennikarz zagraniczny po powrocie z Moskwy opowiada o swoich wrażeniach z ZSSR: „Rocnicę rewolucji październikowej obchodzą tam w listopadzie. I tak jest ze wszystkim!”.

Jeden pan codziennie kupował w kiosku gazetę, czytał tylko pierwszą stronę i wyrzucał ją do kosza. Zaintrygowany kioskarz, pyta dlaczego przegląda tylko pierwszą stronę.

— Bo ja szukam tylko nekrologów.

— Ależ nekrologi są przecież na ostatniej stronie!

— Nie, nie — zawołał czytelnik — te, na które ja czekam będą na pewno na pierwszej!

Dowiedziałam się właśnie, że nowy typ traktora z fabryki Ursus, „Warchoł 76” — o którym pisałam we wrześniu — ma jeszcze tę zaletę, że będzie palił tylko cztery komitety partyjne rocznie. (Z. H.).

Dobrosąsiedzkie stosunki: My nienawidzimy Ruskich za-wzięcie, a oni nas kochają za-żarcie.

Okazuje się, że jednak w Polsce nie zabraknie mięsa. Jaroszewicz ogłaszając podwyżkę cen strześlił takiego byka, że dla wszystkich wystarczy...

Żeby nie nasuwać nieprzyjemnych skojarzeń kartki na cukier nazwano „biletami towarowymi”. W związku z tym: niektórzy dostają cukier na bilety, a inni na gapę, a o Gierku mówi się: główny bilet.

Jak wiadomo od dłuższego czasu w Polsce jest coca-cola i pepsi-cola, natomiast w Związku Sowieckim pepsi-cola i scotch-cola (Skocz Kola do studni po wodę!).

Pytania i odpowiedzi

— Co się w Sowietach zbiera jak nie ma kartofli?
— Centralny Komitet partii...

— W jakim kraju jest najwięcej śledzi?
— W Związku Sowieckim, bo tam każdy każdego śledzi.

— Dlaczego polska flaga jest tylko do połowy czerwona, a sowiecka cała?
— Bo ich o tyle dłużej krew zalewa...

Zebrała Zofia HERTZ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

New York, 10 sierpnia 1976.

Drogi Panie,

P. Kornel Krzczunowicz w liście do *Kultury* (nr 7/1976) twierdzi, że niedokładnie i ujemnie w swych wspomnieniach o Lechoniu oceniał Bohdana Hutten-Czapskiego, wyznaczonego przez okupanta niemieckiego na kuratora otwartego uniwersytetu warszawskiego w 1916 roku. P. Krzczunowicz myli się. Nie miałem zamiaru oceniać jego działalności. W kilku zdaniach scharakteryzowałem jedynie powszechną opinię panującą wśród studentów o kuratorze w pierwszych miesiącach istnienia uniwersytetu. Dodałem, że nie przypuszczaliśmy wtedy, że gdy wyższym uczelnią będzie groziło zamknięcie użyje wszystkich swych wpływów by ich bronić.

Później poznałem Bohdana Hutten-Czapskiego dobrze i nauczyłem się cenić jego oddanie sprawie uczelni polskich w Warszawie. Mimo starć z kuratorem darzył mnie zaufaniem. Dowodem była wizyta jaką mi złożył w Berlinie i sprawa z jaką się do mnie zwrócił. Zwierzył się, że zamierza ogłosić swe pamiętniki i proponuje, bym podjął ich opracowanie. Odmówiłem gdyż musiałbym opuścić Berlin, wrócić do kraju i spędzać większość czasu w dobrach Hutten-Czapskiego, w Smogółcu. Był bardzo rozczarowany i prosił, bym mu kogoś wskazał. Bez wahania zaproponowałem mego przyjaciela, historyka, Stanisława Groniowskiego. Serdecznie mi podziękował i po powrocie do kraju zawarł z nim umowę. Owocem tej umowy były pamiętniki Czapskiego, które w dużym stopniu są dziełem mego przyjaciela. Zginął we wrześniu jako oficer rezerwy.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Tadeusz KATELBACH

Waszyngton, 28 sierpnia 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

Pan Gustaw Herling-Grudziński w „Dzienniku pisany nocą” (*Kultura* z lipca-sierpnia 1976) apeluje do emigracji, by „nie zaśmiecać polskich głów absurdalnymi 'programami', w rodzaju 'alternatywy chińskiej' Korbońskiego”. Arogancja tego stwierdzenia idzie w parze z jego płytkością i apodyktycznością. P. Herling-Grudziński nie uważa bowiem za stosowne wyjaśnienie czytelnikowi, na czym polega absurdalność tego programu, który określa krótko jako zaśmiecanie. Już samo to wyrażenie nie świadczące dobrze o kulturze pisarskiej wygląda dość dziwnie właśnie na łamach *Kultury*. Jego autor zadawała się jedynie wydaniem na ten program wyroku, bynajmniej go nie uzasadniając. Utrudnia to bardzo dyskusję, ale jej nie unie możliwia. Pewne światło na tok rozumowania p. Herling-Grudzińskiego rzuca jego program polskiej polityki emigracyjnej, który formułuje w następujący sposób:

„Podtrzymywać za wszelką cenę i wszelkimi środkami opór, jaki w kraju wywołała „kwestia konstytucyjna”; umacniać i pogłębiać współpracę z opozycją w imperium i na obszarze objętym 'doktryną' (Sonnenfeldta — dopisek mój). Starczy, zważywszy skromne możliwości emigrantów”.

Powyższy program jest zaprzeczeniem tego, czego kraj od emigracji oczekuje, gdyż nie przewiduje żadnej jej akcji na terenie międzynarodowym. Tymczasem kraj liczy na to, że go emigracja będzie wyręczała tam, gdzie sam nie może działać, a więc w wolnym świecie, oddziałując na jego opinię publiczną i starając się wpływać na jego politykę międzynarodową, w szczególności w stosunku do Sowietów. Kraj natomiast nie potrzebuje pomocy emigracji w podtrzymywaniu oporu u siebie w Polsce, gdyż sam sobie

Listy do Redakcji

Hollywood, Florida, 24 sierpnia 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W ogromnie interesującym artykule W. Weintrauba „Stanisław Kot (1885-1975)”, zamieszczonym w 3/342 numerze *Kultury*, z niemałym zdziwieniem przeczytałem następujące zdania:

„Budny jest fascynującą indywidualnością. Mazur (a może Rusin z pochodzenia?), który z granic Rzplitej nigdy nosa nie wyohylił, a całe życie spędził w drobnych miasteczkach litewskich, w trudnych warunkach osobistych, rozwinął żywą działalność pisarską w trzech językach, po polsku, po rusku i po łacinie”.

Wprawdzie dokładne miejsce i data urodzenia Szymona Budnego nie są znane, ale przecież wiadomo, że był on czołowym białoruskim myślicielem XVI stulecia i najwybitniejszym działaczem Reformacji na Białorusi. Mieszkał i pisał swoje utwory po białorusku, po łacinie i po polsku w Łosku, Nieświeżu, Chołchle, Zastawlu, Słucku, Klecku, Lubczy, Uzdzie, Wiszniewie i innych miasteczkach białoruskich Wielkiego Xięstwa Litewskiego. W 1562 roku w Nieświeżu w języku białoruskim zostały wydane „Katechzis” (Katechizm) i „Ob оправdani hresznoho czelowieka pierede Bohom” (O usprawiedliwieniu człowieka grzesznego przed Bogiem) i szereg innych prac, przeważnie przekładów. To, że niektóre jego rzeczy, jak np. przekład Biblii na język polski, wydany w tymże Nieświeżu w 1572 roku oraz przekład Nowego Testamentu z przedmową i komentarzami (1574 r.) i znana książka „O urzędzie miecza” (1583 r.), wydane w Łosku po polsku, podobnie jak pisał listy po łacinie do przywódców Reformacji na Zachodzie, wcale nie dowodzi, że był Mazurem, albowiem rzeczy te wydał głównie dla Braci Polskich (polskich arian), z którymi prowadził ostrą polemikę i nawet ich „najskrajniejszy odłam różnowierczy, swą egzegezą biblijną potrafił skandalizować”. W rzeczach tych jest sporo białorusizmów, natomiast nie ma polonizmów w jego pracach wydanych po białorusku. Aleksander Brückner w swojej recenzji o „Zabytkach literatury z doby Reformacji. Nr 1, pod redakcją S. Kota (*Reformacja w Polsce*, Rocznik VI, Nr. 21-24, Warszawa, 1934, str. 262) stwierdził, że Budny swój polski język (w utworach pisanych po polsku) nadsztukowywał „ruszczyzną” i że nie sposób znaleźć u niego żadnego mazurskiego słówka. Budny znał również dobrze język cerkiewnosłowiański. Trudno więc przypuścić, by takowym znawcą mógł być Mazur. Zresztą białoruskie nazwisko Budny, które w przekładzie na polski oznacza „powszedni” (nie świąteczny dzień) mówi samo za siebie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI

z tym daje radę tak dobrze, że budzi to u swoich i obcych nieklamany podziw.

Konieczność opracowania przez emigrację alternatywy chińskiej należy do spraw zleconych emigracji przez kraj. Domaga się tego na przykład wydana nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu książka pt. „List do emigranta” nieznanego autora czy też autorów krajowych. O nadziejach związanych z konfliktem sowiecko-chińskim mówią przybysze z kraju o szerszych horyzontach politycznych niż te, w jakich się zamyka program p. Herling-Grudzińskiego. Wynika to także pośrednio z „Listu podróżników” z kraju ogłoszonego przez *Kulturę* z czerwca br., str. 103. Wspomniany w tym liście pozytywnie mój artykuł ogłoszony w *Wiadomościach* z 25 stycznia i 1 lutego br. pt. „O potrzebie programu, czyli królowa Bona umarła” omawiał m.in. szczegółowo alternatywę chińską. Zainteresowanych odsyłam do jego treści.

Decydujący jest fakt, że na przeciwnym niż polski krańcu imperium sowieckiego istnieje mocarstwo wrogo do Sowietów nastawione i zwalczające je na terenie międzynarodowym. Posiada ono z Sowietami 4.500 mil wspólnej granicy i spory terytorialne praktycznie nie do załatwienia. Nad granicą tą stacjonują obok wojsk sowieckich także oddziały polskie, którym grozi w razie wybuchu konfliktu zbrojnego walka z Chińczykami. Czy mają one walczyć, czy też nie? I jak ewentualnie walki uniknąć?

Już ten jeden problem udowadnia potrzebę opracowania alternatywy chińskiej. Przecież kraj w tej sprawie wypowiedzieć się nie może i obowiązek ten spada na emigrację. Nie może ona także zamykać oczu na fakt istnienia w Polsce pro-chińskiej podziemnej komunistycznej partii polskiej, której generalny sekretarz Kazimierz Mijał przemawia codziennie do kraju przez radio Tirana. Do tego dodam takie ostatnie dowody zainteresowania Chin Polską, jak artykuł w *Peking Review* z 21 maja 1976 o akcji zapoczątkowanej listem 59-ciu i cofnięcie przez reżym akredytacji głównemu korespondentowi Hsinhua w Warszawie z powodu rzekomo nieprawdziwego przedstawienia zaburzeń robotniczych w Polsce w czerwcu tego roku (o czym zresztą doniósł *Washington Post* z 25 sierpnia br.).

P. Herling-Grudziński radzi emigracji, by schowała głowę w piasek i udawała, że Chin nie ma. Pójście za jego radą byłoby ciężkim błędem. Wręcz przeciwnie, emigracja powinna wyręczyć kraj w opracowaniu alternatywy chińskiej i w nawiązaniu kontaktów z Pekinem, biorąc sobie za wzór podróż Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego w roku 1904 w podobnych celach do Japonii.

Na zakończenie dodam, że do spornego zagadnienia podszedłem nader trzeźwo i ostrożnie, stwierdzając dosłownie:

„Realizacja alternatywy chińskiej nie przywróciłaby w obecnych warunkach Polsce wolności i niepodległości, jednakże mogłaby wytworzyć na terenie Polski rywalizację sowiecko-chińską, z czego wypłynęłyby dla kraju pewne choć ograniczone korzyści”.

Ścisłkam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI

6 września 1976.

Darujmy sobie moją „arogancję”, „apodyktyczność” i „płytkość”, skoro p. Korboński ma widocznie upodobanie do mocnych słów w „zabójczym” (dla jego adwersarza) *crescendo*. Jak również „kulturę pisarską”, czyli dziedzinę w której p. Korboński jest dla mnie przynajmniej dość wątpliwym siędzą. I przejdźmy do meritum sprawy.

Istnieje problem Chin i ich konfliktu z ZSSR, zauważony i śledzony

w *Kulturze* na długo przed historycznym momentem, w którym p. Korboński postanowił zeń obciosać kamień filozoficzny „polskiej polityki emigracyjnej”. Tym problemem zajmował się wielokrotnie śp. Juliusz Mieroszewski, krążyłem wokół niego od czasu do czasu i ja — choć nie publicysta polityczny — w moim dzienniku. Od lat Jerzy Giedroyc marzy o znalezieniu i wydaniu inteligentnej, rzeczowej i przystępnej książki o współczesnych Chinach. I, *last but not least*, sowieckie implikacje „chińskiej schizmy” odnotowuje skrupulatnie w swoich przeglądach, gdy jest po temu okazja, Adam Kruczek. *Kultura* nie ma więc sobie tu nic do wyrzucenia: robiła, robi i zamierza nadal robić wszystko co w jej mocy, by czytelnicy miesięcznika w kraju i na emigracji poznali dokładnie (w ramach naszych ograniczonych możliwości) istotę i perspektywę sporu, decydującego prawdopodobnie dla przyszłych losów kolonialnego imperium sowieckiego.

Od należytego doceniania i ustawicznego obserwowania problemu Chin prowadzi jednak bardzo daleka droga do tyleż megalomańskiej co śmiesznej „polskiej alternatywy chińskiej”, której opatentowanie w londyńskich *Wiadomościach* miało być dziejowym wyczynem politycznym p. Korbońskiego. Jedyną „polską alternatywę chińską” reprezentuje tow. Kazimierz Mijał, na emigracji w Tiranie. Jeżeli p. Korboński chciałby o jego osobę poszerzyć londyńskie Zjednoczenie Narodowe, nikt z wyjątkiem bezpośrednich mocodawców zabronić mu tego nie może (jakkolwiek dźwięczy natrętnie w uchu wierszyk Boya „W tym największy jest ambaras...”). Jeżeli w dalekowzrocznych planach widzi już „premiera” rządu RP w Londynie, wybierającego się (w towarzystwie wynałazy) do Pekinu *via* Tirana, nikt przywiązany do zasad wolności nie ośmieli się wtargnąć niegrzecznie do jego snów „politycznych” na jawie. Każdemu wolno śnić na jawie według własnych zasobów i gustów. Ale wolno też chyba mnie zapisać w dzienniku co o tym wszystkim myślę: użyłem zwrotu „zaśmianie polskich głów absurdalnymi programami”; powinienem być może, zamiast narażać na szwank moją „kulturę pisarską” surowym zdaniem na serio, odstąpić „polską alternatywę chińską” p. Korbońskiego jakiemś łowcy perełek polskiego humoru emigracyjnego...

W liście p. Korbońskiego jedno tylko zdanie zirytowało mnie, a nie rozśmieszyło: „Kraj oczekuje od emigracji etc.”. Czy nie pora skończyć z tym wiecznym powoływaniem się zawodowych polityków emigracyjnych na „kraj który oczekuje od emigracji”? Kraj, jeżeli w ogóle oczekuje jeszcze czegokolwiek od emigracji, to rzeczy na pozór skromnych lecz realnych i konkretnych, a nie zamasztyego wodzenia palcem po globusie w duchu „wielkiej polityki”. Pan Korboński, prócz cennych książkowych przyczynków historycznych uprawia z pasją (i często z powodzeniem) działalność autora listów do redakcji pism amerykańskich, ilekroć naświetlenie tematyki polskiej jest w nich fałszywe lub błędne. Oba te jego wysiłki wydają mi się, z punktu widzenia „oczekującego kraju”, o wiele „rentowniejsze” politycznie od nagłej pokusy naśladowania „wzoru” Piłsudskiego i Dmowskiego z roku 1904.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Londyn, 25 sierpnia 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku ze wzmianką w Nr. 3/342 *Kultury* o wydaniu przez Koło Oficerów Dypl. na Obczyźnie broszurki „Polska Racja Stanu” oraz listami do Redakcji p. J. Poniatowskiego w Nr. 6/345 *Kultury* i ostatnio w Nr. 7/8 p. T. Farbisza, pragnę wyjaśnić, że broszurka ta podaje wnioski na podstawie cyklu referatów wygłoszonych w tym Kole przez osoby kompetentne w sprawach politycznych.

Nie mogło być w niej polemiki z prelegentami, bo miałyby się to z przyjętymi przez Koło zasadami niewchodzenia w sprawy sporów wewnętrzno-politycznych.

Nigdzie też w broszurce nie jest podane, że Koło popiera lub nie, którekolwiek z istniejących tutaj Niepodległościowych Ośrodków Politycznych.

Muszę też stanowczo zaprzeczyć błędnemu twierdzeniu, że Koło, jako Organizacja nie uznaje ciągłości prawnej państwa na uchodźstwie, jest to sprawa całkowicie uzależniona od indywidualnych poglądów poszczególnych członków Koła. Natomiast wszystkich członków obowiązuje postawa ideologiczna: „Stać na gruncie Wolnej i Niepodległej Polski” i to nas wszystkich ściśle łączy.

W związku z tym pragnę zapytać p. Farbisza dlaczego on chciałby pozbać b. oficerów P.S.Z. jednego z zasadniczych praw obywatelskich, stosowanych w wolnym świecie: — prawa swobodnego wyrażania swej opinii? oraz dlaczego z powodu jej wyrażenia ktoś się ma przewracać w grobie, a p. Farbisz ma tracić zaufanie?

Łączę wyrazy poważania,

Aleksander SZENDRYK

Rzym, 10 września 1976.

Saznowny Panie Redaktorze!

W londyńskiej publikacji Tadeusza A. Mosiora pt. „Commando” czytamy na str. 69:

„W początkach marca 1945 roku do Batalionu została przydzielona grupa 85 Litwinów, przyjętych kontraktowo do W.P. Byli to chłopcy młodzi i dobrze wyszkoleni. Podzielono ich na 3 plutony, po jednym do każdej kompanii szturmowej. Dwa z nich był dowodzone przez oficerów polskich, jeden przez oficera litewskiego, który z tą grupą przybył”.

W tej samej książce jest lista komandosów poległych i zmarłych we Włoszech w okresie 1943-1946. Oprócz 37 nazwisk polskich są dwa nazwiska litewskie, niewątpliwie z wyżej wymienionej grupy: Sislauskas Dominik, który poległ nad rzeką Gaiana 19 kwietnia 1945 roku i Cijunskas Franas, zmarły od ran odniesionych nad tąże Gaiana 20 kwietnia 1945 roku. Obaj w stopniu strzelców.

Przyznam się, że chociaż bardzo pilnie i zdaje się uważnie śledzę literaturę związaną z udziałem Polski w drugiej wojnie światowej, to jednak nigdzie nie natrafiłem na ślady tego rodzaju współpracy — i to bojowej — Polaków i Litwinów.

Może ktoś, kto ma materiały na temat poruszony w książce Mosiora, zechciałby szerzej omówić ten problem? Byłoby to bardzo wskazane i pożyteczne.

Łączę pozdrowienia,

Witold ZAHORSKI

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 21 267.

Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1976.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata		lub równowartość
		1/2-rocznia	roczna	
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
ARGENTYNA: Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,25	\$ A 12,00	\$ A 22,50	
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-tern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 213-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00	
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00		
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00	
HOLLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00	
KANADA: Krystyna Krakowska, 5019 Blvd de Maison-neuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00	
NIEMCY: St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00	
NORWEGIA: Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00	
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	KS. 65,00	K.S. 120,00	
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie-wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00	
W. BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 36 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	£ 1,20	£ 7,00	£ 13,00	
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00	

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 120, półroczna — F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

TOM 264 — WITOLD SUŁKOWSKI

SZKOŁA ZDOBYWCÓW

Tomik prozy poetyckiej młodego pisarza krajowego. Trzy próby wydania go w kraju skończyły się niepowodzeniem. Jedna z najciekawszych pozycji poetów „nowej fali” w Polsce. Sułkowski, urodzony w roku 1943, z wykształcenia filolog, debiutował w *Więzi* i publikował swoje utwory w *Literaturze*, *Poezji* i *Nowym Wyrazie*. Był więziony pół roku w związku ze sprawą tzw. grupy „Ruch”. Pracuje obecnie jako urzędnik w Łódzkim Domu Kultury. Przedmowę do *Szkoły zdobywców* napisał krytyk krajowy, ukrywający się pod pseudonimem Marek Gruda.

Str. 64.

Cena F. 15,00.

TOM 266 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zawiera m.in. prace: P. Wandyczka — *Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939*; Jana Nowaka — *Sprawa generała Berlinga*; B. Miedzińskiego — *Moje wspomnienia* (dokończenie); oraz Działy: RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 25 (\$ USA 6,75).

TOM 267 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

Wspomnienia oficera W.P. jeńca Kozielskiego.

Książka zawiera następujące rozdziały:

Nadciągająca burza. — *Mobilizacja.* — *Od Piotrkowa pod Katyń.* — *Spod Katynia do Kujbyszewa.* — *Kujbyszew.* — *Droga do Teheranu.* — *Raport o zaginionych oficerach.* — *Katyń z perspektywy trzydziestolecia.* — *Dialektyka Katynia.* — *Czy Chruszczow chciał ogłosić prawdę o Katyńiu?* — *Katyń a sojusz sowiecko-niemiecki.* — *Rosja a Polska.*

Str. 360.

Cena F. 50,00.